

Jane Austen bez rękawiczek:
„Japan Times”

**Eileen
Chang**

Miłość
jak
pole
bitwy



Eileen Chang

**Miłość jak pole
bitwy**

Wspomnienia zagubionych uczuć

Jest pewien obraz z czasów Północnej Dynastii Song, zatytułowany Nauczanie. Widnieje na nim postać uczonego ze zwojem papieru w jednej ręce. Drugą ręką, w której trzyma jakiś niewielki przedmiot - nie widać, czy to zapinka do włosów, czy może pędzelek - drapie się w głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. Z prawej strony służący, młody chłopak, podaje tacę z herbatą. Tło wygląda jak na ilustracjach do Sprawiedliwych wyroków sędziego Baogonga - dwuskrzydłowy parawan, taki jak te, które zawsze stoją za plecami urzędników sądowych, malowany w uproszczony wzór fal morskich, przypominający ornamenty zdobiące poły dworskich szat. Na pierwszy rzut oka widzimy, że uczonemu dobrze się powodzi. Nieszczególnie nas interesuje, czego naucza. Po chwili dostrzegamy jednak pewien intrygujący detal: uczonego jest bosy. Na ziemi stoją buty - jeden z nich przewrócił się na bok. Nauczyciel zapewne podkurczył nogi i właśnie trze jedną stopą o drugą - widok ten nieodparcie kojarzy mi się z pewną starą tajwańską fotografią, na którym dwaj starszycy siedzą bez butów na niskim murku i grają na xianqinie. Uśmiecham się. Z malarskiego punktu widzenia wizerunek ów nie wyróżnia się niczym szczególnym. A jednak ta banalna czynność zdjęcia butów, uwieczniona na obrazie, nabiera znaczenia w kontekście rozważań o literaturze - demonstruje bowiem w niezwykle prosty, trafny sposób jedną z funkcji literatury: zbliżenie się do człowieka, do którego inaczej zbliżyć się nie da.

W komunikacji literackiej powieść czy opowiadanie stanowi najkrótszą drogę do owego zbliżenia. Nawet najintymniejsze szkice prozą czy eseje są co najwyżej odpowiednikami dobrej przyjaźni - mimo bliskości wciąż pozostaje pewien dystans. Tylko powieściom wolno łamać prawo do prywatności. Nie chodzi jednak o podglądanie innych, lecz o tymczasową, mniejszą lub większą identyfikację - jak u aktora, dla którego odgrywana rola staje się częścią jego osobistego doświadczenia.

Czy opisując negatywną postać, należy wczuć się głęboko w jej naturę, czy też, stanąwszy obok, łajać i potępiać? W dzisiejszych czasach, gdy wszyscy już orientują się w dorobku największych światowych autorów, inaczej patrzy się na naszą (chińską - przyp. tłum.) tradycyjną powieść i opowiadanie. Pożądane stały się dzieła dojrzałe, a w kontekście postulatu głębi zadawanie powyższego

pytania winno być zbędne. Mimo wszystko jednak wydaje się, że istnieje potrzeba jego zadania.

Warto znać siły własne i siły wroga. Lecz czy starając się poznać wroga, nie należałoby się obawiać, że dowiemy się zbyt wiele? Czyż zrozumienie nie jest pierwszym krokiem do przebaczenia? Skoro jednak poznanie może skończyć się wybaczeniem - to tym bardziej może prowadzić ku potępieniu. To właśnie wtedy, gdy brak nam wiedzy, najłatwiej wynieść złoczyńcę do rangi bóstwa, uczynić zeń diabła chcącego równać się z Bogiem, mistycznego Księcia Ciemności, którego czarowi w ostatnich czasach ulegają zachodni sataniści.

Trzy spośród opowiadań wchodzących w skład niniejszego zbioru powstały w latach pięćdziesiątych, od tamtego czasu jednak uległy gruntownym zmianom. Radosne spotkanie oraz Ostrożnie, pożądanie od czasu pierwszego wydania zostały w wielu miejscach rozbudowane. Ostatnia poważna przeróbka opowiadania Kwiat unoszący się na falach polegała na zastosowaniu metody powieści obyczajowej. Kompozycja tego utworu jest luźniejsza niż w opowiadaniach współczesnych - stanowi ono pewnego rodzaju eksperyment.

Te trzy historie zawsze bardzo silnie mnie poruszały, dlatego z takim zapałem poprawiałam je raz po raz przez te wszystkie lata, wciąż czując przy tym tę samą radość, która towarzyszyła mi na początku, gdy świeżo zdobyłam do nich materiały. Nawet nie spostrzegłam, że od tamtego czasu minęło już trzydzieści lat. Kochając, nie pytamy, czy warto. Miłość jest „uczuciem zagubionym, jeszcze nim stanie się wspomnieniem” (Cytat z wiersza poety Li Shangyina (813 - 858) (przyp. tłum.)). Stąd tytuł, jaki nadałam temu zbiorowi opowiadań: Wspomnienia zagubionych uczuć” (Taki tytuł nosi oryginał zbioru (przyp. tłum.)).

Pozostałe dwa utwory pochodzą z lat czterdziestych. Przyjaciel pana Wei Xiana, redaktora naczelnego dodatku literackiego do „Zjednoczonego Dziennika” („Lianhe bao”), znalazł moje teksty w starych czasopismach w Bibliotece Hongkońskiej, zrobił kopie i wysłał mi z pytaniem, czy można je powtórnie opublikować. Jeden z nich, Piękne przeznaczenie, posiadałam już w formie szkicu - miał wejść w skład jeszcze niepublikowanej Pieśni o kiełkującym ryżu. Opowiadanie Wielka szkoda zaś należało do tych tekstów, których nie

zabrałam ze sobą, opuszczając kontynent. Nie jest tak, że przez te wszystkie lata nikt nie wiedział o istnieniu tych kilku utworów - na przykład amerykański badacz Edward Gunn już dawno odszukał je w bibliotece i skopiował dla innych amatorów ciekawostek. Ostatnio ktoś znowu skopiował te teksty ze starych periodyków i publikuje je jako „zabytki”, występując jako ich odkrywca. Czuję się, jakbym żyła w czasach Południowej Dynastii Song, gdy każdy mógł przypisać sobie autorstwo cudzego dzieła, nie pytając pisarza o zdanie. Odnoszę wrażenie, iż osobie tej nie podoba się, że sama włączyłam do niniejszego zbioru kilka owych starych dzieł, tak jakbym to ja naruszyła jej prawa, popełniając kradzież.

Poprzednim wcieleniem opowiadania Wielka szkoda był scenariusz do filmu Miłość na zawsze, który się nie zachował.

Zbiór zamyka inny scenariusz, Miłość jak pole bitwy, będący przeróbką sztuki teatralnej Maksa Shulmana Czula pułapka („The Tender Trap”). Film wyprodukowano w 1956 roku, a główne role w nim zagrali Lin Dai i Chen Hou.

Niektóre dialogi w Wielkiej szkodzie były słabe; dwa dłuższe fragmenty napisałam od nowa. Opowiadanie Kwiaty Yin Baoyan naprawdę mi się nie udało - gdybym chciała je poprawić, nie wiedziałabym, od czego zacząć. Myślałam, żeby w ogóle nie włączać utworu do zbioru, ale ono także doczekało się pirackich wydań - pominięcie utworu i tak nie zahamowałyby tego procederu. Dodałam więc do niego tylko posłowie.

Czułam się zobowiązana przedstawić Czytelnikowi te rozwlekłe wyjaśnienia - tak by nie miał wątpliwości, czy przypadkiem ja sama nie jestem „piratem” mojej własnej twórczości...

OSTROŻNIE, POŻĄDANIE

Mimo że zmrok jeszcze nie zapadł, na stolik do madżonga padało jasne światło żarówki. Pierścionki z brylantami połyskiwały na palcach właścicielek tasujących ze stukotem tabliczki do gry. Związany pod blatem obrus tworzył idealnie gładką, oślepiająco białą płaszczyznę. Agresywne sztuczne światło uwydatniało kuszącą wypukłość piersi Jiazhi, wyostrzało harmonijne rysy twarzy o kształcie zbliżonym do sześciokąta. Zbyt wąskie czoło i opadające na nie pojedyncze niesforne kosmyki tylko dodawały uroku. Lśniąca szminka, która podkreślała kuszący kształt ust, stanowiła jedyny element oszczędnego makijażu. Włosy, upięte tak, by nie zasłaniały twarzy, opadały swobodnie na ramiona. Tradycyjna suknia bez rękawów z chabrowej jedwabnej mory sięgała do kolan właścicielki; jej szyję otaczała zaokrąglona stójka wysokości zaledwie pół cala, na zachodnią modłę, spięta broszką pasującą do szafirowo - diamentowych kolczyków. Obie taitai, czyli starsze damy, siedzące po lewej i prawej stronie młodej kobiety, odziane były w czarne wełniane mantyle, ściągnięte przy szyi ciężkimi, podwójnymi złotymi łańcuchami, które wyglądały spod wywiniętych kołnierzy. W odciętym od świata przez japońskich okupantów Szanghaju wykształciły się różne lokalne mody. Z powodu astronomicznych cen złota na okupowanych terenach łańcuchy takiej grubości były warte fortunę. Jednak nosząc je w funkcji zapinek pod szyją, damy unikały wrażenia złego gustu, zyskując przy tym możliwość swobodnego obnoszenia się ze swoją zamożnością podczas miejskich eskapad. Dlatego właśnie mantyla i złoty łańcuch stały się ulubionym strojem żon oficjeli z marionetkowego rządu Wanga Jingweia. Możliwe też, że brały przykład z dam z Chong - qingu, wojennej stolicy nacjonalistów, gdzie czarne peleryny były niezwykle modne wśród eleganckich żon czołowych polityków.

Pani Yi, będąc u siebie, występowała bez owego okrycia, mimo to jej postać od szyi w dół wydawała się tak rozłożysta, jak gdyby miała je na sobie - z wiekiem dama stawała się coraz cięższa. Z Jiazhi poznała się dwa lata wcześniej, w Hongkongu, po tym jak z mężem wyjechała z Chongqingu wraz z Wangiem Jingweiem. Zanim oboje znaleźli schronienie na wyspie, jeden z zastępców Wanga Jingweia, Zheng Zhongming, został zamordowany w Hanoi, toteż zwolennicy Wanga w Hongkongu starali się pozostawać w ukryciu. Mimo to Yi

taitai koniecznie chciała chodzić na zakupy. W czasie wojny zarówno na niepodbitych obszarach kraju, jak i na terytoriach okupowanych brakowało wszystkiego, toteż pani Yi nie miała zamiaru tracić fantastycznej okazji skorzystania z tymczasowego pobytu w handlowym raj. Ktoś znajomy przedstawił jej Jiazhi, piękną żonę tutejszego człowieka interesu, pana Mai; młoda dama towarzyszyła jej podczas zakupowych eskapad. W czasie wypraw do hongkońskich centrów handlowych pomoc tubylca była nieodzowna - nawet w największych domach towarowych trzeba było się targować, a z każdego, kto nie mówił po kantońsku, kupcy zdzierali bez litości. Pan Mai parał się importem i eksportem i, jak każdy biznesmen, bardzo chętnie zawierał znajomości w kręgach politycznych. Oboje zatem przyjmowali Yi taitai z nieustającą gościnnością, a starsza dama była im niewymownie wdzięczna. Po zbombardowaniu Pearl Harbor i upadku Hongkongu firma pana Mai zbankrutowała. Żeby zarobić nieco grosza na utrzymanie rodziny, pani Mai postanowiła sama zająć się drobnym przemytem i przywiozła do Szanghaju trochę zegarków, zachodnich lekarstw, perfum i pończoch na sprzedaż. Yi taitai z ochotą zaprosiła ją do siebie.

- Wczoraj byliśmy w Shuyu, tej syczuańskiej restauracji - zwróciła się pani Yi do pierwszej czarnej mantyli. - Pani Mai jeszcze tam nie była.

- Ach, tak?

- Dawno pani nie widziałyśmy, droga pani Ma.

- Byłam zajęta... rodzinne sprawy... - wymamrotała Ma taitai wśród postukiwań tabliczek do gry.

Wargi Yi taitai rozciągnęły się w uśmiechu.

- Unika nas, bo przysłała jej kolej, by postawić nam kolację.

Jiazhi przypuszczała, że pani Ma jest o nią zwyczajnie zazdrosna, bo od razu po przyjeździe to ona, Jiazhi, znalazła się w centrum uwagi.

- Pani Liao zaprosiła nas wszystkie wczoraj wieczorem. W ostatnich dniach miała znakomitą passę - ciągnęła pani Yi, zwracając się do Ma taitai. - W restauracji natknęłam się na młodego pana Li z żoną i zawołałam ich oboje do naszego stolika. Powiedział, że czekają na swoich gości, a ja na to, żeby wszyscy usiedli z nami. W końcu Liao taitai nie co dzień zaprasza na kolację! Potem okazało się, że pan Li zaprosił tyle osób, że nie mieściliśmy się przy jednym stole.

Dodatkowe krzesła nie dawały się wcisnąć i pani Liao musiała siedzieć mi za plecami, niczym panienka do towarzystwa na przyjęciu. „Ależ ślicznotka mi się dzisiaj trafiła” - zażartowałam. „Za stare tofu jestem dla ciebie” - ona na to. A ja: „Stare kobyły przepadają za dobrze podfermentowanym tofu!” Ależ było wesoło. Chichotała tak, że aż jej blizny po ospie poczerwieniały!

Wokół stolika rozległ się huragan śmiechu.

Podczas gdy Yi taitai dalej relacjonowała pani Ma wydarzenia ostatnich dni, zjawił się pan Yi. Odziany w szary garnitur męczyzna skinął trzem damom głową na powitanie.

- Wcześniej dziś panie zaczęły.

Stanął za plecami żony i zaczął przyglądać się grze. Ścianę za nim spowijała ciężka żółtobrazowa wełniana kotara w ceglasczerwony wzór liści paproci „ogon feniksa”, każdy pęd miał sześć stóp długości. Zhou Fohai, zastępca Wanga Jingweia, miał takie zasłony, więc rodzina Yi sprawiła sobie identyczne. Fałszywe balkonowe okna i gigantyczne story były ostatnim krzykiem mody. W czasie wojny, gdy brakowało tkanin, zasłony sięgające podłogi - takie jak te wiszące za panem Yi, do których uszycia zużyto całą bełę materiału, uwzględniając zapas na dopasowanie wzorów - stanowiły nie lada ekstrawagancję. Stojąc na tle ogromnych liści, pan Yi wyglądał na jeszcze niższego, niż był w rzeczywistości. Miał bladą twarz o delikatnych rysach i rzędzące włosy, których linia tworzyła zakola nad skrońmi. Wyjątkowo wąski, ostro zakończony nos przypominał szczurzy pyszczek.

- Ma taitai, ten pani pierścionek ma trzykaratowy diament? - zagadnęła pani Yi. - Przedwczoraj przyszedł Pin Fen i pokazał mi pięciokaratowy, ale nie błyszczał tak pięknie jak ten.

- Słyszałam, że Pin Fen ma lepszy towar niż w sklepach.

- Myślę, że to bardzo wygodne, kiedy przynoszą nam różne towary do domu i można jakiś czas je potrzymać, zanim się zdecydujemy. W dodatku on czasem ma rzeczy, których nigdzie indziej się nie dostanie. Ostatnio pokazywał mi piękny żółty diament, ale o n nie chciał go kupić. - Rzuciła panu Yi lodowate spojrzenie. - Jak pani myśli, ile coś takiego kosztowałoby dzisiaj? Idealny kamień - tuzin uncji złota za karat? Dwa? Trzy? Pin Fen mówi, że nikt teraz nie sprzedaje ani żółtych, ani różowych diamentów, bo wszyscy je trzymają, czekając, aż ceny oszaleją jeszcze bardziej.

- Nie czułaś, jaki był ciężki? - zaśmiał się pan Yi. - Dziesięć karatów. Nie dałabyś rady grać w madżonga z takim głazem na palcu.

Wokół tego stolika lśni cała wystawa diamentów - pomyślała Jiazhi. Każda para rąk pokazowo błyszczy, oprócz moich własnych.

Trzeba było zostawić jadeit w szkatułce i nie narażać się na te szydercze spojrzenia.

- Nie natrzęsaj się ze mnie - nadąsała się pani Yi, zabierając jedną ze swoich tabliczek.

Czarna mantyla naprzeciwko pani Ma, postukując, rozłożyła swoje atuty; równoczesny wybuch śmiechu i lamentów przerwał nić rozmowy.

Kiedy hazardzistki podliczały wygrane i przegrane, pan Yi spojrział na Jiazhi i dyskretnym ruchem podbródka wskazał drzwi.

Dziewczyna pospiesznie rzuciła okiem na jedną, potem na drugą czarną mantylę. Na szczęście wyglądało na to, że żadna z nich niczego nie zauważyła. Jiazhi wyłożyła pieniądze za wszystkie przegrane tabliczki, pociągnęła łyceczek herbaty z czarki i nagle wykrzyknęła:

- Gdzie ja podziałam głowę! O trzeciej mam spotkanie w interesach, całkiem zapomniałam! Panie Yi, zajmij pan moje miejsce, póki nie wrócę?

- Nie zgadzam się - zaprotestowała Yi taitai.

- Nie może pani tak po prostu uciec bez uprzedzenia!

- I to teraz, kiedy szczęście zaczęło mi dopisywać - powiedziała pod nosem wygrywająca czarna mantyla.

- Może poprosimy panią Liao, żeby się przyłączyła. Niechże pani po nią zadzwoni - zwróciła się pani Yi do Jiazhi - i zostanie tu przynajmniej do jej przyjścia!

- Naprawdę muszę już iść. - Jiazhi spojrzała na zegarek. - Spóźnię się, umówiłam się na kawę z pośrednikiem. Pan Yi może mnie zastąpić.

- Dziś jestem zajęty - wymówił się pan Yi.

- Jutro mogę grać choćby cały wieczór!

- Ech, ta nasza Wang Jiazhi! - Yi taitai lubiła używać jej pełnego panieńskiego nazwiska, jakby znała ją od dziecka. - Zapłacisz mi za to, kochana. Dziś wieczorem postawisz nam wszystkim kolację!

- Nie może pani dać się zapraszać własnemu gościowi - sprzeciwiła się pani Ma.

- A ja popieram Yi taitai! - wtrąciła druga czarna mantyla.

Delikatny temat uroczego gościa pani Yi wymagał ostrożności. Yi taitai była w wieku, w którym bez trudu mogłaby być matką Jiazhi, jednak nigdy nawet nie zająknęła się o możliwości sformalizowania ich stosunków poprzez adoptowanie jej jako przybranej córki. Zachowania starszej damy były trudne do przewidzenia. Z jednej strony, niczym cesarzowa matka, uwielbiała otaczać się młodymi, pięknymi kobietami - jak rojem gwiazd oświetlały księżyc, wokół którego krążą - z drugiej, nie była jeszcze tak stara, by nie odczuwać zwykłej kobiecej zazdrości.

- W porządku, niech i tak będzie - zgodziła się Jiazhi - zapraszam wszystkie panie na kolację. Ale pan, panie Yi, zostanie wykluczony z towarzystwa, jeśli teraz nie zajmie pan mojego miejsca.

- Prosimy, panie Yi! Gra w madżonga we trójkę to nie jest żadna rozrywka. Niechże pan pogra choć chwileczkę, póki Ma taitai nie zadzwoni po zastępstwo!

- Kiedy ja naprawdę jestem umówiony. - Mówiąc o sprawach urzędowych, zniżał głos do niemal niesłyszalnego, konspiracyjnego szeptu. - Ktoś niedługo do was dołączy.

- Cóż, wiemy doskonale, że pan Yi jest bardzo zajęтым człowiekiem - rzekła pani Ma.

Ciekawe, czy ona coś sugeruje - zastanawiała się Jiazhi - a może to ja przestaję już panować nad nerwami? Patrząc, jak Yi uśmiecha się i żartuje, Jiazhi zaczęła dostrzegać w uwadze pani Ma pochlebny podtekst, tak jakby starsza pani wiedziała, że Yi marzy o tym, by inni usiłowali wyciągać zeń szczegóły jego podboju. Być może sukces potrafi zawrócić w głowie nawet tym, dla których dyskrecja stanowi część zawodu - myślała.

To wszystko robiło się stanowczo zbyt niebezpieczne. Jeśli zadanie nie zostanie wykonane dziś i trzeba będzie to wszystko ciągnąć choćby dzień dłużej, pani Yi w końcu odkryje, że między nimi coś jest...

Wyszedł, gdy Jiazhi wciąż pracowicie uzgadniała z jego żoną warunki opuszczenia towarzystwa. Kiedy udało jej się wreszcie uwolnić, poszła na moment do swojego pokoju. Gdy skończyła pośpiesznie poprawiać fryzurę i makijaż - na przebranie się było zbyt mało czasu - służąca powiadomiła ją, że samochód już czeka przed wejściem. Wsiadając, Jiazhi poleciła szoferowi, by zawiózł ją do pewnej kawiarni. Po dotarciu na miejsce odesłała go z powrotem.

Jak zwykle wczesnym popołudniem lokal był prawie pusty. Przestronne wnętrze oświetlały kinkiety z harmonijkowymi abażurami z morelowego jedwabiu; na podłodze tłoczyły się maleńkie okrągłe stoliki nakryte obrusami z cienkiego białego lnu w zakardowe wzory - ot, staromodny, niezbyt wyszukany przybytek. Zadzwoiła z aparatu stojącego na barze. Po czterech dzwonkach nacisnęła widełki i wybrała numer ponownie, mamrocząc do siebie: „Pomyłka” - z obawy, że kasjer uzna jej zachowanie za podejrzanę.

To było hasło. Za drugim razem ktoś odebrał telefon.

- Halo?

Bogu dzięki - to Kuang Yumin. Wciąż jeszcze paraliżowała ją obawa, że będzie musiała rozmawiać z Liangiem Runshengiem, mimo że zwykle bardzo dbał o to, by kto inny pierwszy podnosił słuchawkę.

- To ja - odezwała się po kantońsku. - Co słyhać, wszyscy zdrowi?

- Wszystko w porządku. Co u ciebie?

- Po południu idę na zakupy, ale nie wiem jeszcze o której.

- Nie ma sprawy. Zaczekamy na ciebie. Gdzie jesteś?

- Xiafei Road.

- Świetnie. Chwila milczenia.

- Czy coś jeszcze? - Miała lodowate dłonie; wydawało się, że dźwięk znajomego głosu pozwoli jej się ogrzać.

- Nie, już nic.

- Możliwe, że pojawię się tam zaraz.

- Będziemy na miejscu, nie martw się. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i wyszła zawołać rykszę.

Jeśli dziś nie uda się zakończyć sprawy, nie będzie mogła dalej mieszkać w domu rodziny Yi, nie wolno jej zostać ani chwili dłużej w towarzystwie tych wszystkich obwieszonych biżuterią jędz, obserwujących każdy jej ruch. Może powinna była poszukać jakiegoś pretekstu i wyprowadzić się, gdy tylko połknął haczyk. Mógł znaleźć jej jakieś lokum, ostatnio kilkakrotnie spotykali się w różnych mieszkaniach, opuszczonych przez Brytyjczyków lub Amerykanów, którzy wyjechali do obozów wojskowych. To jednak prawdopodobnie skomplikowałoby wszystko jeszcze bardziej - skąd wiedziałaby, kiedy przyjdzie? Mógłby nawiedzić ją w każdej chwili. Gdyby zaś wyznaczyli z góry godziny spotkań, pilne sprawy mogłyby w dowolnym momencie zmusić go do odwołania schadzki. Dodzwonić

się do niego też byłoby niełatwo, jego żona obserwuje go pilnie; zapewne we wszystkich biurach, w których bywa mąż, ma już swoich szpiegów. Cień podejrzania - i wszystko by się wydało. Szanghaj roił się od potencjalnych informatorów, którzy chętnie wkradliby się w łaski potężnej Yi taitai. A gdyby Jiazhi nie zabiegała o niego tak usilnie, mógłby ją odrzucić. Mieszkania były popularnym prezentem pożegnalnym dla porzuconych kochanek ministrów Wanga Jingweia. Czyhało na niego zbyt wiele pokus - stanowczo zbyt dużo, by dało się ze wszystkich skorzystać. A gdyby któraś z nich znikła mu z oczu, wkrótce by o niej zapomniał. Trzeba było go w końcu przygwoździć, nawet jeśli będzie musiała w tym celu wsadzić sobie jego nos w dekolt.

- Dwa lata temu nie były takie duże - wyszeptał między pocałunkami.

Z głową przytuloną do jej piersi nie zauważył, że się zarumieniła.

Nawet w takiej chwili dręczyło ją wspomnienie porozumiewawczych uśmiezków na twarzach wszystkich, nie wyłączając Kuanga Yumina. Tylko Liang Runsheng udawał, że nie widzi, jak urósł jej biust. Starła się wyrzucić z pamięci niektóre wydarzenia z przeszłości.

Od obcych koncesji dzielił ją kawałek drogi. Kiedy rykszarz dowiózł ją w okolice świątyni Jing'an na rogu Seymour Road, kazała mu się zatrzymać pod niedużą kawiarnią. Rozejrzała się, na wypadek gdyby jego samochód już tu był. Dostrzegła tylko jeden spory pojazd z napędem gazowym, zaparkowany nieco dalej na ulicy.

Kawiarnia zarabiała chyba głównie na sprzedaży na wynos - w środku trudno było znaleźć jakiegokolwiek miejsce do siedzenia. W głębi obskurnego wnętrza stała przeszklona lodówka pełna najróżniejszych ciast zachodniego typu. Oślepiające światło lampy w przejściu podkreślało szorstką, nierówną powierzchnię ścian pokrytych do połowy brązową farbą. Obok niedużej lodówki wisiał biały uniform w wojskowym stylu; powyżej, niemal pod sufitem, zwieszał się rząd długich fartuchów z podszewkami - niczym w sklepie z używaną odzieżą - należących do chińskiego personelu i kelnerów.

Mówił jej, że lokal ten otworzył pewien Chińczyk, który wcześniej pracował w Kiesslingu, najśłynniejszej europejskiej restauracji w Tianjinie. Musiał specjalnie wybrać to miejsce -

pomyślała Jiazhi - tutaj zapewne nie natknie się na nikogo z wyższych sfer. W dodatku lokal mieścił się przy jednej z głównych ulic, jeśli więc mimo wszystko ktoś zobaczy pana Yi, jego obecność w tym rejonie wyda się znacznie mniej podejrzana niż gdzieś na uboczu; kawiarnia znajdowała się na tyle blisko centrum, że spokojnie mógł przechodzić tędy, udając się dokądś w zupełnie uczciwym celu.

Czekała; kawa w stojącej przed nią filiżance stygła powoli. Poprzednim razem, gdy umówili się w mieszkaniu, zjawił się dopiero po około godzinie. Jeśli Chińczycy są najbardziej niepunktualnym narodem świata, myślała, to chińscy politycy są prawdziwymi wirtuozami spóźniania się. Jeżeli to potrwa jeszcze dłużej, zamkną im sklep przed nosem.

To on wpadł na ten pomysł po pierwszym spotkaniu. „Kupimy ci pierścionek, żeby uczcić ten dzień - jaki chcesz, wybierz sobie. Kiedy tylko znajdę chwilę, pójdę z tobą”. Kolejna schadzka odbywała się w jeszcze większym pośpiechu i temat pierścionka nie został poruszony. Jeśli on dziś znowu zapomni, będzie musiała wymyślić jakiś sprytny sposób, by mu przypomnieć. Z innym mężczyzną wyszłaby na pazerną, straciłaby godność. Ale ten cyniczny stary lis i tak nie miał złudzeń, że ładna, młoda kobieta związałaby się z przysadzistym pięćdziesięciolatkiem tylko dla zalet jego duszy; gdyby zatem nie wyraziła zainteresowania materialnymi aspektami romansu, wyglądałoby to podejrzanie. W końcu wszystkie panie mają słabość do biżuterii, a ona w dodatku przyjechała do Szanghaju handlować różnymi kobiecymi przedmiotami zbytku. To, że przy okazji chętnie przyjęłaby jakiś dodatkowy dochód, nie byłoby niczym dziwnym. Jako człowiek mający zawodowo do czynienia z wywiadem, zapewne wszędzie węszy spisek, nawet tam, gdzie nic nie wzbudza podejrzeń. Jej głównym celem jest zdobycie jego zaufania, zyskanie wiarygodności. Do tej pory spotykali się w miejscach wybranych przez niego; tym razem musi nakłonić go, by poszedł tam, dokąd ona chce go zaprowadzić.

Poprzednio punktualnie przysłał po nią samochód. Przeciągające się oczekiwanie, które musiała znosić tym razem, oznaczało zapewne, że przyjedzie sam. Dobrze się składało: gdyby schadzka miała się odbyć w jakimś mieszkaniu, trudno byłoby go potem stamtąd wyciągnąć. Chyba że zamierzał spędzić z nią długi wieczór, zaprosić najpierw na kolację, jednak ani za pierwszym, ani za drugim razem

nigdzie jej nie zabierał. Będzie się ociągał, chcąc spędzić z nią jak najwięcej czasu, podczas gdy ona będzie się niecierpliwiła, że za chwilę zamkna sklep. Popędzanie go, jakby była prostytutką, a on jej klientem, nie wchodzi w grę.

Wyjęła puderniczkę i musnęła policzki. Nie miała gwarancji, że Yi przyjdzie osobiście. Urok nowości minął - prawdopodobnie zaczynał już tracić zainteresowanie. Jeśli nie uda się dziś załatwić sprawy, może nie być kolejnej szansy.

Zerknęła ponownie na zegarek. Z wolna ogarniało ją chłodne przecucie klęski, niczym długie oczko w jedwabnej pończosze, wędrujące coraz wyżej i wyżej. Siedzący nieopodal samotny mężczyzna odziany w chińską tradycyjną tunikę przyglądał jej się znad gazety. Kiedy usiadła, już tu był, nie mógł zatem jej śledzić. Być może zastanawiał się, jak zarabia na życie - czy jej biżuteria jest prawdziwa, czy sztuczna. Nie wyglądała na tancerkę; jeśli grywała w teatrze, nie kojarzył jej z nazwiska.

Owszem, w przeszłości była aktorką; skończyła, grając rolę w przedstawieniu zbyt tajnym, by mogła zyskać sławę.

W czasie studiów w Kantonie grała w całej serii poruszających, patriotycznych spektakli historycznych. Zanim miasto stało się łupem Japończyków, uczelnia przeniosła się do Hongkongu i tam studencka trupa dała ostatnie publiczne przedstawienie. Kiedy kurtyna opadła, niezwykle podekscytowana Jiazhi nie mogła się uspokoić. Poszła coś przekąsić z resztą obsady, lecz gdy większość już rozeszła się do domów, ona wciąż nie miała ochoty wracać. Razem z dwiema koleżankami wybrały się na przejażdżkę po mieście na pustym górnym piętrze tramwaju, który chybotliwie przetaczał się ulicami Hongkongu; za oknami neony reklamowe rozświetlały ciemność.

Uniwersytet Hongkoński użyczył kantońskim studentom kilku sal wykładowych, lecz na zajęciach zawsze panowały ścisk i niewygodna, co przypominało im na każdym kroku o statusie uchodźców.

Rozczarowująca obojętność większości Hongkończyków wobec stanu narodowego zagrożenia napełniała jej kolegów dojmującym poczuciem wygnania, mimo że podróżując do Hongkongu, przebyli niewiele ponad sto mil. W krótkim czasie kilka osób o podobnych poglądach uformowało niedużą radykalną grupę. Kiedy Wang Jingwei, który zamierzał wkrótce rozpocząć z Japończykami negocjacje na temat sformowania kolaboranckiego rządu na

kontynencie, przybył na wyspę wraz ze swoją żoną, w znacznym stopniu złożoną z ludzi z rejonu Kantonu, studenci odkryli, że jeden z jego bliskich współpracowników pochodzi z tego samego miasta co Kuang Yumin. Wykorzystując ten zbieg okoliczności, Kuang odszukał go i nawiązał z nim przyjazne stosunki, dzięki czemu udało mu się wyciągnąć zeń wiele pożytecznych informacji o członkach całej organizacji. Gdy przekazał swoje rewelacje kolegom spiskowcom, po długich rozważaniach podjęto decyzję, by zwabić w pułapkę pana Yi: uwieść go (z pomocą jednej z koleżanek studentek) i zaprowadzić prosto pod lufę zabójczego pistoletu. Dziewczyna najpierw miała zaprzyjaźnić się z jego żoną, a następnie zająć się mężem. Gdyby jednak występowała jako studentka, czyli członkini najbardziej rewolucyjnej grupy społecznej, pani Yi od początku miałyby się na baczności. Postanowiono więc zrobić z niej młodą żonę lokalnego biznesmena - to brzmiało bezpiecznie, zwłaszcza w Hongkongu, gdzie ludzie parający się handlem byli z reguły apolityczni. I tym sposobem na scenę wkroczyła gwiazda studenckiej trupy teatralnej.

Huang Lei, który spośród wszystkich członków grupy był najbogatszy z domu, szybko wyłożył fundusze na zbudowanie całej „dekoracji” dla spisku: wynajem domu i samochodu, wypożyczenie kostiumów. Ponieważ tylko on potrafił prowadzić, zagrał rolę szofera. Ouyang Lingwen, jako mąż pani Mai, wraz z Kuangiem Yuminem w roli dalekiego krewnego towarzyszył pięknej mężatce na pierwszym spotkaniu z Yi taitai. Po odwiezieniu Kuanga oraz jego uprzejmie rozgadanego towarzysza do domu obie panie pojechały tym samym samochodem do dzielnicy Central, by udać się na zakupy już bez panów.

Widywała go wcześniej kilka razy, ale tylko przelotnie. Kiedy w końcu usiedli razem w jednym pokoju, po tym jak państwo Yi po raz pierwszy zaprosili ją na madżonga, od razu zauważyła, że jest nią zainteresowany, mimo jego widocznych starań, by to ukryć. Pełne podziwu spojrzenia mężczyzn były dla niej rzeczą powszednią, odkąd skończyła dwanaście czy trzynaście lat. Znała reguły gry. On z kolei bał się wychylać, niemniej to nieznośnie jednostajne życie, jakie prowadził w Hongkongu, sprawiało, że zaczynał się dusić. Powstrzymywał się nawet od picia alkoholu w obawie, że Wangowie w każdej chwili go wezwą. Wraz z innym członkiem kliku Wangów

wynajął stary dom i żył w odosobnieniu, którego jedynym urozmaiceniem były partyjki madżonga od czasu do czasu.

Kiedy w czasie gry rozmowa zesłała na materiał, jaki Yi taitai kupiła na garnitury dla męża, Jiazhi poleciała krawca, z którego usług kiedyś korzystała. „Teraz musi być okrutnie zajęty przez ten cały ruch turystyczny, więc pewnie zajęłoby mu to kilka miesięcy. Ale jeśli pani Yi zadzwoni do mnie, gdy małżonek znajdzie odrobinę wolnego czasu, przyprowadzę go. Dla moich przyjaciół na pewno uwinie się szybciej”. Wychodząc, zostawiła na stole kartkę z numerem telefonu. Kiedy żona będzie odprowadzała Jiazhi do drzwi, pan Yi z pewnością zdąży go sobie zapisać. W ciągu kilku dni znajdzie chwilę, by do niej zadzwonić w godzinach pracy, kiedy pana Mai nie będzie w domu. Tak oto wszystko się zaczęło.

Tamtego wieczoru padała drobna mżawka. Huang Lei zawiózł ją do domu; weszli tam razem - wszyscy czekali na wiadomość o zwycięstwie. Olśniewając damy z wyższych sfer strojem, w którym tak doskonale zagrała swoją rolę, marzyła, by zostali i bawili się hucznie aż do rana. Żaden ze studentów nie umiał tańczyć, ale miska zupy w jednej z tych maleńkich nocnych restauracyjek i długi spacer w wilgotną noc wystarczyłyby w zupełności. Cokolwiek, byle nie kłaść się spać.

Tymczasem wśród zebranych stopniowo zapadała cisza. Słysząc było pokątne szepty i dobrze znane tłumione chichoty. Zrozumiała, że już od pewnego czasu gadają o wszystkim za jej plecami.

- Zdaje się, że tylko Liang Runsheng ma w tym jakieś doświadczenie - poinformowała ją Lai Xiujin, jedyna dziewczyna w grupie.

Liang Runsheng.

Jasne, tylko on był kiedyś w burdelu.

Skoro jednak już postanowiła poświęcić się dla sprawy, nie mogła przecież mieć do niego pretensji, że jest jedynym kandydatem.

Tamtego wieczoru, gdy upajała się oszałamiającym blaskiem swojego sukcesu, nawet Liang Runsheng nie wydawał jej się tak odpychający jak zwykle. Wiedząc, co będzie się działo, zebrani wymykali się jeden po drugim, aż w końcu zostali tylko oni dwoje. Spektakl toczył się dalej.

Mijały dni. Telefon wciąż milczał. W końcu zdecydowała się sama zadzwonić do Yi taitai. Głos starszej damy brzmiał obojętnie, oschle: ostatnio nie ma czasu na zakupy, ale za parę dni zadzwoni.

Czyżby pani Yi coś podejrzewała? Czy odkryła u męża jej numer telefonu? A może to jakieś złe wieści od Japończyków? Po dwóch tygodniach nerwów Jiazhi w końcu odebrała entuzjastyczny telefon od starszej damy, która chciała się pożegnać i przeproszała, że z powodu pośpiechu nie było okazji, by się spotkać, lecz Jiazhi i jej mąż będą bardzo mile widziani u nich w Szanghaju. Muszą koniecznie przyjechać na długo, tak żeby wszyscy razem mogli wybrać się w podróż do Nankinu. Najwyraźniej projekt Wanga Jingweia, by wrócić do Nankinu i utworzyć rząd, na razie utknął, dlatego musieli przyczaić się na pewien czas.

Tymczasem Huang Lei wpadł w niezłe tarapaty - tkwił po uszy w długach. Kiedy na wieść o tym, że pomieszkuje w Hongkongu z jakąś tancerczką, rodzina odcięła mu dopływ gotówki, finanse spisku załamały się.

Cała sprawa z Liangiem Runshengiem od początku była krępująca. A teraz, gdy widać było, że Jiazhi tego żałuje, reszta grupy zaczęła jej unikać. Nikt nie umiał spojrzeć jej prosto w oczy.

Ależ byłam głupia - powtarzała sobie. Kompletna idiotka!

Czy cała ta beznadziejna gra od samego początku była pułapką?

Od tamtej pory trzymała się na dystans zarówno do Lianga Runshenga, jak i do pozostałych członków grupy. Przebywając w ich towarzystwie, ustawicznie czuła, że przyglądają jej się z zainteresowaniem, jakby była jakimś dziwolągiem, groteskową postacią. Po Pearl Harbor otworzyły się morskie korytarze i wszyscy jej koledzy przenieśli się do Szanghaju. Mimo że to miasto także znajdowało się pod okupacją japońską, uniwersytety działały, można było tam pobierać jakąś edukację. Nie pojechała z nimi wtedy i po przyjeździe nie starała się z nimi skontaktować.

Przez dłuższy czas dręczyło ją pytanie, czy mogła coś złapać od Lianga Runshenga.

Niedługo po przyjeździe do Szanghaju studenci natknęli się na pewnego działacza podziemia, niejakiego Wu - nazwisko to bez wątpienia było pseudonimem - który dowiedziawszy się o tym ważnym kontakcie, jaki udało im się nawiązać, zachęcał do

kontynuowania planu. Kiedy zwrócili się do niej, postanowiła spełnić swoją powinność i doprowadzić sprawę do końca.

W gruncie rzeczy za każdym razem gdy spotykała się z Yi, czuła się oczyszczona, niczym w gorącej kąpieli; wszystko, co robiła, czyniła przecież dla sprawy.

Na pewno wysłali kogoś, by obserwował wejście do kafejki i zawiadomił wszystkich, gdy tylko nadjedzie jego wóz. Jednak wchodząc do lokalu, nie zauważyła nikogo kręcącego się w pobliżu. Kino Ping'an naprzeciwko było najbardziej prawdopodobnym miejscem - rzędy filarów stanowiły doskonałą kryjówkę dla obserwatora. W końcu przy wejściu do kina zawsze ktoś czeka; można było stać tam bez wzbudzania podejrzeń. Odległość była jednak zbyt duża, by móc zidentyfikować pasażerów samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Obok, przed wejściem do sklepu z galanterią skórzaną, stał motocykl dostawczy, niewątpliwie zepsuty. Jego właściciel, mężczyzna około trzydziestki, pochylał się nad silnikiem, usiłując go naprawić. Nie widziała dokładnie twarzy, mogłaby jednak przysiąc, że nigdy przedtem go nie spotkała. Jakoś nie dowierzała, że motor mógłby posłużyć do szybkiej ucieczki. Nie mówili jej wszystkiego, a ona nie miała ochoty pytać. Słyszała jednak, że do wykonania zadania wybrano członków jej starej grupy. Ale mimo pomocy Wu i jego znajomości zdobycie samochodu nie musiało im się udać. Jeśli wóz z napędem gazowym będzie nadal stał w pobliżu, może się okazać, że to właśnie ten; w takim wypadku za kierownicą siedziałby Huang Lei. Wchodząc do kawiarni od strony tyłu samochodu, nie dostrzegła jednak kierowcy.

Przypuszczała, że Wu nie spodziewa się po nich zbyt wiele - prawdopodobnie obawia się, że z powodu braku doświadczenia zostaną złapani i zaczną sypać w czasie przesłuchań. Była pewna, że jego organizacja w Szanghaju nie ogranicza się do jednej osoby, ale dla Kuanga Yumina Wu stanowił jedyny kontakt.

Obiecał, że pozwoli im dołączyć do swojej organizacji. Być może to właśnie była próba.

- Zanim się pociągnie za spust, podchodzi się tak blisko, że lufa niemal dotyka ciała - powiedział jej kiedyś z uśmiechem Kuang Yumin. - Nie strzela się z daleka, jak w filmach.

W ten sposób prawdopodobnie starał się ją zapewnić, że nie pozabijają wszystkich wokół wystrzelanym na oślep gradem kul. Była przekonana, że nawet gdyby przeżyła trafienie z pistoletu, zostałaby kaleką na całe życie. Wolałaby umrzeć.

Czas już niemal nadszedł, czuła napięcie oczekiwania.

Gdy podnoszono kurtynę, trema zawsze się ulatniała.

Tym razem jednak czekanie było prawdziwą udręką. Mężczyźni przynajmniej mogą się rozluźnić, wypalając papierosa.

Otworzyła torebkę i wyjęła flakonik perfum, korkiem dotknęła skóry za uszami. Szklany chłód był jedynym namacalnym elementem rzeczywistości. W sekundę później poczuła aromat gardenii.

Zdjęła płaszcz i musnęła perfumami zgięcia łokci. Nim zdążyła wdziąć okrycie z powrotem, zza piętrzących się warstw białego sztucznego tortu weselnego na wystawie dostrzegła zaparkowany przed kawiarnią samochód. Był to jego wóz.

Chwyciła płaszcz i torebkę i narzuciwszy obie rzeczy na ramię, wyszła z lokalu. Zanim zbliżyła się do samochodu, kierowca otworzył przed nią drzwi. Pośrodku tylnej kanapy siedział pan Yi.

- Jestem spóźniony, wiem - wymamrotał przepaszająco, przygarbiwszy się nieco.

Posłała mu długie, oskarżycielskie spojrzenie i wsiadła. Gdy szofer wrócił na swoje miejsce, pan Yi polecił mu jechać na Ferguson Road - zapewne do apartamentu, w którym odbyła się ich poprzednia schadzka.

- Najpierw muszę wpaść do jubilera - zaprotestowała półgłosem.
- Chcę wymienić diamencik, który wypadł mi z kolczyka. To tu, niedaleko. Poszłabym tam, zanim się zjawisz, ale bałam się, że się miniemy. No i czekałam tyle czasu, jak głupia.

- Przepraszam - zaśmiał się. - Kiedy już miałem wychodzić, akurat przyszli ludzie, z którymi musiałem porozmawiać. - Pochylił się i zwrócił do szofera: - Wracamy tam, skąd ruszyliśmy przed chwilą.

Ujechali już spory odcinek drogi.

- Wszystko tutaj jest takie niewygodne - rzekła z nadąsaną miną.
- W domu nigdy nie mamy spokoju, nie da się zamienić słowa. Chcę wracać do Hongkongu. Załatwisz mi bilet na statek?

- Tęsknisz do męża?

- Nawet mi o nim nie mów! Opowiedziała panu Yi, że bierze odwet na mężu za romans z pewną tancerką.

Kiedy siedzieli obok siebie na tylnej kanapie, splótł ręce w taki sposób, że łokciem dotykał wierzchołka jej piersi. To był jego stały numer: siedzieć prosto i skromnie, upajając się skrycie jej przyjemną miękkością. Odwróciła się, by spojrzeć przez okno, i powiedziała szoferowi, gdzie ma się zatrzymać. Samochód wykręcił na kolejnym skrzyżowaniu i podjechał z powrotem do Ping'an, jedyne w mieście przyzwoitego kina grającego stary repertuar. Mur w kolorze wyblakłej czerwieni na rogu zaokrąglął się sierpowato. Znaleźli się znowu naprzeciwko kawiarni porucznika Kaia, sklepu „Syberyjska Galanteria Skórzana” i domu towarowego Green House z odzieżą damską - oba sklepy miały kolorowe neony i po dwa wielkie okna wystawowe pełne wystrojonych manekinów w najróżniejszych pozach. Kolejny sklep, o wiele skromniejszych rozmiarów, znacznie mniej rzucał się w oczy. Szyld nad wejściem głosił „Bizuteria”, ale na jedynej wystawie panowały pustki.

Yi polecił szoferowi zatrzymać wóz. Wsiadł i podążył za Jiazhi. Mimo że w pantofelkach na obcasie przewyższała go o pół głowy, najwyraźniej dysproporcja ta zupełnie mu nie przeszkadzała. Ona z kolei przekonała się z doświadczenia, że wysocy mężczyźni lubią nieduże kobiety, podczas gdy niscy wolą, by górowały nad nimi wzrostem - być może wynika to z dążenia do równowagi. Wiedziała, że jej się przygląda, toteż nieco przesadnie zakołysała biodrami, płynąc przez oszklone wejście niczym konik morski.

Powitał ich Hindus ubrany w zachodni garnitur. Wnętrze sklepu mimo niewielkiego metrażu było jasne, wysokie i niemal zupełnie puste. Jedyne w głębi stała niska szklana gablota, w której widniały szczęśliwe kamienie - po jednym na każdy miesiąc roku - półszlachetny żółty kwarc, czerwone i niebieskie kamienie zrobione z szafirowego bądź rubinowego proszku, mające zapewniać pomyślność.

Wyjęła z torebki kolczyk z rubinem w kształcie gruszki, w wysadzonym diamentami liściu brakowało jednego kamyka.

- Znajdziemy coś, co będzie pasowało - oznajmił Hindus, przyjrzawszy się kolczykowi.

Gdy pytała, ile to będzie kosztowało i na kiedy będzie gotowe, pan Yi wtrącił się:

- Spytaj, czy mają jakieś przyzwoite pierścionki.

Studiował w Japonii, nie w Anglii czy Stanach Zjednoczonych, toteż nie czuł się pewnie ze swoją angielszczyzną i zawsze prosił innych o tłumaczenie.

- A po co? - zawahała się.

- Przecież obiecałem kupić ci pierścionek - powiedział z uśmiechem. - Z diamentem, nie byle jaki.

Po chwili na jej twarzy wykwitł stoicki, zrezygnowany uśmiech.

- Czy są pierścionki z diamentami? - spytała cicho.

Hindus zwrócił się w stronę schodów i wyrzucił z siebie krzykliwy potok słów, zapewne w hindi. Następnie zaprowadził oboje na górę.

W głębi pomieszczenia, z boku jasnokremowej ściany, znajdowały się drzwi do ciemnej klatki schodowej. Biuro mieściło się na półpiętrze; niewielki balkon wychodził na sklep, zapewne po to, by można było obserwować, co dzieje się na dole. Na ścianie po lewej stronie wisały dwa różnej wielkości lustra, wymalowane w kolorowe ptaki i kwiaty oraz zdobione złożonymi chińskimi kaligrafiami: „Ten Ptak - Rok na pewno wzleci na dziesięć tysięcy mil. Gratulacje dla pana Bada z okazji uroczystego otwarcia. Z wyrazami szacunku, Chen Maokun". Trzecie lustro, ozdobione wizerunkiem feniksa wśród peonii, zbyt wysokie, by zmieściło się pod pochyłym sufitem, oparto o drugą ścianę.

W przedniej części pomieszczenia, przy hebanowej balustradzie, stało biurko z telefonem i lampą; obok stoliczek do herbaty, a na nim maszyna do pisania przykryta kawałkiem starej błyszczącej tkaniny. Drugi Hindus, przysadzisty mężczyzna o szerokiej ziemistej twarzy, z nosem spłaszczonym niczym lwi pysk, wstał ze swojego twardego fotela i przysunął im krzesła.

- A więc interesują państwa pierścionki z diamentami. Zapraszam, proszę spocząć.

Podreptał wolno w stronę rogu pokoju, poprzedzany przez sporych rozmiarów brzuch, a następnie pochylił się nad niewielkim, zielonym, staroświeckim sejfem.

Bez wątplenia nie był to elegancki przybytek. Pan Yi co prawda nie wyglądał na speszonego obskurnym otoczeniu, jednak Jiazhi poczuła ukłucie wstydu, że przyprowadziła go w takie miejsce. Słyszała, że ostatnimi czasy sklepy częstokroć stanowiły tylko

przykrywkę dla działalności czarnorynkowych handlarzy i spekulantów.

Wu wybrał ten sklep, ponieważ mieścił się w pobliżu kawiarni porucznika Kaia. Kiedy Jiazhi wspinała się po stopniach, zaświtała jej myśl, że gdy będą schodzili, Yi zostanie schwytany z wielką łatwością, niczym zółw do słoika. Ponieważ będzie się starał iść przed nią, w salonie na dole pojawi się pierwszy. A tam dwóch klientów przyglądających się klejnotom w gablocie nagle zatarasuje mu drogę. Mężczyźni ci jednak nie mogliby zbyt długo udawać, że oglądają tanie spinki do mankietów, szpilki do krawata czy błyskotki dla przyjaciółek; nie powinni się guzdrać jak dziewczyny. Ich wejście musiało być doskonale zgrane w czasie: nie mogło nastąpić ani za wcześnie, ani za późno. Gdy już znaleźli się w środku, musieli tam zostać. Przechadzanie się tam i z powrotem przed sklepem nie wchodziło w rachubę. Jego szofer natychmiast zacząłby coś podejrzewać. Najlepszym sposobem, by odwlekać wejście, byłoby zapewne przyglądanie się wystawie sklepu skórzanego obok, kilka jardów za samochodem.

Siedząc z boku biurka, nie mogła powstrzymać się przed zerkaniami w dół, przez balkon. Jediną barierę dla wzroku stanowiło okno wystawowe. Ponieważ witryna była czysta, a szklane półki puste, widziała dokładnie chodnik i bok zaparkowanego w pobliżu auta.

Z drugiej strony, dwóch mężczyzn w sklepie zbytnio rzucałoby się w oczy. Mogliby zwrócić uwagę nie tylko szofera, ale także samego pana Yi, który dostrzegłszy ich przez balkon, mógłby nabrać podejrzeń i ociągać się z zejściem na dół. Impas byłby katastrofalny w skutkach. Być może zamierzali przydybać go tuż przed sklepem. W takim wypadku musieliby jeszcze staranniej wybrać moment. Podejść należało spacerowym krokiem, ponieważ odgłos biegnących stóp natychmiast ostrzegłby szofera. Pan Yi przybył tylko w jego towarzystwie, toteż prawdopodobnie grał on także rolę osobistej ochrony.

A może się rozdzielili - jeden z nich stoi teraz przed wystawą domu towarowego Green House, pod rękę z Lai Xiujin wlepiającą spojrzenie w witrynę. Każda dziewczyna mogłaby tak stać godzinami, wpatrując się w ubrania, na które jej nie stać, podczas gdy chłopak

przestępuje z nogi na nogę, stojąc plecami do wystawy i rozglądając się wokoło.

Wszystkie te scenariusze kłębiły się chaotycznie w jej umyśle, mimo że doskonale wiedziała, że to wszystko nie jej sprawa. Nie mogła pozbyć się uczucia, że siedząc tu, w tym małym sklepiku na piętrze, przycupnęła na beczce prochu, która za moment wybuchnie i wysadzi ją w powietrze. Delikatne drzenie powoli ogarniało jej nogi.

Sprzedawca zszedł z powrotem na dół. Jego szef był znacznie ciemniejszej karnacji; nie wyglądali na ojca i syna. Młodszy miał obwisłe, workowate policzki z kilkudniowym zarostem i senne oczy o ciężkich powiekach. Niewysoki, lecz wystarczająco krzepki, w razie potrzeby mógł zapewne pełnić funkcję ochroniarza. Miejsce ustawienia witryny z biżuterią, daleko w głębi sklepu, i pusta wystawa sugerowały, że właściciele obawiają się włamania nawet w biały dzień. W nocy używano kłódki wiszącej u wejścia. Gdzieś w tym lokalu prawdopodobnie przechowuje się coś wartościowego, może sztaby złota, dolary amerykańskie, srebro.

Jiazhi przyglądała się Hindusowi, który wyjął tackę wyłożoną czarnym aksamitem, około stopy długości, wypełnioną rzędami pierścionków z diamentami. Wraz z panem Yi pochyliła się nad nimi.

Widząc ich brak zainteresowania - nie wzięli do ręki żadnego pierścionka, by mu się przyjrzeć - właściciel włożył tackę z powrotem do sejfów.

- Mam jeszcze to - dodał, otwierając niewielkie pudełeczko z niebieskiego aksamitu.

Głęboko w środku tkwił różowy diament rozmiarów ziarnka grochu.

Nikt teraz nie sprzedaje różowych diamentów - Jiazhi przypomniała sobie słowa Yi taitai. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, poczuła przyływ ulgi, nareszcie nie miała czego się wstydzić. Zanim pojawił się różowy diament, czuła się jak jakaś naciągaczka, biedna dziewczyna z Kantonu, która przyprowadziła swojego szanghajskiego podtatusiałego kochanka do marnego sklepiku z kamykami. Rzecz jasna, gdy rozlegną się strzały, to wszystko - łącznie z ulotnymi rozważaniami o wiarygodności czy dumie - rozsypie się w pył. Rozumiała to doskonale, jednak nie mogła pozwolić sobie na myślenie o tym, z obawy że Yi dostrzeże przerażenie na jej twarzy.

Ujęła pierścionek.

- No, to już jest coś - zaśmiał się cicho Yi, przyglądając się kamieniowi na jej dłoni.

Poczuła paralizujący chłód na karku; okna wystawowe i oszklone drzwi na dole wydawały się poszerzać, rosnać, tak jakby za jej plecami wznosiła się ogromna, wysoka na dwa piętra płaszczyzna lśniącego, kruchego szkła, gotowa rozpaść się w każdej chwili. Lecz mimo że groza sytuacji przyprawiała o zawrót głowy, sklep zdawał się utrzymywać ją w stanie odrętwienia. Dobiegające z zewnątrz odgłosy ruchu miejskiego były ciche i stłumione. Z powodu wojny po drogach jeździło znacznie mniej samochodów; dźwięk klaksonu stanowił rzadkość. Ciepłe, słodkie powietrze w sklepie otulało ją niczym kołdra. Mimo niejasnego przeczucia, że za moment coś się wydarzy, ospałość skłaniała ją ku myśli, że to tylko sen.

Przyglądała się pierścionkowi w świetle lampy, obracając go w palcach. Siedząc tyłem do balkonu, zaczęła wyobrażać sobie, że rozświetlone okna i drzwi za nią to ekran w kinie, w którym właśnie grają film akcji. Nigdy nie lubiła filmów ze scenami przemocy; jako dziecko zawsze odwracała się plecami do ekranu, gdy zaczynało się dziać coś strasznego.

- Sześć karatów. Proszę przymierzyć - nakłaniał Hindus.

Postanowiła nacieszyć się senną intymnością tej jubilerskiej jaskini. Jej wzrok padł na umoszczone wśród peonii odbicie jej stopy w lustrze opartym o ścianę, a następnie z powrotem na wspaniały skarb - klejnot niczym prosto z Księgi tysiąca i jednej nocy, tkwiący na jej palcu. Poruszała dłonią to w jedną, to w drugą stronę, porównując jego barwę z jaskrawym szkarłatem polakierowanych paznokci. Na ich tle kamień wydawał się mały i blady, jednak w półmroku sklepu lśnił urzekającym blaskiem, niczym różowo świecąca gwiazda o zmierzchu. Poczuła ukłucie żalu, że miał pełnić jedynie funkcję rekwizytu w tej krótkiej, przedostatniej scenie dramatu, który właśnie się rozgrywał.

- No i jak? - spytał raz jeszcze pan Yi.

- A ty jak myślisz?

- Nie znam się na tym. Ucieszę się, jeśli ci się spodoba.

- Sześć karatów. Nie mam pojęcia, czy ma jakieś skazy; nic takiego nie widzę.

Pochylili się razem nad pierścionkiem, rozmawiając i śmiejąc się jak para narzeczonych. Jiazhi studiowała w Kantonie, najwcześniej

otwartym dla Brytyjczyków porcie traktatowym, jednak tamtejsze szkoły nie kładły aż takiego nacisku na naukę angielskiego, jak czyniono to w Hongkongu, toteż dziewczyna porozumiewała się raczej niepewnie. Wyczuwając tę językową nieporadność, właściciel postanowił oszczędzić jej zwyczajowych wstępów na temat zasad wyceniania diamentów. Cenę ustalono szybko: jednaście sztab złota, dostawa jutro. Jeśli waga którejkolwiek ze sztab okaże się niższa od standardowej, pan Yi zobowiązał się do wyrównania różnicy; w odwrotnym wypadku zaś jubiler obiecywał zwrot za przekroczoną wagę. Cała transakcja - wymiana złota na diamenty - także przywodziła na myśl scenę z Księgi tysiąca i jednej nocy.

Niepokoilo ją, że wszystko dokonało się tak szybko. Zapewne nikt się nie spodziewał, że tak wcześnie wyjdą ze sklepu. Dobrze jednak wiedziała, że dialog to najlepszy wypełniacz scenicznego czasu.

- Czy nie powinniśmy poprosić o pokwitowanie?

Yi prawdopodobnie zamierzał posłać jutro kogoś, by dostarczył złoto i odebrał pierścionek.

Hindus już wypełniał odpowiedni dokument. Pierścionek został zdjęty i zwrócony właścicielowi sklepu.

Rozsiedli się wygodnie, odprężeni po zakończeniu negocjacji.

- Wszyscy ostatnio żądają złota. - Zaśmiała się lekko. - Nikt nawet nie wspomina o gotówce.

- Nie szkodzi, i tak nigdy jej przy sobie nie noszę.

Mieszkając u rodziny Yi, zorientowała się, że różne dodatkowe koszty zawsze pokrywali współpracownicy - przywilejem ministra było nie sięgać do własnej kieszeni. Dziś, rzecz jasna, przyszedł sam, by zachować dyskrecję, był więc zupełnie bez pieniędzy.

Anglicy mawiają, że władza jest najsilniejszym afrodyzjakiem. Nie była pewna, czy to prawda, na niej nie robiła bowiem żadnego wrażenia. Mówi się też, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez jego żołądek - ponoć mężczyźni często stają się łatwymi zdobyczami kobiet, które doskonale gotują. W pierwszej czy drugiej dekadzie dwudziestego wieku pewien znany chiński uczoney podobno oznajmił, że droga do serca kobiety wiedzie przez jej łono. Jego nazwisko wyleciało jej z pamięci, pamiętała jednak porównanie, którego używał jako argumentu na rzecz męskiej poligamii: „Czajniczek do herbaty zawsze otacza wiele czarek”.

Nie mogła uwierzyć, że prawdziwy intelektualista mógłby wymyślić coś tak wulgarnego. Nie wierzyła też w słusność tego powiedzenia; może stosowało się do starych, zdesperowanych prostytutek czy wesołych wdówek. Sama czuła odrazę do Lianga Runshenga już wcześniej, lecz potem jej obrzydzenie tylko zyskało na sile.

Być może jednak nie był to dobry przykład - Liang Runsheng od początku był niespokojny, niepewny i aż nazbyt zdawał sobie sprawę z jej niechęci. Jego wyraźne poczucie niższości tylko rosło w czasie, gdy odbywało się to wszystko, co z kolei wzmagało jej pogardę.

To chyba niemożliwe, by zakochała się w Yi? Mimo że traktowała tę myśl z najwyższym sceptycyzmem, nie potrafiła jej całkowicie odrzucić - nigdy jeszcze nie była zakochana i nie miała pojęcia, jakie to uczucie. Ponieważ od czasów nastoletnich skupiała się raczej na odpieraniu romantycznych ataków, wykształciła w sobie silny opór przeciwko wchodzeniu w jakiegokolwiek związku uczuciowe. Przez moment wydawało jej się, że fascynuje ją Kuang Yumin, ale w końcu znienawidziła go, okazał się taki jak wszyscy.

W trakcie obu schadzek z Yi była tak spięta i pochłonięta graniem swojej roli, że nie miała nawet okazji zadać sobie pytania, co czuje. W domu musiała nieustannie mieć się na baczności. Co wieczór oczekiwano od niej, by do późna dotrzymywała wszystkim towarzystwa. Kiedy nareszcie mogła odejść do swojego pokoju, łykała pigułkę nasenną, by jak najprędzej zasnąć. Kuang Yumin dał jej niewielką buteleczkę tych pigułek, radząc, żeby starała się unikać ich zażywania - na wypadek gdyby coś się wydarzyło z rana i musiała wykazać się przytomnością umysłu. Bez tabletek jednak dręczyła ją bezsenność, przypadłość, na którą nigdy wcześniej nie cierpiała.

Dopiero teraz, gdy ostatnie chwile spokoju ciągnęły się w nieskończoność, siedząc na tym ciasnym balkoniku, gdzie sztuczny blask lampy wchodził w nieprzyjemny dysonans z bladą poświatą nieba wpadającą przez drzwi i okna, mogła pozwolić sobie na chwilę relaksu i wejrzeć we własne uczucia. Paradoksalnie, obecność Hindusa pochylonego nad biurkiem zwiększała wrażenie bycia sam na sam z kochankiem. To jednak nie był właściwy moment, by zadać sobie pytanie, czy go kocha, powinna raczej...

Patrzył w dal ze smutnawym uśmiechem na twarzy. Nigdy nawet nie marzył o tym, że w średnim wieku spotka go takie szczęście. To

oczywiste, że zawdzięczał je głównie władzy i pozycji, stanowiących integralną część jego osoby. Prezenty także miały niebagatelne znaczenie, musiały być jednak dawane w odpowiednich momentach. Przedwczesny podarunek byłby obraźliwy dla obdarowanej, sugerowałby bowiem jej chciwość. Co prawda reguły gry były mu doskonale znane, musiał jednak pozwolić sobie na krótką chwilę euforii, radości z tej wspaniałej nagrody od losu; bez tego to wszystko traciło jakikolwiek sens.

Miał w tym wielkie doświadczenie: zabierał swoje ukochane na zakupy, spełniał ich kaprysy i przyglądał się z boku, gdy wybierały. Jiazhi jednak nie dostrzegła w jego uśmiechu śladu cynizmu: był tam tylko smutek. Siedział w poświacie lampy, pogrążony w czymś w rodzaju czulej kontemplacji; cienie jego rzęs na zapadłych policzkach miały wypłowywać barwę skrzydeł ćmy.

On naprawdę mnie kocha - pomyślała. Głęboko wewnątrz poczuła nagły wstrząs, a po chwili niejasne poczucie straty.

Było już za późno.

Hindus wręczył mu pokwitowanie. Yi schował je do kieszeni marynarki.

- Uciekaj - powiedziała cicho.

Przez moment patrzył oszołomiony, aż nagle wszystko stało się dla niego jasne. Podniósł się gwałtownie, pchnął drzwi, odzyskał równowagę, przytrzymując się futryny, rzucił się ku poręczy i popędził w dół ciemnymi, wąskimi schodami. Przesadzał po kilka stopni naraz; słyszała huk jego nieregularnych kroków.

Za późno. Zrozumiała to za późno.

Jubiler był zdumiony. Zdając sobie sprawę, jak podejrzane musi się wydawać ich zachowanie, Jiazhi zmusiła się, by siedzieć spokojnie, i nie uległa pokusie spojrzenia w dół.

Nasłuchiwali uderzeń podeszew o parkiet; w końcu Yi zjawił się w zasięgu ich wzroku, wypadając przez oszklone drzwi z impetem kuli armatniej. W chwilę potem ukazał się przysadzisty sprzedawca, który podążał tuż za nim. Przeraziła ją myśl, że mógłby próbować wciągnąć go z powrotem do środka i żądać wyjaśnień; kilka sekund opóźnienia mogło mieć fatalne skutki. Jednak onieśmielony, być może, widokiem służbowego samochodu, Hindus zatrzymał się w drzwiach, wyglądając na zewnątrz; jego ciężka, muskularna postać zatarasowała wejście. Usłyszeli pisk silnika, jakby wóz stanął dęba na

tylnych kołach, a następnie trzask - odgłos zamykania drzwi, a może huk wystrzału? Samochód odjechał z warkotem.

Gdyby rzeczywiście ktoś strzelał, usłyszeliby więcej niż jeden trzask.

Jiazhi uspokoiła się. Zapadła cisza.

Odetchnęła z ulgą. Czuła słabość ogarniającą całe ciało, jakby była wyczerpana po poważnej chorobie. Pozbierała starannie swoje rzeczy, a następnie wstała z krzesła, uśmiechnęła się i skinęła głową.

- W takim razie jutro. - Ściszyła głos do swojego zwykłego nieśmiałego tonu, którego używała, mówiąc po angielsku. - Zapomniał, że ma spotkanie, dlatego musiał wyjść w takim pośpiechu...

Jubiler włożył okulary i przyjrzał się z bliska klejnotowi, upewniając się, że dżentelmen, który przed chwilą wyszedł, nie wymienił go na fałszywy. Następnie z uśmiechem odprowadził ją do wyjścia.

Nie mogła mieć do niego pretensji o tę ostrożność. Negocjacje odbyły się podejrzenie łatwo i szybko.

Pospieszyła w dół schodami. Na jej widok sprzedawca zawahał się, lecz najwyraźniej postanowił milczeć. Gdy była już za drzwiami, dobiegła ją głośna wymiana zdań między górą a dołem.

Przed sklepem nie parkowała ani jedna ryksza, poszła więc piechotą w stronę Seymour Road. Grupa z pewnością rozproszyła się, widząc, jak Yi pędzi do samochodu i odjeżdża. A jeśli ktoś wciąż pilnuje tylnego wyjścia? - zaniepokoiła się. A nuż nie zauważył, co się stało od frontu, i cały czas tkwi na posterunku? Co będzie, jeśli go spotka? Lecz nawet gdyby podejrzewał ją o zdradę, przecież nie stanie jej na drodze tu i teraz, nie mówiąc już o dokonaniu przyspieszonej egzekucji.

Zaskoczyło ją, że na zewnątrz wciąż jest jasno, tak jakby siedząc w sklepie, całkowicie zatraciła poczucie czasu. Chodniki wokół roily się od przechodniów; ryksze mijały ją jedna za drugą, wszystkie zajęte. Tłumy pieszych i pojazdy przepływały obok niej, jak gdyby oddzielone szklaną ścianą, niedostępne, niczym eleganckie manekiny na wystawach domu towarowego Green House, które można podziwiać, lecz nie można ich dotknąć. Sunęły nieprzerwanie, spokojne i niewzruszone, a ona stała obok, samotna w swoim wzburzeniu.

W każdej chwili spodziewała się tamtego samochodu na gaz - że podjedzie do niej z boku, a z wnętrza wychynie ręka i wciągnie ją do środka.

Chodnik przed kinem Ping'an był opustoszały: widzowie jeszcze nie wylegli na zewnątrz po zakończeniu seansu, ani jeden rykszarz nie czekał na potencjalnych klientów. Rozglądając się i zastanawiając, w którą stronę pójść, po przeciwległej stronie ulicy, w pewnej odległości, dostrzegła zbliżającą się powoli rykszę z przymocowanymi do kierownicy wiatraczkami: czerwonym, niebieskim i białym. Na jej okrzyki i machanie ręką wysoki, młody rowerzysta pospieszył w jej stronę; gdy pędził ulicą, wiatraczki kręciły się jak szalone.

- Yu Garden Road - oznajmiła, wsiadając.

Na szczęście od początku pobytu w Szanghaju mało kontaktowała się z grupą, jak dotąd nie wspomniała nikomu, że ma rodzinę na Yu. Pomyślała, że zamieszka tam przez kilka dni, dając sobie czas na ocenę sytuacji.

Gdy zbliżali się do świątyni Jing'an, rozległ się gwizd.

- Ulica zablokowana - poinformował ją rykszarz.

Mężczyzna w średnim wieku, z gwizdkiem w ustach, ubrany w tradycyjne spodnie i wdzianko, trzymał linę rozciągniętą w poprzek drogi. Po przeciwnej stronie drugi, podobnie ubrany człowiek ciągnął drugi koniec liny, zagradzając przejście pieszym i pojazdom. Ktoś niemrawo uderzał w dzwonek; lichej metaliczny odgłos ledwie przebijał się przez gwar szerokiej ulicy.

Rykszarz, nie zważając na nic, dopedałował aż do liny, zahamował, zniecierpliwionym gestem wprawił w ruch jeden z wiatraczków, po czym odwrócił się i uśmiechnął do pasażerki.

Wokół stolika do gry siedziały już trzy czarne mantyle. Nowo przybyła Liao taitai miała nos upstrzony białawymi śladami po ospie.

- Pan Yi wrócił - uśmiechnęła się znacząco Ma taitai.

- Cóż za kłamliwe nasienie z tej Wang Jiazhi! - oburzała się Yi taitai. - Obiecuje zaprosić na kolację, a potem ucieka. Padnę z głodu, jeśli każe nam czekać dłużej!

- Panie Yi - uśmiechnęła się Liao taitai - pańska żona nas dzisiaj zrujnowała. Jutro to ona będzie stawiać!

- A gdzie kolacja, którą nam pan obiecał ostatnio, kiedy pan wygrał? - wtrąciła pani Ma. - Ależ ciężko od pana wydobyć zaproszenie!

- Pan Yi powinien dziś postawić nam wszystkim, ale za to, że nigdy nie można go zmusić, żeby przyjął zaproszenie od nas - dorzuciła kolejna czarna mantyla.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Kiedy służąca przyniosła mu herbatę, strząsnął popiół z papierosa na spodek, spoglądając w stronę grubych wełnianych kotar na przeciwległej ścianie i zastanawiając się, ilu morderców mogłoby się za nimi ukryć. Wciąż pozostawał pod silnym wrażeniem wydarzeń tego popołudnia.

Musi pamiętać, żeby jutro koniecznie zdjąć kotary, mimo że żona z pewnością będzie przeciwna trzymaniu czegoś tak drogiego w składziku.

To wszystko jej wina, skutek braku ostrożności w dobieraniu przyjaciół. Mimo wszystko zdumiewało go, jak pracowicie i długo - dwa lata - obmyślano całą tę misterną pułapkę. Przygotowano ją tak starannie, że uratowała go dopiero podjęta w ostatniej chwili decyzja jego femme fatale. Jednak naprawdę go kochała - jego pierwsza prawdziwa miłość. Cóż za uśmiech losu!

Mógł spotykać się z nią nadal. Słyszał gdzieś - a może czytał - że wszyscy szpiedzy są braćmi: potrafią zachować wobec siebie lojalność, która staje się ważniejsza od wszystkich misji. Tak czy owak, była po prostu studentką. W tej ich grupie tylko jeden człowiek był opłacany przez Chongqing, ten, który uciekł - jedyne zakłócenie całej operacji. Najprawdopodobniej wyszedł z kina w połowie seansu, a potem wrócił, gdy tylko odwołano próbę zabójstwa. Po zablokowaniu terenu mógł pokazać policji odcinek biletu i zostać puszczony wolno. Młody człowiek, który czekał wraz z nim na początek akcji, widział, jak upewnia się, że bilet jest bezpiecznie ukryty razem z papierosami. Z góry ustalono, że nie będzie zajmował miejsca w samochodzie przeznaczonym do ucieczki, lecz jak gdyby nigdy nic wejdzie z powrotem do kina.

Młode głuptychy wyśpiewały wszystko, gdy tylko nieco ich poturbowano.

Pan Yi stał za plecami żony, obserwując grę. Zgasiwszy papierosa, pociągnął łyk herbaty - była wciąż za gorąca. Wczesne położenie się do łóżka było tym, czego najbardziej potrzebował, mimo

to przemęczenie nie pozwalało mu się odprężyć. Wyczerpało go całe popołudnie przesiedziane przy telefonie, gdy czekał na wieści; nie zjadł nawet porządnego obiadu. Gdy tylko znalazł się w bezpiecznym miejscu, wydał przez telefon polecenie, by zablokować teren. Do dziesiątej wieczorem wystrzelano ich wszystkich. Pewnie na koniec go zniechęciła. Ale prawdziwi mężczyźni muszą być bezwzględni. Nie pokochałaby go, gdyby ulegał sentymentom.

Rzecz jasna, miał związane ręce, i to bardziej przez Zhou Fohaia niż japońską policję wojskową. Od jakiegoś czasu Zhou prowadził własne tajne operacje, a wywiad rządowy - departament kierowany przez Yi - uważał za zbędny.

Dlatego nieustannie ich obserwował, doszukując się dowodów niekompetencji. Pan Yi doskonale sobie wyobrażał, jaki użytek Zhou zrobiłby z odkrycia, że szef wywiadu gościł we własnym domu wtyczkę zabójczej organizacji.

Teraz przynajmniej Zhou nie miał podstaw, by cokolwiek mu zarzucić. Gdyby oskarżył go o zlikwidowanie potencjalnie użytecznych świadków, Yi mógł śmiało odparować, że to tylko studenci, a nie doświadczeni szpiedzy, z których za pomocą powolnych, przemyślanych tortur można byłoby wycisnąć ważne informacje. A gdyby egzekucję odkładano, wieść o całej sprawie mogłaby się rozejść. Staliby się bohaterami narodowymi planującymi zabić zdrajcę narodu, wyrazicielami powszechnego niezadowolenia.

Nie podobał mu się przebieg tej wojny i nie miał pojęcia, jak się to wszystko dla niego skończy. Doznał jednak miłości pięknej kobiety, teraz mógł zginąć szczęśliwy, bez żalu. Nieustannie czuł w pobliżu jej cień, który go pocieszał. Chociaż na koniec zniechęciła go, przynajmniej coś do niego czuła. A teraz posiadał ją w pełni, w prymitywny sposób, jak myśliwy zwierzynę, jak tygrys swoją zdobycz. Za życia należało do niego jej ciało, po śmierci - jej dusza.

- Niechże nas pan zabierze na kolację, panie Yi! - trąkotały zaciekle trzy czarne mantyle.

- Przecież pan obiecał!

- Ma taitai też obiecała - wtrąciła pani Yi z uśmiechem. - A po tym, jak nie widziałyśmy się z nią kilka dni, kompletnie o tym zapomnialyśmy!

- Żona jak zwykle bierze stronę męża. - Pani Ma odwzajemniła uśmiech,

- To jak będzie, zaprosi nas w końcu pan Yi czy nie?

- Pana Yi chyba ostatnio opuściło szczęście - zauważyła pani Ma, patrząc na niego i uśmiechając się znowu.

Zrozumieli się doskonale. Trudno, żeby nie zauważyła, jak oboje znikają jedno po drugim. Dziewczyna wciąż jeszcze nie wróciła. On zaś wyglądał na rozkojarzonego; od jego twarzy biła radosna poświata. Podejrzewała, że tego popołudnia odbyła się ich pierwsza schadzka.

Musi pamiętać, by wyuczyć swoją żonę wymyślonej przez siebie historii: pani Mai musiała nagle wracać do Hongkongu w ważnej sprawie rodzinnej. Potem trzeba ją trochę postraszyć wywiadowczą paplaniną: niedługo po tym, jak zaczęła hodować tę żmiję na piersi rodziny, otrzymał informację, że Mai ma powiązania z kręgami szpiegowskimi z Chongqingu. Ledwie jego ludzie zaczęli badać sprawę, dowiedział się, że Japończycy też coś węszą. Gdyby sam nie zaczął działać, nie mógłby przypisać sobie żadnych zasług w śledztwie, a Japończycy odkryliby powiązanie z jego żoną i zaczęliby go obciążać. Najlepiej uderzyć z grubej rury, żeby żona pozostała głucha na wszelkie sugestie Ma taitai.

- Niech pan nas zabierze na kolację, panie Yi! Proszę nie zmuszać żony, żeby świeciła za pana oczami.

- Żona sama wydaje kolacje. Obiecała paniom jutro.

- Wiemy, jak bardzo jest pan zajęty. Proszę dać znać, gdy tylko znajdzie pan wolną chwilę - będziemy na pana zawołanie, codziennie, od pojutra!

- Nie, proszę nas zaprosić dzisiaj! Może do Laixi?

- Nie ma tam nic jadalnego oprócz zimnego bufetu.

- Niemiecka kuchnia jest taka nudna, same zimne mięsa. Może dla odmiany zjedzmy coś po hunkańsku?

- Albo do Shuyu... pani Ma nie poszła tam z nami wczoraj.

- Wolalabym Jiuru, tak dawno tam nie byłam!

- Ostatnim razem nie było z nami pani Liao. A tak by nam się przydał ktoś z Hunanu! Nie miałyśmy pojęcia, co zamówić.

- Dla mnie tam jest za ostro!

- To trzeba powiedzieć kucharzowi, żeby mniej przyprawiał.

- Tylko zimne ryby nie jadają pikantnego chili!

Wśród gromkich śmiechów po cichu wymknął się z pokoju.

Kwiat unoszący się na falach

Była to jedna z kilku kajut drugiej klasy na malutkim frachtowcu. Nie wyposażono jej w górną i dolną koję, lecz w ciemnozieloną skórzaną sofę; w ścianie zainstalowano małą cynową umywalkę oraz kran z zimną i ciepłą wodą. Boy w długiej białej koszuli, mierzący niewiele ponad trzy stopy wzrostu, już jednak niemłody, wepchnął do wewnątrz drewnianą okutą skrzynię, po czym jął wnosić, jedną po drugiej, skórzane walizki. Wszystko to czynił w absolutnym milczeniu. Wyglądał na Guangdończyka.

Obsługiwana w tak grzeczny, wręcz unizony sposób, Luozen czuła się nieswojo. Jej strój nie należał do wyszukanych - składał się z bladozielonego wdzianka z haftowanym jedwabiu i szarej sukienki w zachodnim stylu; w rękach, oprócz złożonego płaszcza i torebki, niosła starą maszynę do pisania. Zawahała się. Wyglądało na to, że boy będzie ją obsługiwał przez cały rejs. Postanowiła, że przy wysiadaniu da mu odpowiednio duży napiwek, a na razie ograniczy się do podziękowania. Boy kiwnął głową i zniknął.

Sama rozstawiła pakunki w kajucie. Jej wzrok padł na walizkę, całą w kolorowych zagranicznych znaczkach i nalepkach - widać na pierwszy rzut oka, że podróżowała po całym świecie... Walizka starszej siostry.

Luozen była, jak to się mówi, „córką starego ojca” - kilkanaście lat młodsza od siostry, dwóch środkowych braci nie dożyło dorosłego wieku. Osierocona przez rodziców w szkole średniej, nie wybrała się nawet na miejscowy uniwersytet, nie mówiąc już o zagranicznych studiach.

Czyżby zanosilo się na to, że tę noc spędzi na sofie? Uniosła skórzane poduszki, odsłaniając materac pod spodem - kilka wielkich karaluchów rozbiegło się w panice i znikło. Materac się wysuwało - zapewne można było w ten sposób uzyskać podwójne pośłanie; na szczęście nie miała takiej potrzeby. Oby tylko stworzenia nie wypęły na obicie. W pasie tropikalnym szkodniki osiągały niezwykle rozmiary - ten nieduży norweski armator kursował między Japonią, Hongkongiem z Tajlandią.

Z zewnątrz dobiegł gwar głosów. Odruchowo uchyliła drzwi, lecz nie śmiała się rozglądać. Dostrzegła parę w średnim wieku. Kobieta miała na głowie mały filcowy kapelusik, ozdobiony sztucznymi kwiatami, w stylu lat trzydziestych czy też dwudziestych. Oboje energiczni; ich narodowość była trudna do rozpoznania, lecz język,

którym się posługiwali, przypominał angielski. Pilnowali wnoszenia bagaży. Kajuta, w której zamierzali się ulokować, nie sąsiadowała bezpośrednio z jej własną. Miała nadzieję, że statek wkrótce odbije od brzegu - armator nie był zbyt punktualny - a jeśli nikt więcej się nie zjawi, będzie mogła cieszyć się ciszą i spokojem.

Morze Południowochińskie, dziwni pasażerowie, atmosfera lat dwudziestych, unizony boy okrętowy - wszystko to przypominało jej powieści Maughama. Czyżby, opuszczając kontynent, tajemniczym sposobem wkroczyła do Maughamowskiego świata? Dziwne uczucie.

Gdy szła hotelowym korytarzem, wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Był to stary, lecz dobrze utrzymany budynek; miękki dywan wchłaniał odgłosy kroków. Panowała cisza, powietrze nawet nie drgnęło - czuła się jak w jakimś tunelu do podróży w czasie; nogi lekko jej się ugiwały, a stopy ślizgały.

Przejście mostem Lo Wu było zadaszone. Zapewne z braku funduszy zabudowę wykonano raczej prowizorycznie; w ścianach z surowego drewna w pewnych odstępach wycięto otwór powyżej wysokości ludzkiej głowy, tak że nie dało się wyjrzeć na zewnątrz. Sam strop i podłoga zostały niegdyś pomalowane na ciemne bordo, ale drewniane belki mostu w ciągu dziesięcioleci wytarły się niemal do białości. Miękkie, stare drewno sprężynowało - rozemocjonowana, idąc z ciężkimi walizami, Luozen nadal miała wrażenie, że to nogi uginają się pod nią. Przejście było szerokie, a dach majaczył gdzieś wysoko; w oddali z belki stropu zwisała nieduża latarnia - przenikało tu niewiele światła dziennego. Nie miała pojęcia, ile czasu tak maszeruje w półmroku; most wydawał się niezwykle długi. Czy tam, w dole, to na pewno rzeka, czy też może jezioro? Lo Wu... (Gra słów. W nazwie mostu Lo Wu, nazwanego tak od dystryktu w Hongkongu, gdzie się znajduje, drugi człon oznacza „jezioro”. Most przez rzekę Sham Chun łączył Hongkong z miastem Shenzhen, należącym do Chin (przyp. tłum.).)

Na drugim końcu tłoczyli się tragarze. Już wejście na most było równoznaczne z przekroczeniem granicy, lecz jej tragarz najwyraźniej uznał, że nie znalazła się jeszcze po bezpiecznej stronie - puścił się ku niej biegiem i niemal rzucił na nią, aż drgnęła z przestraszeniem, jakby obawiając się, że zamierza ją obrabować. Nie miała wyboru, musiała starać się dotrzymać mu kroku.

Mały staruszek z dwiema walizkami w jednej ręce i drągiem - koromysłem w drugiej gnał po wyłysiałej trawie, spomiędzy której wyglądała czerwona hongkońska ziemia. Zatrzymał się dopiero u podnóża niewielkiego pagórka, pomiędzy dwoma drzewami, postawił walizki na ziemi i usiadł.

- No! Teraz nie ma się czego bać - oświadczył z uśmiechem.

Takie szczupłe twarze o wydatnych kościach policzkowych i krzaczastych brwiach, niczym u postaci ze starych obrazów, często spotykało się u Guangdończyków. Ciekawe, skąd te emocje - wyczuł u swojej klientki chęć ucieczki czy może widział kiedyś, jak kogoś aresztowano i przeprowadzono z powrotem? Luozen nie najlepiej rozumiała tutejszy dialekt, więc nie próbowała mężczyzny wypytywać. Zmęczona po biegu przysiadła również w cieniu drzewa. Popatrzyła na drogę, którą przybyła, i uśmiechnęła się. Uszy miała pełne ćwierkania cykad, czuła radosne podniecenie. Objuczeni pakunkami, kolejno nadchodzili inni przyszli pasażerowie autobusu. Niektórzy także przysiadali pod drzewami.

Stary tragarz zauważył, że zamek jej sfatygowanej walizki odskoczył i nie da się zamknąć z powrotem. Wyciągnął zwój konopnego sznurka i obwiązał bagaż trzykrotnie dookoła. Luozen podziękowała mu wylewnie i chciała dopłacić, lecz uczynił odmowny gest ręką.

Do Kantonu jechała pociągiem, w wagonie z twardymi kuszetkami. Według zwyczaju przejętego z sowieckiej Rosji, nie było podziału na wagony męskie i damskie. Górna leżanka zapewniała jej odrobinę prywatności, lecz oślepiające światło lampy sufitowej, palącej się przez całą noc, padało prosto na nią. Leżała w ubraniu; ilekroć jej ręka powędrowała w stronę guzików, napotykała spojrzenie mężczyzny z kuszetki po przeciwległej stronie wąskiego korytarza. Dolną leżankę zajmowała młoda kobieta w zachodnim stroju, uczesana w kucyki. Leżała i czytała gazetę, nucąc hymn partii komunistycznej. Ciekawe, czego lewicowcy mogą szukać w Hongkongu? - zadawała sobie Luozen naiwne pytanie.

W Kantonie zatrzymała się na jedną noc. Hotel mieścił się w starej, zrujnowanej kamienicy w stylu kolonialnym. Jednoosobowy pokój, który przypadł jej w udziale, okazał się ogromny i niemal dwukrotnie wyższy niż normalnie. Port w Kantonie otworzył się jako pierwszy i zapewne dlatego nie wyburzono tu zbyt wiele. Takich

budynków jak ten było mnóstwo; czuło się wyraźnie atmosferę tropikalnej kolonii brytyjskiej. Luozhen chciała się trochę przejść, zanim zupełnie się ściemni. Jak na późną porę, było niezwykle jasno. Po szerokiej, wyboistej alei nie jeździły żadne pojazdy - stało tu za to mnóstwo straganów i ulicznych jadłodajni, krytych prowizorycznymi daszkami z białego płótna. Widok ten przypominał jej fotografie z Indii.

Gdy tak szła ulicą, jakiś człowiek idący z naprzeciwka popchnął ją. Nie przejęła się tym zbyt - w Szanghaju zdarzały się podobne wypadki. W biały dzień, na środku gwarnej ulicy, pod okiem wojskowego patrolu, nawet nieobyczajne zaczepki nie były niczym niezwykłym.

Za zakrętem, gdzie nie docierały już promienie zachodzącego słońca, rozpostarła się przed nią zasłona mroku. Na wieczornej ulicy panowała duchota niczym w koszyku do gotowania na parze. Znalazłszy się w tej rozległej, pełnej zamętu, mrocznej przestrzeni, poczuła się jak w pudełku o niewidocznych ścianach. Z oddali zamaszystym krokiem nadchodził mężczyzna w białej koszuli i tunice w chińskim stylu - na wszelki wypadek odsunęła się, by zrobić mu przejście, lecz i tak wpadł prosto na nią. Tutejsi ludzie przypominali rojące się wieczorami natrętne moskity. Nie mogła jednak przepuścić ostatniej okazji zwiedzenia Kantonu, toteż odważnie parła dalej naprzód. Nagle usłyszała dźwięk gwizdka, który spłoszył ją na tyle, że pośpieszyła z powrotem do hotelu.

Jak to możliwe, że Chińczycy zachowują się w ten sposób? Może kantończycy po prostu widzą w niej obcą? Co prawda, wcale nie wyglądała na typową szanghajkę, jednak w porównaniu z tutejszymi ludźmi była nieco wyższa i ciemniejsza. Jej pociągła, trochę płaska twarz miała w sobie coś męskiego; po obu stronach ust widniały wydatne dołeczki, co sprawiało, że nie wyglądała na swoje trzydzieści kilka lat. Miała zaokrąglone ramiona i pełne piersi, a na sobie - niebieską sukienkę qipao z nadrukiem w kremowe grochy, z niską stójką, bez sztywnej podszewki - na pierwszy rzut oka wyglądała na podróżną z głębi kontynentu, nie na mieszkankę prowincji Guangdong, która wróciła z Hongkongu po wizycie u krewnych.

Być może to rzeczywiście kwestia wrogości kantończyków wobec przybyszów z innych prowincji, którzy przekraczają tu granicę. W takim razie - skąd brały się podobne zachowania w Szanghaju?

Kiedy wieczorami wychodziła dawać korepetycje dwojgu dzieciom, często zdarzało się, że ktoś ją zaczepiał. Pewnego razu jakiś mężczyzna około pięćdziesiątki, wysoki, szczupły, w długiej tunice szedł z nią przez kilka ulic.

- My się na pewno skądś znamy - nagabywał ją. - Na pewno. Niech pani spojrzy! - Wyciągnął z kieszeni małą fotografię i pokazał Luozen. Zdjęcie podskakiwało w rytm jego kroków niczym boja na falach. Mężczyzna jednak trzymał się na dystans - żadnego zderzania się z jej biustem.

Długo nie mogła pozbyć się natręta. Czyjaś fotograficzna podobizna co chwila pojawiała się gdzieś na skraju pola widzenia Luozen, aż w końcu nie wytrzymała i z ciekawości rzuciła na nią okiem. Gładka niegdyś powierzchnia dwucalowej fotografii była mocno porysowana, mimo to dało się rozpoznać, że zdjęcie zostało zrobione na dworze. Widniała na nim wysoka, piękna kobieta, ani trochę do niej niepodobna.

To spojrzenie wyraźnie zachęciło mężczyznę do dalszych prób zwrócenia na siebie uwagi. Luozen przyśpieszyła kroku, on także. Rąbek grubej, rozciętej u dołu wełnianej sukni smagał jej łydki.

- Pani pójdzie ze mną na kolację. Na kolację... Opowiem pani jej historię. Dobrze? Na kolację...

Jego głos brzmiał niepewnie, co zdradzało pustki w kieszeni. Mógł się obawiać, że jeśli jego wybranka się zgodzi, nie będzie go stać nawet na małą knajpkę.

Luozen wyobrażała sobie, że jest bezrobotnym sprzedawcą ze staromodnego sklepu w Ningbo. Miał długi nos, gęste brwi - podstarzały, ale przystojniak.

Idąc szybkim krokiem, wciąż się do niej przybliżał, praktycznie spychając ją w kierunku muru.

Niedobrze. Na szczęście po drodze wyrosło kino - wejście było opustoszałe, lecz rzeźbiście oświetlone. Rzuciła się czym prędzej w jego kierunku i wśliznęła do wnętrza, po czym, nie mając odwagi spojrzeć za siebie, kupiła bilet w okienku i weszła do środka. Z tyłu sali siedziało sporo widzów. Specjalnie wybrała krzesło pomiędzy dwoma już zajętymi miejscami.

Wyświetlano jakiś radziecki film dokumentalny, coś o sadach w Turkmenistanie. Podkład muzyczny przywodził na myśl muzykę hinduską - Azja Południowa i Środkowy Wschód to zapewne podobne

skale. Falujące dźwięki fletu nieco przypominały brzmienie chińskiego instrumentu suona, mimo to wrażenie egzotyki było bardzo silne. Czy w tamtejszych kolchozach naprawdę pracują takie piękne kobiety o starannie uczesanych, długich czarnych włosach? Dziewczyna zerwała kiść winogron, uśmiechnęła się do kamery, po czym jąła obrywać z gałązki po jednym owocu i zjadać. Kobiety Środkowego Wschodu, podobnie jak Włoszki na Zachodzie, mają tę samą szczególną cechę - ciemny meszek nad górną wargą. W bezlitosnym blasku lampy rtęciowej widać było wyraźne wąsiki.

Z początku na widowni panowała cisza; nagle z jednego z przednich rzędów dobiegło wyraźne zdanie:

- Z takimi wąsami, i jeszcze winogrona zajada!

W sali narastały śmiechy, lecz urwały się nagle.

Luozhen przypomniała sobie Gretę Garbo w roli szwedzkiej królowej - w słynnej scenie miłosnej także jadła winogrona, półleżąc, co z pewnością miało podtekst seksualny.

No cóż, dwa - trzy lata temu szanghajczycy zachowywali się tak samo, myślała.

Kiedy film się skończył i zapalono światła, trzy rzędy przed sobą zobaczyła swojego prześladowcę, który wstał, odwrócił się i spojrzał na nią.

Chyba zauważył, jak zmienia się na twarzy na jego widok. Kiedy widzowie opuszczali salę, już nie dostrzegła go w tłumie.

Numer ze zdjęciem z pewnością nie został zastosowany po raz pierwszy - musiał należeć do stałego repertuaru tego podrywacza. Tak czy owak, nagabywanie kobiet nawet bez takich sztuczek było coraz powszechniejsze.

Luozhen wciąż towarzyszyło uczucie, że jutro nastąpi koniec świata. Kiedy zaczęła działać partia komunistyczna, burżuazja z początku nie zdawała sobie jeszcze sprawy z zagrożenia, lecz po dwóch, trzech latach sytuacja się zmieniła. Gdy los człowieka znajdzie się w cudzych rękach, gdy ręce te w końcu chwycą go za kark - szamocze się, ile sił.

Strach nie ma jednej twarzy. Może nią być nawet pozbawiona rysów twarz Fantomasa.

Boy poprosił pasażerów na obiad. Mesa mieściła się na końcu rzędu kajut i nie była wiele większa od jednej z nich. Para, która świeżo wsiadła, już była w środku pomieszczenia. Skinęli jej głowami

z uśmiechem i zajęli miejsca przy kwadratowym stole. Zdaje się, że drugą klasą podróżowali tylko we trójkę. Luozen niezmiernie to ucieszyło.

Jej towarzysze podróży wyglądali groteskowo. Różnili się i rasą, i wzrostem, lecz, co zaskakujące, to mężczyzna okazał się drobniejszy. Kobieta była średniego wzrostu, pulchna, lecz nie otyła, jej partner natomiast sprawiał wrażenie istnego chuchra. Kobieta zdjęła swój kapelusik w stylu lat trzydziestych - jej dalekowschodnie rysy sprawiały, że wyglądała na Chinkę urodzoną na emigracji. Miała włosy ściągnięte w niewielki kok z tyłu głowy i pełną twarz o żółtawej cerze, przypominającą jadalny kasztan - obrany ze skórki i usmażony w cukrze. Kolor skóry mężczyzny zaś budził lęk - nie był to lekko czerwony ani czekoladowy odcień, najczęściej spotykany u Murzynów, ani też lśniąca czerń, lecz matowa, szarawa barwa węgla drzewnego, kolor cienia. Widok obojga przywodził na myśl słowa „świeże duchy są duże, a stare - małe” (Cytat ze starożytnego dzieła Przekazy Zuo sugerujący, iż „świeże” duchy przodków są większe, lecz z czasem tracą substancję (przyp. tłum.)). Miał drobną, pociągłą twarz o zachodnich rysach, a na nosie okulary.

Przy stole odzywali się tylko oni - od czasu do czasu zamieniali półgłosem kilka słów po angielsku. Jego wymowa była czysta i pozbawiona naleciałości; ona mówiła z trudnym do zidentyfikowania akcentem - z pewnością nie posługiwała się chińską odmianą pidgin English. Mężczyzna najprawdopodobniej był jakimś mieszanelem hinduskiego pochodzenia. Luozen od razu poczuła, że ma z nim coś wspólnego - cóż, oboje pracowali dla cudzoziemców. W jej zawodzie spotykało się najróżniejszych ludzi - na przykład brytyjskich Żydów, którzy z Anglikami nie mieli wiele wspólnego. Panna Solomon, mimo że wychowywała się w Szanghaju, chodziła do brytyjskiej szkoły, a jej rodzice pochodzili z Bliskiego Wschodu, podobnie jak Silas Aaron Hardoon (Żyd urodzony w Bagdadzie; jeden z najbogatszych biznesmenów w Szanghaju lat dwudziestych (przyp. tłum.)). Pan Green, bezpośredni przełożony Luozen, był rodowitym Anglikiem, który skrócił i przerobił imię i nazwisko na „Ang Geluo”. Jego europejski nos też jakby stracił przy tym na długości: krótki nos, małe oczy, ciemnobrązowe włosy - jego krew chyba coraz bardziej mieszała się z tubylczą. Zdołał jednak dorobić się tylko pozycji wicedyrektora. Pan Curry, należący do kasty prezesów, był za to

całkiem przystojny - pewnie dlatego pani Curry zdecydowała się popełnić mezalians i wyjść za niego. Luozhen widziała ją kilka razy. Wysoka jak tyczka: zewnętrzne kąci jej niewielkich oczu opadały w dół, wydatny nos sterczał dumnie w przód. Ubierała się w puchate pulowery albo strój do jazdy konnej. Chodziła w lekkim rozkroku, kołysząc się na boki - ta angielska panna z dobrego domu była rozmiłowana w koniach, podobnie jak brytyjska królowa.

Ponieważ bezpośrednio przedstawianie się nie leżało w angielskim zwyczaju, przy stole nie wymieniono nazwisk. Para wyglądała na małżeństwo. Mężczyznę dało się bez trudu zaklasyfikować, jego towarzyszką natomiast była nieco zbyt nijaka - brakowało punktu zaczepienia. Musiała jednak także mieć swoją tajemniczą historię, pominiętą przypadkiem w Dziełach wszystkich Maughama.

Po posiłku Luozhen wyszła na pokład się przejść. Na dziobie również było tyle miejsca co w kajucie. Gdy płynie się tak małym stateczkiem, do morza jest bardzo blisko. Ludzie, którzy nie potrafią nawet pływać, na morzu stają się zupełnie bezużyteczni i nieodpowiedzialni - nic od nich nie zależy, czują się więc tym bardziej zbędni. Oparta o balustradę, wpatrywała się w fale. W oddali, równoległe do horyzontu, purpurowy grzbiet toczył się w prawo; w przeciwnym kierunku zaś sunęła smuga barwy ciemnoniebieskiej. Być może ten pierwszy to jakiś ciepły prąd morski - nie przypuszczała, że prądy mogą przypominać rzeki. Ten drugi kolor został pewnie wzbudzony przez pływy - nie była pewna, czy pozostałe fale toczą się w podobnym kierunku - im dłużej się w nie wpatrywała, tym bardziej kręciło jej się w głowie.

Wróciła do kajuty, otworzyła maszynę i zabrała się do pisania listu w sprawie pracy. Podnosząc głowę, za okienkiem dostrzegła blondwłosego młodzieniaszka, zwijającego linę wzdłuż relingu. Marynarze z załogi byli Chińczykami - z Norwegii pochodził zapewne tylko pierwszy, drugi i trzeci mat, o ile w ogóle był tu ktoś taki jak trzeci mat. Słyszając stukot maszyny, młodzieniec odwrócił głowę i spojrzał w jej stronę. Jasnowłosy dryblas o okrągłej twarzy wyglądał jak z zachodnich ilustracji do przedwojennych bajek.

- Hello - powiedziała.

- Hello - odparł młodzieniec. - Dasz całusa? Śmiejąc się, wyrzuciła przez okienko; czuła się jak uczennica pozująca do fotografii.

Miała wtedy na sobie takie samo krótkie wdzianko. Zdjęcie pokolorowała sama - ustom nadała intensywnie czerwoną, prawie czarną barwę, jakby pąsowa róża skurczyła się i wniknęła w zdjęcie.

Zabrała się z powrotem do pisania. Blondyn zwinął linę i odszedł.

Mówi się, że Skandynawowie bardzo swobodnie traktują sprawy męsko - damskie - chyba nie ma w tym przesady.

Luozhen zaczęła wspominać panią Niu.

Pani Niu należała do rodziny męża jej starszej siostry. Wszystkie kobiety z tamtej rodziny ją podziwiałały. Świeżo po powrocie do kraju w trakcie jakiejś pogawędki siostra rzuciła półgłosem, tonem pełnym szacunku: „Pani Niu to niezwykle mądra kobieta”.

Pani Niu była z domu Fan, toteż zachodnie imię, które sobie przybrała, brzmiało „Fanny”. Imię pana Niu, „Eugene”, wymyślił mu przyjaciel, miłośnik literatury i sztuki, jak się zdaje - po chińsku zapisywało się je bowiem Ai Jun, niczym pseudonim jakiegoś lewicującego pisarza. Trawa podniesiona do generalskiej rangi (Pierwszy znak tego nazwiska oznacza roślinę, drugi - generała (przyp. tłum.)) - brzmiało to jak jakieś proroctwo. Rodzina martwiła się, jak też zniesie on trudy życia za granicą. Znaleźli mu więc odpowiednią towarzyszkę - pani Niu skończyła kurs zarządzania gospodarstwem domowym w szkole misjonarskiej. On tymczasem posuwał się metodą małych kroczków, z wolna rosnąc w siłę. Skończył studia po ponad dziesięciu latach, wyprawił dzieci z powrotem do kraju. Ona w tym czasie dbała o wszystkie jego codzienne potrzeby. W wolnych chwilach przyjmował przyjaciół i wraz z nimi raczył się chińskimi potrawami, drzwi w domu się nie zamykały.

W całym tym towarzystwie tylko przyszły mąż starszej siostry Luozhen potrafił prowadzić samochód. Dzięki organizatorskim umiejętnościom Fanny wszyscy korzystali z jego starego wozu - na uczelnię, z uczelni, do pracy, do miasta czy na urlop byli zawożeni prywatnym samochodem. Tak się jakoś składało, że na końcu zawsze odwoził jakąś dziewczynę, choć raczej mało prawdopodobne, żeby próbował ze wszystkimi, sprawdzając, z którą najlepiej mu się układa. Kiedy odwoził Eugene'a do domu, czekało na niego całe mnóstwo

jedzenia - dostawał jeszcze na wynos pełną torbę. Było tego tyle, że starczało na następny dzień. Kanapki Fanny smakowały znacznie lepiej od tych, które można było kupić na mieście - ze świeżym domowym majonezem, który w niczym nie przypominał mazi o smaku oleju parafinowego ze słoika. Dziewczyna odwożona na końcu zawsze dostawała swoją porcję.

Po tym, jak dwa razy pod rząd wóz wrócił na holu, oddano go do naprawy. Fanny już od dłuższego czasu marudziła, że chce nauczyć się prowadzić - samochodem wygodnie jeździłoby się po zakupy. Uradzili więc, że kupią na spółkę trochę lepszy, używany wóz. Fanny sama wynegocjowała cenę - oddali na wymianę stary, którego wartość oszacowali tak wysoko, że przyszły szwagier Luozen nie musiał wydawać ani grosza. Zawiózł Fanny samochodem do dilera, lecz mimo iż był przy całej rozmowie, nie miał pojęcia, jak tego dokonała. Widocznie nie było na nią sposobu. Rzecz jasna, zdawała sobie sprawę, że wynajmowanie kierowcy w obcym kraju to spory koszt. On natomiast spodziewał się, że gdy nauczy się prowadzić, będzie mogła sama wozić znajomych Eugene'a i przestanie polegać tylko na nim.

Nauka prowadzenia skończyła się jednak po dwóch razach. W wozie zainstalowali radio - wieczorami można było przejechać się w jakieś ładne miejsce, zaparkować i patrzeć na księżyc i gwiazdy przy dźwiękach muzyki. I w taki właśnie sposób pośrednio Fanny doprowadziła do zbliżenia między starszą siostrą Luozen a jej przyszłym mężem.

Ślub wzięli dopiero po powrocie do kraju. Dziesięcioletnie studia Eugene'a także się skończyły i małżeństwo wróciło do Szanghaju. W tym czasie zmarła stara matka pana Niu, a domem zarządzał starszy brat - majątek rozszedł się niemal całkowicie.

- „Starszy bracie to, starszy bracie tamto”, muszę go traktować jak własnego krewnego - sarknęła Fanny.

Kiedy więc w końcu podzielono spadek, przypadła im w udziale ziemia, papiery wartościowe i biżuterię zastawiała na prawo i lewo, poczynając sobie niczym jakiś magnat finansowy, za jeden kredyt płacąc drugim. I tak, w ciągu kilku lat - starając się minimalizować straty, niczym prekursorka „duńskiej modernizacji” - Fanny wybudowała nowy dom. Na zakończenie budowy zaproszono tłum gości. Kucharz znał się zarówno na chińskiej, jak i zachodniej kuchni.

Pudding daktylowy nie był może wyszukanym daniem, lecz nawet miejscowe restauracje, serwujące dania zachodniej kuchni, nie miały go w karcie. To jednak nic w porównaniu z pieczoną kaczką i kurczakiem, tudzież wieprzowiną w sosie sojowym, lepszą niż w słynnej restauracji Lu Gaojian. Fanny skwapliwie nazywała swojego kucharza „kuchmistrem” i opiekowała się nim troskliwie, starając się z całej siły zatrzymać go w domu, do którego dzień w dzień zapraszano gości i grano w madzonga. On z kolei cenił sobie spokój - mimo wszystko, w porównaniu z prowadzeniem kuchni w restauracji, praca u niej równała się niemal emeryturze. W dodatku restauracje coraz bardziej się specjalizowały - kuchnia zachodnia, pekińska, syczuańska, szanghajska... Gdyby zajął się jednym, nie starczyłoby czasu na nic innego, a niewykorzystywane umiejętności wszak zanikają. Gdy ktoś z przyjaciół Fanny urządzał przyjęcie, chętnie wypożyczała kuchmistrza, razem z zastawą, zarówno do gotowania, jak i robienia zakupów - w ten sposób przynosił jej dodatkowe dochody.

Mimo że lubiła się pokazać, Fanny potrafiła być bardzo oszczędna. Jej dwie córki skończyły tylko kilka klas szkoły podstawowej, po czym zatrzymała je przy sobie do pomocy, żeby zdobywały doświadczenie w gospodarstwie. Odziewane były jeszcze skromniej niż biedne uczennice, pochodzące z głębi kraju. Kubraczki z niebieskiego płótna, szmaciane buty, uszyte w rękę przez służącą, z domowej roboty podeszwami - zawsze mogła zatrudnić do tego dwie emerytowane gosposie, które nie miały już siły na inną pracę - krótkie włosy... Odsuwało to kłopoty, w razie gdyby któraś z nich zbyt wcześnie dojrzała. Synowie skończyli tylko szkołę średnią. Ojciec nastudiował się za wszystkich - i na cóż mu się przydał ten cały dyplom? Nie da się ukryć, że na nic. Po latach bezrobocia spowodowanego zapewne niedostosowaniem wykształcenia do realiów jakiegokolwiek zawodu pod wpływem nagłego impulsu wszedł w spółkę z przyjacielem i zaczął prowadzić gospodarstwo rolne oraz tkalnię i farbiarnię. W rezultacie obdzielał wszystkich krewnych i znajomych sztukami materiału oraz pudełkami jajek. Białe kury zagranicznej odmiany leghorn znosiły śnieżnobiałe, wielkie jaja, a tkaniny miały niespotykane gdzie indziej odcienie różu i jasnej żółci.

Mieszkając w ich wielkiej rezydencji, sam troszczył się jedynie o własne śniadania i podwieczorki, korzystając z niewyczerpanych zapasów marmolady pomarańczowej, oraz pielęgnował kilkanaście swoich garniturów. Brytyjską odzież męską uważano za najlepszą na świecie - angielscy dżentelmeni zawsze cenili sobie jakość materiału i szycia. Angielskie garnitury były niezwykle trwałe - wytrzymywały w doskonałym stanie ponad dziesięć lat. Te zamawiane przez Eugene'a w Anglii wciąż wyglądały na prawie nowe. Dwie marynarki miały na łokciach naszyte irchowe łaty. Eugene nigdy nie wkładał tego samego ubrania dwa dni z rzędu - odwieszał je starannie na solidne, drewniane wieszaki o szerokich ramionach - w żadnym wypadku nie druciane. Garnitury dobrze leżały na jego figurze - szczupły i wysoki, o lekko spiczastej głowie, prezentował się jak prawdziwy dżentelmen (Gra słów - żartobliwa chińska transkrypcja słowa „dżentelmen” dosłownie oznacza „spiczastogłowego węgorza” (przyp. tłum.)).

- Pan Niu bardzo szykownie się nosi - powiedziała Luozen do starszej siostry.

- Nie masz pojęcia, jakie brudne są te jego ubrania!

- Siostra roześmiała się.

- Naprawdę? Nic nie widać!

- Taki gatunek wełny, że nie znać brudu. Nie lubi oddawać ich do pralni - czyszczenie chemiczne niszczy materiał i sprawia, że garnitur się defasonuje - wyjaśniła. - A tak poza tym jest okropnie wkurzający. Fanny nieraz go ochrzania.

- Poważnie?

- Pewnie, i nic w tym dziwnego - odparła siostra.

- Biedna Fanny - westchnęła, kręcąc głową. - Zazdroszczę jej tylko tego, że może korzystać z mężowskich pieniędzy...

Eugene mówił powoli i flegmatycznie. Kiedy odbierał telefon, w słuchawce rozlegało się przeciągłe: „Taaaa:

- To ty, tato? - pytała córka.

- Eee... Noo - odpowiadał po dłuższej chwili, jakby nie mógł się zdecydować.

Fanny miała wyjątkowo delikatną, jasną cerę. Jej twarz przypominała odbicie w srebrnej misie, napelnionej wodą - miała rozmyte rysy, jakby wszystkie jej elementy były nieco zbyt szeroko rozstawione.

Po powrocie do kraju Fanny nosiła suknie qipao. Luozen widziała jej fotografię w wieczorowej sukni, zrobioną w zagranicznym atelier - dekolt w kształcie wielkiego U odsłaniał śnieżnobiałą skórę. Była szczupła, lecz na zdjęciu wyglądała na pulchną - plecy miała okrągłe, jakby lekko zgarbione. Pod spojrzeniem fotografa skromnie spuściła głowę. Najwyraźniej miała też drugą, bardziej nieśmiałą naturę.

Kiedy jej córki osiągnęły wiek, gdy już można było je komuś przedstawić, urządziła wielkie przyjęcie, a następnie zabrała wszystkich gości na wycieczkę do Beidaihe, znanego kurortu, gdzie spędzały wakacje różne ważne figury. Dzięki plaży i morzu, w którym można było pływać, rejon ten stał się jeszcze popularniejszy niż miasteczko Guling. Towarzystwo zajmowało całe dwa przedziały. W ciągu kilkudniowej podróży grano w brydża o wielki, krzywy sygnet z perłą, który mógł być noszony zarówno przez mężczyznę, jak i kobietę. Wycieczkowicze zabrali ze sobą nawet komplet ogrodowych mebli z czarnej stali, na wypadek gdyby na miejscu nie udało się wypożyczyć nic zadowalającego; w komplecie znajdowały się też kute meksykańskie świeczniki, a do nich wielkie świece z zielonego wosku w kształcie kaktusów - po to, by można było ucztować na plaży przy świecach. Kuchmistrz szykował dania w kuchni nadmorskiego hotelu i przywoził je wózkami na plażę, w żaroodpornych naczyniach. Pod osłoną kilku plażowych parawanów w białe - czerwone pasy podgrzewał niektóre potrawy. Między kolejnymi daniami obsługiwał gramofon, a towarzystwo tańczyło w strojach kąpielowych.

Obie córki doskonale wyszły za mąż.

Zanim nastali komuniści, państwo Niu przeprowadzili się do Hongkongu. Traf chciał, że w dzień przeprowadzki Luozen przyszła ich odwiedzić - wszyscy domownicy biegali z walizkami, wszędzie pełno było pakunków. Koniec świata, pomyślała wtedy.

Kto ma pieniądze - wyjeżdża, a kto nie ma - zostaje, powiedziała sobie tonem tak obojętnym, jakby chodziło o wycieczkę do Beidaihe.

- To samo było, kiedy przyszli Japończycy - oświadczyła starsza siostra. - Tutaj wszyscy i tak zbiednieją. Wyjeżdżając, mogą przynajmniej zachować twarz - dodała.

Dobrze by było, gdyby chodziło tylko o biedę, pomyślała Luozen. Ale to przyszło potem. Wcześniej burżuazja nie zdawała sobie jeszcze sprawy z zagrożenia.

Starsza siostra i jej mąż już się starzeli, ponadto byli obciążeni liczną rodziną. Przez ostatnie dwa lata szwagier podupadł na zdrowiu. Po nadejściu komunistów utrzymywała ich jego żona - pracowała jako sekretarka i tłumaczka u pewnego wschodnioeuropejskiego biznesmena. Luozen po tym, jak straciła posadę, nie chciała już szukać nowej. Gdyby znalazła zatrudnienie, nie mogłaby wyjechać bez zezwolenia zakładu pracy.

Wyjazd Fanny do Hongkongu jawił się niczym podróż do innego świata - zapewne pod wpływem tego wrażenia starsza siostra zaczęła wspominać wesoło:

- A wtedy, kiedy Fanny wracała do kraju statkiem, wszyscy jedli kolację przy stole kapitana. A w nocy poszła do jego kajuty!

Luozen tylko uśmiechnęła się w milczeniu. Nie pytała, z jakiego kraju pochodził tamten statek, jakby nie chciała odzierać opowieści z tajemniczości - jej bohaterka dzięki temu mogła pozostać kimś w rodzaju kobiecego ducha, niepodlegającego ocenom moralnym.

Pewnie poszła tam tylko raz. Małżonkowie nocowali we wspólnej kajucie - gdyby wymykała się co noc, Eugene z pewnością by to odkrył. Na pewno nie narażałaby się na takie niebezpieczeństwo. Przez te wszystkie lata, w zamkniętym towarzystwie emigrantów, tego rodzaju informacje rozchodziły się błyskawicznie, o Fanny jednak nigdy nie krążyły żadne plotki.

Starsza siostra z pewnością nie powiedziała o tym mężowi. W przeciwnym razie zgasłby jego wielki podziw i szacunek dla Fanny.

W czasie spotkania z Fanny w Hongkongu Luozen nie pamiętała o tej historii - widać zagrzebała ją głęboko w podświadomości. Być może postępek Fanny wydał jej się tak zaskakujący, niezgodny z naturą tamtej, że nie mogła przyjąć go do wiadomości - dlatego tym łatwiej wyrzuciła tę opowieść z pamięci.

Po opuszczeniu kontynentu Luozen od razu udała się do Fanny, wedle instrukcji siostry, mimo że nie miała zamiaru zatrzymać się u niej na dłużej. Fanny mieszkała teraz u córki i zięcia.

Kiedy się spotkały, Luozen od razu uprzedziła, że następnego dnia ma zamiar wybrać się na poszukiwanie lokum. Fanny ucieszyła się na jej widok, powiedziała jednak tylko:

- Ale dzisiaj zostaniesz tutaj. Dobrze się składa, akurat mam wolne łóżko.

Luozen przejrzała w gazecie dział drobnych ogłoszeń i wyszukała dwie najtańsze oferty. Fanny zawołała służącą, żeby zaprowadziła ją do pobliskiego sklepiku, gdzie można skorzystać z telefonu. Luozen była zaskoczona. Słyszała o tym, że liczba ludności Hongkongu powiększała się bardzo gwałtownie i nie nadążano z zakładaniem telefonów, lecz Fanny mieszkała tu już od tak dawna, że powinna była się doczekać własnej linii. W jaki sposób radzi sobie bez tego? Co prawda, nie zajmuje się już grą na giełdzie, ale bez telefonu trudno nawet zebrać partnerów do madżonga.

Mieszkanie urządzone było byle jak. Luozen starała się ukryć rozczarowanie, lecz Fanny wyczuła jej zawód.

- Teraz u wszystkich tak to wygląda - rzuciła obojętnym tonem.

„Interesy w Hongkongu idą raczej powoli. Statki mało pływają” - tłumaczył im Eugene, kiedy wrócił do Szanghaju, aby sprzedać dom.

Kiedy Luozen wyszła zatelefonować, akurat włączano latarnie. Ulicę wypełniło mruganie zapalających się świetlówek; białe światło odbijało się zielonkawo w lśniącym asfalcie. Przyzwyczajona do oszczędności prądu i mroków przypominających zaciemnienie w czasie wojny, była zaskoczona, oczarowana i szczęśliwa.

Po powrocie z oglądania mieszkań zjadła z nimi kolację. Podano tylko rzadką zupę - na twarzy Fanny widać było zażenowanie. Jak teraz wyglądał codzienny jadłospis tej smakoszki? Luozen przypomniała sobie, jak pewnego dnia, świeżo po przejściu Tajwanu, ktoś przyleciał stamtąd samolotem do Szanghaju i przywiózł Fanny owoce mango. Fanny, uśmiechając się z zadowoleniem, przycisnęła koszyk do piersi i zakołysała się z lubością. Luozen widziała ten obraz tak wyraźnie, jakby właśnie miała go przed oczyma.

Fanny, co prawda, nie była już panią wielkiego domu, lecz służąca, którą najęła, dziewczyna z prowincji Guangdong, nazywała ją posłusznie „panią”, a jej córkę i zięcia - panienką i paniczem. Zięć, mimo że wyprowadził się od rodziny, jeszcze nie przejął należnego mu udziału w majątku. Syn oraz starsza córka i jej mąż wyjechali do Brazylii, druga córka też zamierzała wyemigrować.

Fanny zaprowadziła Luozen do jej sypialni. Dwa pojedyncze, malowane na biało łóżeczka musiały należeć do córek, gdy były małe; trzecie łóżko prawdopodobnie było Eugene'a. Ai Jun wciąż mieszkał u

starszego brata w Szanghaju - wyglądało na to, że po ponad roku już przywykł. Od czasu do czasu kupował kaczkę na kolację i szedł w odwiedziny do starszej siostry Luozen i jej męża, wiedząc, że żyją bardzo skromnie. Z rozmów przy stole Luozen dowiedziała się, że domu wciąż nie udało się sprzedać, a Eugene chciał już wracać do Hongkongu, ale nie mógł zdobyć wizy. Otrzymał telegram, że żona miała udar i wzywa go do powrotu - rzeczywiście Fanny zawsze cierpiała na nadciśnienie i nie wyglądało to wcale nieprawdopodobnie. Poszedł więc z tym telegramem na policję, wciąż jednak nie udawało się nic załatwić.

Siostra dopytywała się, czy za każdym razem tylko zadawał pytanie, czy wizę już wydano, po czym odwracał się i wychodził.

- Ludzie mówią, że kiedy ubiegasz się o wyjazd, trzeba się trochę z nimi poawanturować. Inaczej mogą uznać, że nie masz czystych intencji - dodała.

Niestety, Eugene nie był zbyt energiczny. Gawędził z obojgiem spokojnie, jak zwykle. Myśli formułował jednak w logiczny, uporządkowany sposób.

- Nasz Eugene zrobił się całkiem wymowny - rzekła siostra z uśmiechem, kiedy wyszedł. - Niebawale!

Lepiej późno niż wcale, jak mówi pewne zachodnie przysłowie.

Nie miał zbyt wielu zainteresowań, za to lubił tańczyć. Była to autentyczna pasja - zawsze wybierał najlepiej tańczące dziewczyny, niekoniecznie te najbardziej atrakcyjne. W tamtych czasach działało jeszcze wiele dansingów, więc często odbywał samotne eskapady. Gdy starsza siostra odkryła, że Eugene przeżywa drugą młodość, zaczęła mu zadawać podejrzliwe pytania:

- Nie zakochałeś się czasem w jakiejś tancereczce? Gdy nie było Fanny w pobliżu, wszyscy czuli się za niego odpowiedzialni. Szwagier Luozen prosił różnych ludzi, żeby się rozpytali, lecz niczego konkretnego się nie dowiedział.

Pewnego dnia Eugene przyszedł i oznajmił, że pewien przyjaciel chce zrobić go szefem swojej fabryczki mydła.

- Myślę, że przydałoby się zacząć trochę zarabiać, nie ma sensu wciąż żyć w takim zawieszeniu - rzekł, rozkładając wymownie ręce, jakby był rozmiłowanym w gestykulacji Włochem.

Starsza siostra i jej mąż nie zachęcali go do przyjmowania tej propozycji. W tamtych czasach jednak nawet starym przyjaciółom nie mówiło się wszystkiego.

Otaczano wówczas wielkim szacunkiem ludzi, którzy odbyli studia za granicą. Zwłaszcza gdy chodziło o studia fizyczne czy chemiczne. Aktywiści ruchu robotniczego w fabryce jak jeden mąż nazywali kogoś takiego „wielkim intelektualistą”, od którego należy się uczyć. Gdy nie miał żadnego odgórnego poparcia, lecz był zwyczajnie pracowity, mówiono, że „praca pali mu się w rękach”.

Starszej siostrze i szwagrowi nie bardzo się to wszystko podobało. Pewnego dnia gruchnęła wieść, że Eugene został aresztowany.

Powód zatrzymania był niejasny. Wypuścili go po dwóch miesiącach - okazało się, że wszystko przez to, że ma krewnych na Tajwanie. Przyjechał do Szanghaju niby sprzedać dom, lecz wcale go nie sprzedał, za to zaczął rozglądać się za pracą i zapuszczać tu korzenie, co wyglądało jeszcze bardziej podejrzanie.

Opowiadał, że w areszcie mieli jedno łóżko do spania na siedmiu, czasem ośmiu ludzi. Jadali dwa razy dziennie: każdemu do blaszanej miski wkładano trochę suchego ryżu, do tego jakaś zupa lub potrawa ze wspólnego talerza. Siostra i szwagier pytali go tylko o sprawy codzienne - nie poruszali innych tematów, jeśli sam tego nie czynił, gdyż obawiali się, że może mieć jakieś opory.

Wkrótce po zwolnieniu wzięto go znowu. Kiedy Luozen wyjeżdżała do Hongkongu, miał za sobą już dobrych kilka pobytów w areszcie; nie zanosilo się na to, że kiedykolwiek będzie mógł znowu ubiegać się o wyjazd. Pracował nadal w fabryce, gdzie „masy robotnicze zwracały nań baczną uwagę”.

Luozen dostała wizę dopiero po tym, jak wybuchnęła płaczem podczas rozmowy z policjantami. Kiedy złożyła podanie, komisariat przysłał dwóch funkcjonariuszy na wywiad. Szwagier był chory, a starsza siostra nie pokazała się, pozwalając, by Luozen sama doszła z nimi do porozumienia. Powiedziała im, że od dawna nie może znaleźć pracy i że musi żyć na cudzy koszt.

- To pani własna siostra, w czym problem? - zdziwił się policjant. Obaj pochodzili z Shandongu; na pierwszy rzut oka widać było, że reprezentuje pokolenie sprzed „wyzwolenia”.

Luozhen nie odpowiedziała, lecz zamiast tego zalała się łzami, mimo że w rzeczywistości wcale nie była zrozpaczona. Kierował nią specyficzny kobiecy „instynkt dramatyczny”, obliczony na męską z kolei reakcję - „instynkt dawania oparcia”, do czego zresztą nigdy by się nie przyznała. Policjanci posiedzieli kilka chwil w milczeniu i wyszli. Po dwóch czy trzech miesiącach wiza została wydana.

Eugene zaoferował się, że pójdzie z Luozhen do ambasady brytyjskiej załatwić pozwolenie na wjazd. Kiedy jechali autobusem, nagle zauważyła na jego twarzy wielki niepokój i smutek. Unikał jej spojrzenia. Była zaskoczona, lecz po chwili zrozumiała.

Po cóż miałabym go oskarżać? - myślała. Czuła się źle, nie mogąc mu o tym powiedzieć, lecz na szczęście istnieje coś takiego jak szósty zmysł. Popatrzyli na siebie w milczeniu - na jego twarz stopniowo powrócił spokój.

Nie spodziewała się, że pierwszego wieczoru po przyjeździe do Hongkongu będzie prowadziła nocne pogawędki z Fanny. Od przejścia przez most Lo Wu towarzyszyło jej wrażenie, że przekracza granicę dwóch światów - yin i yang, ciemności i światła. Miała przy tym coś w rodzaju poczucia misji. Ten cały Eugene był doprawdy irytujący. Oczywiście w rozmowie należało wykazać maksimum taktu, pozostawić dla niego otwartą drogę. Dla Fanny nie była jednak równorzędnym partnerem w rozmowie. I tak, od słowa do słowa, wszystko jej opowiedziała.

Fanny nie wyglądała na poruszoną, zachowywała się, jakby słuchała fantastycznych historii czy anegdotek. Była już głęboka noc. Pogawędziły jeszcze chwilę cicho, po czym oznajmiła:

- Pewnie jesteś już zmęczona. Idź spać. Rankiem, w obecności Luozhen, powiedziała do córki, uśmiechając się chłodno:

- Niby to starał się wyjechać, wyczerpał wszelkie sposoby. Okazało się jednak, że wcale nie chciał wyjeżdżać.

Córka milczała, bez śladu reakcji. Luozhen czuła, że to wszystko jej wina - starej panny ze zbyt długim językiem.

Luozhen nie wyszła za mąż. Siostra zawsze robiła jej wyrzuty, że nie próbowała dostać się na uniwersytet. W ostatnich latach szkoły średniej wybrała profil ekonomiczny i uczyła się maszynopisania. Po ukończeniu nauki zatrudniła się jako pracownik tymczasowy, i tak już zostało. Firma, do której trafiła, była międzynarodowym skupiskiem starych panien. Chińczyków płci męskiej pracowało tam niewiele,

wszyscy już żonaci. Mieszkając z siostrą i szwagrem, Luozen nie czuła presji rodziców, by sobie kogoś znaleźć. Sama też jakoś nie miała na to ochoty.

Jesteśmy naprawdę zmarnowanym pokoleniem - nie chcemy po staremu, nie potrafimy po nowemu, myślała czasem.

Co roku, na Boże Narodzenie, odbywało się firmowe przyjęcie. W ten dzień, niczym na weselu, zapominano o pozycjach w hierarchii służbowej. Pan Curry zazwyczaj szukał towarzystwa Luozen i żartował z nią. Przy podobnych okazjach, gdy trochę za dużo wypił, nieco się go obawiała, lecz przecież w takim tłumie nie pozwoliłby sobie na zbyt wiele. Mimo wszystko była to tylko zabawa - nie podejmował żadnych poważnych prób, nie starał się z nią umówić. Gdyby nawet - mogłaby zwyczajnie się nie zgodzić, nie straciłaby przez to pracy. Dla hipotezy tej brakowało jednak przykładów. Wszystkie pracownice w firmie były już po trzydziestce, z wyjątkiem Luozen, z której usług sekretarskich korzystało kilku wicedyrektorów. Pewna Szwedka miała już ponad siedemdziesiąt lat i wciąż nikt nie wysyłał jej na emeryturę; była sekretarką dyrektora generalnego. Bożonarodzeniowa fiesta przyczyniała się w szczególności do podniesienia morale takich właśnie „starych i słabych”. Curry'ego nikt się nie bał, lecz jednocześnie wszyscy wiedzieli, że nie ma sensu o nic go prosić - szanghajczycy mówią o takich „nie ma łopatek”.

Był przystojniejszy od niektórych gwiazdorów filmowych, choć jego skronie przyprószył szron siwizny: wysoki i szczupły, ani jednego zbędnego kilograma - tylko cerę miał czerwoną niczym surowa wołowina.

Luozen skończyła list, wykręciła papier z maszyny i przeczytała wszystko jeszcze raz. Ktoś zapukał do drzwi - drgnęła. Czyżby to ten pierwszy, czy też drugi mat postanowił złożyć jej wizytę?

Ostrożnie uchyliła drzwi. Okazało się, że to żółtoskóra żona Hindusa z sąsiedniej kajuty.

- Czy mogę wejść?

Luozen cofnęła się czym prędzej, zapraszając ją do środka. Usiadły, wciąż nie przedstawiając się sobie nawzajem. Kobieta była ciekawa, czy Luozen pochodzi z Szanghaju.

- My mieszkamy w Hongkou - poinformowała ją. Hongkou było dawnym japońskim settlementem.

- Jest pani Japonką? - spytała wreszcie Luozen. Mieszkańcy Azji Południowej nie lubią być myleni z Japończykami.

Sąsiadka potwierdziła.

- Płyną państwo do Japonii?

- Tak, do Osaki. Mam rodzinę w Osace.

- A ja do Tokio.

- Ach tak, do Tokio.

Patrzyły na siebie długo, z uśmiechem.

- Okropnie mały ten nasz statek - zauważyła Luozen.

- O tak, malutki! Czy mogę pokazać to panu Li Chaxunowi? - spytała kobieta, biorąc do ręki list leżący na biurku.

Luozen uśmiechnęła się zaskoczona. A mówi się, że to Chińczycy nie szanują cudzej prywatności - ledwie zacznie się rozmowa, a już się dopytują o wiek, dochody i sytuację rodzinną. W porównaniu z naszymi sąsiadami możemy, jak widać, uchodzić za mistrzów dyskrecji. Z początku nie wiedziała, jak zareagować, list jednak nie zawierał żadnych poufnych informacji, więc uśmiechnęła się i kiwnęła głową przyzwalająco.

Kobieta wyszła, zabierając list. Po chwili przyniosła go z powrotem.

- Pan Li Chaxun mówi, że jest znakomity - oświadczyła bardzo poważnie.

Luozen uśmiechnęła się szeroko. Przynajmniej żona ma do niego szacunek, pomyślała. A on bez wątpienia zna się na rzeczy. Dobry list może zdziałać bardzo wiele. Jej starsza siostra mawiała: „Niezapisana przestrzeń też jest niezwykle ważna. Ludzie niekiedy piszą całkiem niezłe listy, lecz ich formie brakuje wdzięku”.

W ramach przyjacielskiej wymiany informacji sąsiadka przyniosła album ze zdjęciami.

- Hongkou - oznajmiła, pokazując Luozen fotografie.

W większości były to nieduże zdjęcia, zrobione poza domem, w słońcu. Znalazła się tu też poźółkła sepiowa fotografia rodzinna, wykonana w atelier: rząd osób stojących, rząd siedzących, a niżej - przycupnięta na ziemi młodzież; starzy i młodzi wystrojeni w średniej jakości zachodnie ubrania, noszone w przedwojennej Japonii. Kobiety na tym zdjęciu nie było. Inne przedstawiało ją w białym płóciennym kapelusiku z rondem w stylu lat trzydziestych, takim, jakie nosiło się

na stadiony sportowe, w towarzystwie pulchnego chłopczyka; oboje mrużyli oczy w słońcu.

- A to kto?

- Mój siostrzeniec.

Obejrzawszy już ponad połowę albumu, Luozen natknęła się na nieduży portret.

- Pan Li Chaxun - objaśniła jej towarzysza.

Ten Li Chaxun doprawdy świetnie ją wytresował - kojarzyła się Luozen z panią Micawber z powieści Dickensa David Copperfield, która zawsze cichym, łagodnym tonem mówiła o swoim mężu: „Pan Micawber”.

Było to jedyne jego zdjęcie w całym albumie. Inne przedstawiały osoby z rodziny matki jego żony. Te, na których występowała ona, w większości pochodziły chyba z czasów panieńskich, zresztą trudno było to dokładnie ocenić - nie zmieniła się bowiem specjalnie z upływem czasu. Dzieci, z którymi się fotografowała, były jej siostrzeńcami i bratankami. Luozen czuła się zawiedziona. Ożenić się dosłownie z wzorcem matki i babki i nie mieć z nią ani jednego dziecka... Czy nie szkoda takiej kobiety dla człowieka innej rasy? To oczywiste, że ten Li Chaxun nie umywa się do niej. Luozen jakoś nie mogło się to pomieścić w głowie. W książkach Maughama mieszane małżeństwa stanowiły pogwałcenie zasad i prowadziły do degeneracji. Zawsze były skutkiem opętania niezdrową namiętnością u co najmniej jednej ze stron. Jedyna para ludzi różnych narodowości, jaką знаła, była jednak całkiem nie - Maughamowska. Sekretarka pana Curry'ego, panna Pan, pochodziła z Guangdongu. Z wyglądu nieco przypominała uległą małżonkę pana Li Chaxuna: miała szeroką twarz i pełną figurę, lecz towarzyszył temu kształtny biust południowochińskiej piękności oraz wyraziste, zdecydowane rysy twarzy „twardego Guangończyka”. W jej spojrzeniu często czaiły się żal i uraza. Po ataku na Pearl Harbor, gdy Japończycy weszli do settlementu, wszyscy Anglicy i Angielki zostali zamknięci w obozie koncentracyjnym. Wierna pani Pan dostarczała panu Curry'emu paczki z żywnością. Stosunki pana Curry'ego z żoną polegały na nieprzeszkadzaniu sobie nawzajem. Jego małżonka hodowała konie i kochała jazdę konną, on jednak nie byłby w stanie finansować tych zamiłowań - na szczęście dysponowała też własnym majątkiem. Przywykli do życia oddzielnie. W obozie, gdzie byli zmuszeni dzielić

ciasną pryczę zasłanianą wojskowym kocem, brakowało im własnej przestrzeni. Klótnie zaczęły się niemal od razu. W końcu, po kilku latach konfliktów wzięli rozwód, a następnie pan Curry ożenił się z panną Pan.

Ta całkiem pouczająca historia raczej nie mogłaby wyjść spod pióra Maughama. Czas i miejsce też były całkiem odmienne. Brytyjskie imperium rozpadało się - po wyjściu z obozu ludzie znajdowali się w znacznie gorszej sytuacji. Pan Curry jednak znalazł sobie opiekuńczą kobietę, zyskał dom, do którego mógł wrócić.

Po wojnie, gdy w firmie przeprowadzano dużą redukcję zatrudnienia, pan Curry przeszedł na wcześniejszą emeryturę, dlatego też wiadomość o jego ponownym małżeństwie nie wywołała wielkiej sensacji. Luozhen po zwolnieniu nie utrzymywała kontaktów z dawnymi kolegami, lecz w czasie okupacji, gdy wszyscy poszli na bezpłatny urlop, spotykała się z nimi od czasu do czasu. O tym, że pani Pan dostarczała paczki panu Curry'emu, dowiedziała się od panny Solomon. Panna Solomon zaprosiła ją wtedy na podwieczorek. Mieszkała w kamienicy razem ze starszą siostrą, krępą kobietą o typowo żydowskiej urodzie, która pracowała w innej firmie. Stare panny często mają raczej obcesowy styl bycia; tę w dodatku cechowało prostackie poczucie humoru - brakowało jej wyrafinowanej kąśliwości i wdzięku młodszej. W przeszłości starsza, mniej urodziwa siostra zyskiwała w towarzystwie młodszej, świecąc odbitym od niej blaskiem. Teraz jednak, gdy patrzyło się na te dwie siedzące obok siebie kobiety, niemal identycznie ubrane i ufryzowane, narzucała się myśl: Czy ta sama katastrofa musiała się wydarzyć dwa razy? Ich czarne włosy były naturalnie kręcone - biedaczki nie mogły nawet zmienić fryzury, gdy już wyszła z mody. Starsza zresztą mocno posiwiiała. Luozhen szkoda było panny Solomon - właściwie nie była brzydka, lecz gdy tak siadała obok siostry i wstawiała równocześnie z nią, zamieniała się we własną karykaturę. Kiedy Luozhen poszła do łazienki umyć ręce, przechodziła przez ich sypialnię - dwa żelazne łóżka stały bok w bok, niczym dziecinne łóżeczka. Wyglądało to śmiesznie i żałośnie. Wspomniawszy o pannie Pan i paczkach, panna Solomon dodała z uśmiechem:

- A ty jakoś go nie odwiedzasz?

Nawiązała do tego, że pan Curry czasami lubił ją podrywać.

- W końcu nie jestem jego sekretarką - odparła Luozhen.

Po wojnie czasem wspominała tę wymianę zdań. Gdyby była jego sekretarką, niewykluczone, że też przynosiłaby mu paczki.

Oglądając dalej album, spytała:

- Jak się poznaliście z panem Li Chaxunem?
- Przedstawił nas sobie mój stryjeczny brat.

Li Chaxun pewnie też mieszkał w Hongkou. Było stamtąd blisko do Bundu, dzielnicy biznesowej, co ułatwiało dojazd do pracy; drugą zaletą były niskie czynsze. Być może jakiś młody sąsiad zabrał go kiedyś do japońskiego domu uciech, gdzie Li Chaxun poznał uroki uległych Japonek. Z pewnością wiedziano w okolicy, że pracuje w zagranicznej firmie. „Szukasz żony? Przedstawić ci jakąś ślicznotkę?”

Nie mieli ślubnej fotografii. Japończycy nie przywiązują wagi do takich rzeczy - wystarcza im ceremonia w świątyni. Skoro kobieta pochodziła z tak dużej rodziny, raczej nie mogli żyć w konkubinacie. Pewnie sama wyjechała z kraju, zamieszkała u krewnych i szukała męża, podobnie jak czyniło to wiele Brytyjek wyjeżdżających na Bliski i Daleki Wschód.

Jego rodzina zaś jakby nie istniała. Ojciec zapewne nie miał ochoty trzymać przy sobie tego czarnego karzełka, lecz wysłał go na naukę - jego akcent zdradzał długi pobyt w brytyjskiej szkole. Japoński ożenek był aktem protestu i zemsty jednocześnie. Li Chaxun nie czekał, aż Szanghaj zajmą Japończycy - zjaponizował się zawczasu.

Po nastaniu komunistów postanowił wyjechać z żoną do jej ojczyzny. Japonia od dwóch lat przeżywała rozkwit. Liczna rodzina żony prawdopodobnie rozwijała własny biznes, a on mógł im się przydać do załatwiania angielskiej korespondencji. Skorzystanie z pomocy rodziny w tej sytuacji było ze wszech miar uzasadnione. Inaczej było z Luozhen, dla której zamieszkanie u dawnej koleżanki ze szkoły stanowiłoby nadużycie jej uprzejmości. Podobnie jak Li Chaxun nie znała japońskiego, lecz on był już niemłody, dobiegał pięćdziesiątki. A właściwie - skąd wiadomo, że Li Chaxun nie zna japońskiego? Przy stole nie rozmawiali po japońsku, ale to zrozumiałe - byłoby to nieuprzejme wobec niej. Tak czy owak, jeśli nie zna języka, żona zawsze może posłużyć mu za tłumaczkę, Luozhen natomiast jest w znacznie trudniejszej sytuacji. Za to jest od niego młodsza, a przynajmniej taką ma nadzieję...

Gdy przerzucała strony albumu, żona pana Li Cha - xuna przyglądała się fotografiom z uwagą, jakby przeżywała swoje życie jeszcze raz. Gdy skończyły, wzięła album i wyszła z zadowoloną miną.

Karaluchy na tym stateczku osiągały stanowczo zbyt duże rozmiary. Kiedy Luozen położyła się spać, cały czas miała wrażenie, że roją się gdzieś pod spodem. Bała się, że poczują ciepło ludzkiego ciała i wypełzną spod materaca, że dostaną się do walizek i zabierze je ze sobą na ląd.

Mieszkanie, które wynajmowała w Hongkongu, było nieumeblowane - zaczęła więc od nabycia materaca z trawy oraz flaszki środka na owady i rozpylacza. Pokoik o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych miał surową betonową podłogę. Wyglądał jak służbówka. Ściany jednak świeżo otynkowano, a mieszkanie było usytuowane narożnie - okna z dwóch stron, przewiew, widok na morze. Zdecydowała się od razu, nie poszła już oglądać drugiego lokum. W nocy od betonu ciągnęło chłodem, który nieubłaganie przenikał przez materac. Luozen zerwała się, otworzyła walizkę i zaczęła wciągać na siebie kolejne rzeczy - położyła się dopiero wtedy, gdy miała na sobie całą swoją odzież.

Po południu za to panował straszliwy upał. Gospodarz siedział na korytarzu, chłodząc się w przeciągu. Był to drobny Guangdończyk o twarzy jak muszla kraba; w grubych okularach jego oczy przypominały ślepią złotej rybki. Na kościstym torsie miał jedynie podkoszulek bez rękawów. Kołysał w objęciach niemowlę, przemawiając do niego śpiewnie: „Noi - aaa! Noi - aaa!", niczym dekadenski poeta z lat trzydziestych, recytujący: „Kobiety, ach, kobiety!” (Słowo „kobieta” w dialekcie kantońskim wymawiane jest „noi” (przyp. tłum.)).

Z powodu gorąca drzwi wszystkich mieszkań stały otworem. Najlepsze zajmowała młoda pani Ye. Nie było duże; wypełniały je stłoczone meble w stylu Ningbo z tekowego drewna, przez co wydawało się ciemne. Pani Ye jedyna zatrudniała służącą. Gdy służbówkę wynajęto, służąca zaczęła nocować na polowym łóżku w kuchni. Pani Ye pochodziła z Szanghaju i bardzo przypominała Zhou Xuan, gwiazdę filmową. Zhou Xuan była tak samo drobna i delikatna, podobno jednak jej skóra miała żółtawy odcień - mimo że w filmach, w świetle jupiterów, wydawała się zawsze tak jasna i nieskazitelnie

gładka. Pani Ye zaś miała zdecydowanie białą cerę. Pan Ye odwiedzał ją zawsze po południu, po skończonej pracy. Bez wątpienia była jego kochanką, może była tancerką.

Pan Ye od razu po przyjsciu zażywał kąpeli. We wspólnej łazience roilo się od karaluchów, a wokół sedesu podłoga była zawsze spryskana moczem. Służąca błyskawicznie ogarniała cały ten bałagan, po czym odkręcała wodę. Do wanny wlewała pół buteleczki wody kolońskiej - mocny zapach rozchodził się po całym domu wraz z parą z gorącej kąpeli. Potem biegła do kuchni gotować, smażyć i podgrzewać wino, żeby od razu po wyjściu z wanny pan mógł się najęść i napić.

Dzień w pasie subtropikalnym był długi. W popołudniowym skwarze panował wielki ruch; widok ten przypominał wieczorne stada wron i zgiełkliwych wróbl, wracających na noc do okolicznych lasów.

Obok pani Ye mieszkało dwóch młodych szanghajczyków, wyglądających na „białe kołnierzyki”. Często prowadzili niekończące się rozmowy z sąsiadką; nieraz długo wystawała pod drzwiami ich mieszkania, gawędząc. Kiedy zjawiał się pan Ye, wszyscy błyskawicznie znikali w pokojach.

Każdy, kto przechodził i rzucał okiem do środka, widział Luozhen siedzącą na materacu w otoczeniu różnych codziennych przedmiotów, rozłożonych dookoła niczym na straganie. Jeśli sprowadzają się tu tacy uchodźcy, wartość domu niechybnie spadnie.

Ona jednak z zadowoleniem zasiadała na podłodze służbówki - był to jej własny, skromny sukces. Na walizce rozłożyła posiłek - otwartą konserwę i chleb z masłem; o dziwo, nie pojawił się ani jeden karaluch. Przeszkadzały jej tylko pełne dezaprobaty spojrzenia szanghajczyków.

Dziwni ludzie mieszkali w tym domu. Woląla, by korespondencja do niej przychodziła do rodziny Niu - mieszkali niedaleko, więc mogła często ich odwiedzać i sprawdzać, czy nadszedł jakiś list. Odkąd sprawdziła się jako „informator”, Fanny odnosiła się do niej bardzo życzliwie. Kiedy się dowiedziała, że wynajem kosztuje ją tylko siedemdziesiąt hongkońskich dolarów miesięcznie, uśmiechnęła się i spojrzała na nią z podziwem - dziewczyna potrafi oszczędzać.

- I jak, da się tam mieszkać? - spytała.

- Pokój przyzwoity, tylko łazienka strasznie brudna.

- To możesz kąpać się u nas.

Zjawiała się więc u niej regularnie z ręcznikiem i mydłem. Od czasu gdy znalazła pracę i przeprowadziła się, jej kąpielowe wizyty stały się rzadsze - wspólna łazienka w nowym miejscu była czystsza. Pewnego dnia przyszła i oznajmiła Fanny, że zamierza wyjechać do Japonii.

- A co z twoją tutejszą pracą? - spytała Fanny.

- Będę musiała zrezygnować.

- Ciężko teraz o pracę. Japończycy i Amerykanie wyjeżdżają.

- Zdobyć japońską wizę wjazdową też niełatwo. A właśnie nadarza mi się okazja - ktoś stamtąd może mi w tym pomóc.

Moment rzeczywiście nie był najlepszy. Armia amerykańska szybko się wycofywała, poza tym - jak tu znaleźć pracę w Japonii bez znajomości języka? Mimo to chciała wyjechać: im dalej, tym lepiej, szkoda byłoby zmarnować taką szansę.

Fanny milczała dłuższą chwilę.

- A co z twoją starszą siostrą? - spytała w końcu z przyganą w głosie.

Fanny wiedziała, że Luozen pożyczyła od starszej siostry i szwagra pieniądze na wyjazd i żyła z nich przez jakiś czas po przyjeździe do Hongkongu. Dopiero niedawno zaczęła zwracać dług, na co bardzo czekali. Siostra jednak z pewnością jej to wybaczy. Luozen nie spodziewała się, że Fanny będzie ją oceniać, i to tak surowo - w końcu nawet nie należała do pokolenia jej wujów i ciotek. Odniosła wrażenie, że przyczyna jej dezaprobaty leży gdzie indziej. Nikt nie lubi posłańców, którzy przynoszą złe wieści. Żyła tu sobie spokojnie, a gdy tylko pojawiła się Luozen - zmieniła się w żonę opuszczoną przez własnego męża. I jak tu pałać sympatią do kogoś takiego?

Widząc, że Luozen milczy, Fanny nie ciągnęła tematu. Przestała się dąsać i zaczęła wypytywać o różne sprawy, związane z załatwianiem formalności. Ofiarowała jej nawet kilka miejscowych przysmaków dla koleżanki w Japonii.

Od tamtej wizyty Luozen nie zjawiała się u Fanny przez następne dwa, może trzy tygodnie. Czowała, że spotkanie byłoby trochę na siłę; myślała, żeby wpaść dopiero przed wyjazdem i pożegnać się. Miała wątpliwości, czy to nie będzie zbyt późno, ale jakoś nie mogła się zdecydować.

Pewnego dnia otrzymała nekrolog. Zawiadomienie podpisał „pograżony w smutku mąż, Niu Guangxian” oraz córki: Shichen i Shihe. Prawdziwe imię Eugene'a znało niewiele osób - dopiero po kilkakrotnym przeczytaniu wiadomości zrozumiała, o kogo chodzi. Fanny umarła. To było jak grom z jasnego nieba - przecież na nic się nie skarżyła. To musiał być wylew, skoro śmierć nastąpiła tak nagle. Te telegramy o udarze, które w zeszłym roku Fanny wysyłała do Szanghaju, w końcu stały się prawdziwe.

Luozen wiedziała, że to ona sprowokowała nieszczęście. Czuła tylko żal.

To oczywiste, że Fanny napisała do Eugene'a, Eugene zaś poszedł z tym do jej siostry i szwagra - jako najlepsi przyjaciele Fanny mogli próbować wstawić się za nim, załagodzić sytuację. Ale nawet jeśli wstydził się i nie poszedł, Fanny pewnie napisała im o wszystkim w liście. Tak czy owak, niemożliwe, żeby o niczym nie wiedzieli. Siostra w listach do niej o niczym nie wspominała - uznała widocznie, że obecnie, gdy Luozen sama, w pojedynkę, usiłuje przetrwać za granicą, to nie jest najlepszy moment, by ją tym obciążać.

A teraz...

Fanny była najlepszą przyjaciółką jej siostry.

W nekrologu podano datę i miejsce ceremonii pożegnania zmarłej - podziemia któregoś z tych wielkich biurowców w dzielnicy Central. Bardzo wysokie, stare dwuskrzydłowe drzwi z mahoniem nie były zamknięte na klucz. Luozen pchnęła je i weszła do środka. Usłyszała mieszaninę ludzkich głosów. Znalazła się w ogromnej przestrzeni, ograniczonej ścianami barwy surowego cementu - całość przypominała skarbiec jakiegoś banku. Pewnie wynajął je ktoś z rodziny któregoś z zięciów zmarłej. Goście stali parami lub trójkami i rozmawiali - zewsząd słyszała dialekt szanghajski. Większość stanowili mężczyźni, rozprawiający o sytuacji gospodarczej z napotkanymi właśnie znajomymi. Dręczona wyrzutami sumienia, nie starała się nawet odszukać w tłumie córki Fanny i wypytać ją o przyczynę śmierci matki. Omijając grupki ludzi, podeszła do trumny. Oprawa okazała się wyjątkowo skromna. Nie było otoczonego kadzidłami portretu zmarłej ani modnych na Zachodzie wieńców czy muzyki. Skłoniła się i podążyła ku wyjściu. W drzwiach niespodziewanie spotkała służącą z Guangdongu. Kobieta chwyciła ją za rękę i włożyła jej w dłoń jakiś niewielki przedmiot - gest był

szorstki i jakby niechętny, a wyraz twarzy służącej pełen niezadowolenia, jakby czyniła to wbrew woli.

Panicz i panienska mówili: To wszystko przez nią. To ona powiedziała pani, że pan nie chce wracać z Szanghaju, i biedaczka umarła ze zgryzoty. Zostali jej tylko panicz i panienska, ale oni też nie mieli zamiaru dalej siedzieć w Hongkongu.

Luozhen patrzyła ze zdumieniem na zawiniątko z czerwonego papieru w swojej dłoni. Wiedziała, że rodzina zmarłego czasem rozdaje gościom pogrzebowym białe wstęgi żałobne, ale nigdy nie słyszała o czerwonych paczuszkach (Paczuszki lub koperty z czerwonego papieru, zawierające pieniądze, są w Chinach tradycyjnym podarunkiem, mającym przynosić szczęście, ofiarowywanym przy różnych okazjach, jak śluby czy Nowy Rok. Z reguły wręczane są przez starsze pokolenie - młodszemu, przez małżeństwa - osobom stanu wolnego (przyp. tłum.)). Może to jakiś zwyczaj z prowincji Guangdong? Tylko że rodzina zięcia wcale nie pochodziła stąd. Ale znowu, kiedy wejdiesz między wrony... A może to pomysł samej służącej?

Rozwinęła paczuszkę, jeszcze nim przeszła przez bramę. Na jej twarzy pojawił się uśmiech zaskoczenia. W dłoni trzymała dwudziestocentową monetę. Kątem oka pochwyciła zaciekawione, czujne spojrzenie służącej.

Coś podobnego! I jeszcze się uśmiecha. Pani była dla niej za dobra.

W jakiś czas po tym wszystkim Luozhen doszła do wniosku, że jej reakcje na całą tę sytuację były spowodowane załamaniem nerwowym, wywołanym wyrzutami sumienia. Na szczęście wkrótce wyjechała.

Na statku, gdy od lądu dzieli nas przestwór oceanu, wiele spraw zaciera się w pamięci - przestrzeń sprzyja temu tak samo jak czas. Nic dziwnego, że w zachodnich powieściach lekarze często zalecają chorym wyjazd. Podróż morską to taki zachodni żeń - szeń, kosztowne panaceum na wszelkie dolegliwości.

Z Hongkongu do Japonii mieli płynąć dziesięć dni, jakimś zawiłym kursem. Luozhen nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Stała samotnie za balustradą, obserwując rozładunek i załadunek towarów. Przy żurawiu krzatali się skośnoocy robotnicy, odziani w wojskowe uniformy w kolorze khaki, pamiątki po armii amerykańskiej. Państwo

Li Chaxun jak zwykle nie wyszli z kajuty. Ktoś przechadzał się po górnym pokładzie, lecz był to umundurowany członek załogi - najwidoczniej pierwszą klasą nie podróżował nikt.

Pewnego dnia przybili do jakiejś wysepki. Uprzedzono ich, żeby nie wychodzili z kajut, zamknęli się na klucz i pod żadnym pozorem nie otwierali drzwi. Ciekawe, po co te specjalne środki ostrożności - czyżby w tych rejonach mieszkali łowcy głów? Luozen wyjrzała przez okrągłe okienko. Zobaczyła tłum rozgadanych, chichoczących Japonek - większość w okularach, poubierana w identyczne wdzianka i wzorzyste spodnie. Nogawki, u dołu wąskie niczym w spodniach noszonych w północnych Chinach przez kobiety o skrępowanych stopach, ku górze rozszerzały się tak, że zmieściłaby się w nich noga słonia. Wśród mężczyzn większość stanowili młodzi, tak jakby wszyscy starsi zginęli na wojnie. Mieli na sobie przepocone białe kurtki - z przodu po jednej stronie widniały piękne, zamasyżycie wykaligrafowane czarne znaki, niemożliwe do odcyfrowania. Nadwyżki wyposażenia amerykańskiej armii musiały nie dotrzeć na tę wysepkę - w innym wypadku tradycyjny ubiór by się nie zachował. Nie było tu żurawi przeladunkowych, towar musieli przenosić miejscowi kulisi. Polecenie zamknięcia się w kabinach prawdopodobnie wynikało z tego, że panował tutaj zwyczaj przywłaszczania sobie cudzej własności. Każdy, kto pojawiłby się na pokładzie, mógł stracić zegarek i ubranie. Pasażerowie siedzieli więc posłusznie w kajutach, jakby bali się porwania, nie kradzieży.

Trudno było rozróżnić te eleganckie damy w okularach. Jedna z nich, smukła kobieta około trzydziestki, o żółciutkiej twarzy, nosząca okrągłe szkła w czarnej oprawce, wyglądała jakby znajomo. Podeszła do okienka Luozen i długo patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma. Jestem jak zwierzę w zoo, pomyślała Luozen.

A może to wyspa piratów, siedlisko złoczyńców?

Po godzinie odbili od brzegów. Wysepka wkrótce znikła za mgłą czasu i przestrzeni.

Dziesięciodniowy rejs ani trochę nie dłużył się Luozen. Podobało jej się to życie w zawieszeniu, niczym w próżniowej bańce. Czowała tę pustkę nawet w jedzeniu. Wreszcie skosztowała tych wszystkich opisywanych u Maughama malajsko - angielskich przysmaków: rosółu, smażonej ryby, befsztyków, deserów, ale wszystko to było całkiem bez smaku. Boy z unizonym szacunkiem

serwował jej kolejne potrawy. Świeże, morskie powietrze sprzyjało dobremu apetytowi.

Boy obserwował, jak zjada bez mrugnięcia okiem nawet najgorzej przyrządzone dania. Podróżuje samotnie, a mimo to wydaje się ze wszystkiego zadowolona. Nie zachowuje się wcale jak osoba bywała w świecie. Coraz bardziej się obawiał, że z hojnego napiwku nic nie będzie. Gdy zbliżał się koniec dziesięciodniowej podróży, zrobił się niespokojny i wyglądał na zatroskanego. Luozen chciała mu powiedzieć, żeby się nie martwił, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć.

Tak samo jak wtedy, w autobusie, gdy zobaczyła zaniepokojoną minę Eugene'a.

Uwierzył jej mimo to.

Pan Li Chaxun zachowywał się wobec niej chłodno - nie złożyła im rewizyty, czyli zlekceważyła jego żonę. Skoro sama wybiera się do Japonii, powodem z pewnością nie są uprzedzenia wobec Japończyków, lecz zwykły brak szacunku.

Luozen była świadoma, jak może zostać odebrane jej zachowanie. Zbyt jednak ceniła sobie swoją próżniową bańkę - brak trosk, brak powiązań, całkowitą swobodę. Czuła się jak ktoś, kto przebył długą drogę, i dopiero usiadłszy, zrozumiał, jak bardzo jest zmęczony.

Pomyślała, że w sumie nie byłoby źle pogawędzić z panią Li Chaxun, pospacerować razem po pokładzie, zapytać o kilka japońskich zwrotów. Ale w końcu nie poszła.

Przy stole znów tylko wymienili uśmiechy i zdawkowe powitania.

W obecności Li Chaxuna jego żona nie zamieniła z nią ani słowa. Od czasu do czasu półgłosem wypowiadała jakieś zdanie do męża, z nieśmiałą miną; czasem urywała w połowie. Mąż wyraźnie miał do niej pretensję. Maugham pisał, że ludzie mieszanej rasy mają kompleks niższości i stają się przez to drażliwi.

Gdy już dopływali do Japonii, zerwał się sztorm. Stół jadalny był mocno przyśrubowany do podłogi, lecz nakrycia i sztucce jeździły po nim we wszystkich kierunkach - biesiadnicy ze śmiechem starali się je łapać.

Pan Li Chaxun, widząc, że Luozen je i pije bez mrugnięcia okiem, zrobił wyjątek i przemówił do niej z uśmiechem:

- Wytrawny żeglarz z pani!

Po tym jednorazowym zrywie czym prędzej utkwiał wzrok w talerzu i zabrał się do jedzenia.

Kiedy Luozen odkręciła kran w swojej kajucie, by umyć ręce, zza ściany dobiegł ją słaby odgłos - ktoś miał torsje.

Zakotwiczą się u rodziny - na pewno czeka ich świetlana przyszłość. Japończycy to naród, który zadowala się małym.

Ludzie przyzwyczajeni do zachodniej kuchni przeżywają kawałki wołowiny szybciej niż rzodkiew. Nie zważając na chorobę morską, dokładają sobie bez umiaru, jakby się nie spodziewali, że wszystko potem zwrócą.

Mały stateczek podskakiwał na wielkich falach. Luozen trzymała się cynowej umywalki, podłoga pod jej stopami drgała jak w czasie trzęsienia ziemi - ciało straciło orientację, gdzie dokładnie się znajduje. Dziwnie było słuchać tych odgłosów cierpienia zza ściany, gdy sama niczego nie czuła. Lęk przed dryfowaniem bez celu czaił się za zamkniętymi drzwiami, tak bliski, a zarazem odległy, nieuchwytny.

Radosne

spotkanie

- Witaj, kuzynko.

- Miło cię widzieć, kuzynko.

Urodziły się w tym samym roku, jedna kilka miesięcy po drugiej. „Kuzynko” - tak zwracały się do siebie.

- Witaj, ciotko! - rzekła córka kuzynki.

- Witaj, Yuanmei - odparła z uśmiechem pani Xun.

Sporo przytyła od przyjazdu do Szanghaju. Haftowane jedwabne wdzianko fałdowało się na niej, jakby jakiś wielki wąż o kolorowej łusce owinął jej się wokół pasa. Idąc ulicą, trzymała ręce z przodu i kołysała się na boki. Jeśli coś takiego nazywa się kaczym chodem, pani Xun była prawdziwą kaczką mandarynką. Jej zwinięte w lekko opadający kok włosy były kruczoczarne, podobnie jak gęste brwi nad wyrazistymi oczyma bez mongolskiej fałdy. Owalną twarz zdobił rumieniec przywodzący na myśl żółtko solonego kaczego jaja, prześwitujące przez białko.

- Jak tam Shaofu? A Zuzhi i Zuiyi? Pisali coś ostatnio? - spytała pani Wu, gdy już wymieniły pozdrowienia.

Państwo Xun mieli córkę i syna w Pekinie; do Szanghaju zabrali jedynie młodszego syna. Pani Xun wypytała Yuanmei o wieści od jej rodzeństwa - ci z kolei studiowali w Ameryce. Ich ojciec nie mieszkał w Szanghaju. Po wojnie, w związku z działalnością komunistów, ostrożni przedsiębiorcy przenieśli swoje interesy do Hongkongu, który rozkwitł wprost niewyobrażalnie. Należał do nich także pan Wu. Te wszystkie polityczne podziały bywały nawet korzystne dla tradycyjnie aranżowanych, często niedobrych małżeństw - podobnie jak wcześniej, w czasie wojny, istnienie Chongqingu i terenów okupowanych. Mąż pani Wu wyjechał z inną kobietą - swoją sekretarką, z którą miał syna. Pani Wu nigdy o nim nie wspominała.

Zięć państwa Wu także wyjechał na specjalistyczne studia, Yuanmei zamieszkała więc z matką. Bez rodzeństwa i męża czuła się opuszczona i samotna. Ówczesna młodzież nie była zbyt gadatliwa - nie bez powodu tę awangardę lat pięćdziesiątych nazywano „milczącym pokoleniem” - toteż prócz zdawkowego „Co tam u Zifana?” pani Xun nie zadawała jej więcej pytań.

Obie kuzynki zaś, ledwie usiadły, rozpoczęły ożywioną, przetykaną śmiechami rozmowę. Mówiły półgłosem, nieledwie szepcząc, tak jak przywykły w dzieciństwie. Po zamążpójściu nawyk pozostał - wokół zawsze było tylu intrygantów, gotowych roznosić

plotki. Pani Wu, mimo że mieszkała we własnym, dużym domu, wciąż obawiała się, że ściany mają uszy.

- Masz nową trwałą, kuzynko, jak ci ładnie! - Silny pekiński akcent pani Xun potęgował wrażenie powrotu do lat dzieciennych.

- E tam, pełno siwych kosmyków, popatrz tylko... - pani Wu zachichotała wstydliwie, pochyliła głowę i przeczesła palcami krótkie loki na potylicy.

- Też je mam, kochana, oj, mam!

- Nic nie widać! - Pani Wu włożyła okalary i przyjrzała się uważnie pani Xun.

- I ja też nic tu nie widzę!

Obie kobiety zaczęły badać nawzajem swoje fryzury, jakby szukały wszy. Od czasu do czasu, gdy któraś z nich odkryła biały kosmyk, rozlegał się cichy okrzyk: „Nie ruszaj się!” - po czym znalazczyni z triumfalnym uśmiechem wyłuskiwała siwy włos spomiędzy loków przyjaciółki i wrywała go.

Pani Xun była flegmatyczna - przywykła do robienia wszystkiego bardzo powoli. Pierwotnie był to jej odruch samoobronny. Gdy wykonało się swoje domowe obowiązki zbyt szybko, zaraz dostawało się kolejne zadanie - inaczej ktoś mógłby przecież zauważyć, że siedzi beczynnienie.

- Zobacz tylko, jakie rzadkie - rzekła z uśmiechem pani Wu. - Pomyśleć, że zawsze miałam ich za dużo. Miałam taki gruby warkocz i wyglądałam jak głupia. Nie pozwalali mi go ściąć, mówili, że włosy mogą od tego powypadać!

Pani Wu w młodości była brzydkim kaczątkiem.

Córka odziedziczyła po niej krótkowzroczność, ale nie chciała nosić okularów. W dzisiejszych czasach ludziom jest wszystko jedno, ale wtedy uważano, że do popularnych fryzur z grzywką okulary w żadnym wypadku nie pasują. A były podówczas w modzie najróżniejsze grzywki: z przedziałką, rozchodzące się na boki albo proste, lecz zakrywające brwi. Były też asymetryczne, opadające skosem na czoło. Małe, okrągłe okularki na nosie takiej dziarskiej panny wyglądałyby po prostu idiotycznie.

- Wtedy modne było upinanie włosów w takie luźne sploty - wspominała pani Xun. - Z tymi kosmykami z przodu robiło się różne dziwne rzeczy, zakręcało się je, splatało. W domu trzeciej stryjecznej babki była służąca, która umiała świetnie czesać, raz trafiłam na nią

przypadkiem i dałam sobie upiąć włosy. Akurat następnego dnia wybierałam się na wesele, więc kiedy wróciłam do domu, położyłam się spać na stole, nie do łóżka, żeby przypadkiem nie popsuć fryzury!

Moda ta była skutkiem zachodnich wpływów, lecz strzyżenie i trwała ondulacja były wówczas nie do pomyślenia. Z wielkim trudem upinano więc długie, proste włosy w pozawijane pukle, piętrzące się na głowie. Warkoczy ani kucyków nie ściągano ciasno, lecz pozwalano włosom opadać na szyję i zasłaniać uszy. Wśród niektórych studentek i nauczycielek akademickich moda na krótsze fryzury powoli się przyjmowała; naśladowały ją też panie z przybytków rozrywki. Obie kuzynki jednak pochodziły z konserwatywnych rodzin i takie nowości widywały tylko na obrazkach z pudełek papierosów.

- Wesele... Pamiętam, jak opowiadałaś, że chciało ci się ziewać, i tak się powstrzymywałaś, że aż ci łzy poleciały. Ale ubaw! - odparła pani Wu.

Yuanmei przysłuchiwała się temu wszystkiemu z uśmiechem, czując się, jakby słuchała starych legend.

- Chciałabym mieć tak pięknie upięte, długie włosy - rozmarzyła się pani Wu.

- Żeby nosić upięte włosy, trzeba mieć służącą, która potrafi czesać - odparła pani Xun z uśmiechem. - Jeśli będziesz próbowała sama, tylko cię ręce rozbolą od tego wykręcania i trzymania w górze. Ja mam okropny reumatyzm w ramieniu. Nadwerżyłam je dawno temu, kiedy nosiłam im pakunki - mówiąc to, jeszcze bardziej zniżyła głos, jakby obawiała się, że ktoś podsłuchuje.

- Taak, „synowa pomoże dźwigać"... - rzekła pani Wu, marszcząc brwi i naśladowując nonszalancki ton starej pani Xun.

- Zobacz tylko. Całkiem mi opadło! - Pani Xun zwróciła się ramieniem w stronę kuzynki. - Swego czasu to się nazywało „ramiona piękności"...

Barki pani Xun, niegdyś muskularne od ciężkiej pracy, teraz zbliżyły się do dawnego ideału urody - były bardzo spadziste. Z zewnątrz jednak nie dawało się zauważyć choroby. Gdy ból stawał się zbyt silny, pani Xun chodziła do masażysty.

- Wszystko przez nich. - Pani Wu zrobiła pełną odrazy minę.

- Taaa... ci Xunowie już tacy są. - Pani Xun spojrzała przyjaciółce w oczy z uśmiechem. Mówiła ledwo słyszalnym szeptem, jakby to był sekret, który wyjawiała jej po raz pierwszy w życiu.

- Obiad też zawsze synowa. „Synowa dobrze gotuje!”, „Nie potrafisz? To się naucz”. - Znowu zniżyła głos do tajemniczego szeptu. - A jak zrobisz coś nie tak, bura!

- A kiedy ciebie nie było pod ręką, to kto gotował?

- Stara Li, rzecz jasna. - Uśmiech znikł z twarzy pani Xun, a jej ton stał się na powrót dźwięczny. - Służąca, bo kucharza nie mieli. Znak, że w rodzinie bieda.

Chwila milczenia.

Weszła pokojówka z herbatą.

- Zapalisz, kuzynko?

Pani Wu nie paliła. Pani Xun twierdziła, że nauczyła się palić, siedząc na nocniku. Było to po zamążpójściu i wyjeździe do Pekinu, gdzie nie miała klozetu z bieżącą wodą.

- Jak ja nie cierpiałam tych ich tekowych mebli w salonie. - Pani Xun uniosła podbródek i zapaliła papierosa. - Wszystkie miały jakieś szpony... Trzeba było je polerować na błysk, jakby się froterowało buty, na kolanach, trwało to tyyye czasu - dodała tonem marudnego dziecka, przeciągając słowa. - No i oczywiście przyszedł raz gość, a ja nie zdążyłam się schować, i zobaczył mnie, jak tak klęczałam na podłodze. - W jej głosie wyczuwało się głębokie zawstydzenie, wręcz poczucie upokorzenia.

- Oj, tak, w Pekinie modne były takie meble, wszyscy mówili, że to antyki - rzekła pani Wu.

- Te ich cholerne rodzinne zwyczaje!

- A mnie twoja teściowa traktowała wprost fantastycznie. Kiedy przychodziłam, zawsze byłam zapraszana do twojego pokoju, a ty miałaś mnie zabawiać. Jadłam też u ciebie, tylko w twoim towarzystwie. Czasem Shaofu zaglądał na chwilę, ale zaraz wychodził, gbur jeden.

Roześmiały się.

W tamtych czasach pani Wu jeszcze nie była mężatką. Odwiedziła parę razy panią Xun w Pekinie, gdy pojechała tam razem ze starszym bratem i bratową. Shaofu poznała już wcześniej, gdy młodzi udali się do Szanghaju złożyć zwyczajową wizytę w domu matki żony. Był niskim i pulchnym mężczyzną o ciemnej karnacji,

tępy, lecz dumny i zapalczywy. Pani Wu do dziś nie mogła pogodzić się z tym, że jej krewną i serdeczną przyjaciółkę oddano rodzinie Xun. Pewnego razu, gdy Yuanmei pochwaliła urodę pani Xun, pani Wu oburzyła się wręcz:

- Nie widziałaś jej kiedyś. Miała piękne oczy, z takim szelmowskim błyskiem. Kiedy wyszła za męża, jej spojrzenie zgasło. Cała zgasła... - Głos pani Wu załamał się, oczy jej poczerwieniały.

Pani Xun przechyliła się i sięgnęła do popielniczki. Wysunęła stopę i w zamyśleniu przyjrzała się skórzanemu trzewikowi koloru moreli, sznurowanemu na męską modłę. Na powierzchni buta widniało kilka białych rys.

- Podrapane - zauważyła mimochodem, uśmiechnęła się. - Wlazł do nas kot gospodyni, a buty stały pod łóżkiem.

Zaciągnęła się papierosem.

- Kiedy teść umarł - mówiła, nadal z uśmiechem - to nam kazali ubrać go do trumny. - Kąciki jej ust rozciągnęły się w jeszcze szerszym uśmiechu, wyraźnie robiła miny. - Ona się bała - dodała cicho, w oczywisty sposób mając na myśli teściową. - Odkąd wydał ostatnie tchnienie, nie śmiała go nawet dotknąć. Wedle tak surowych obyczajów, nagość teścia dla synowej chyba powinna być tabu?

Pani Wu zmarszczyła brwi.

- To umyć też go musieliście? - mruknęła.

- Umyli go w domu pogrzebowym. Myśmy tylko go ubrali w spodnią odzież. Całun jeszcze nie był gotowy. Łajała Shaofu, że wcześniej tego nie załatwił. Nie rozumiem, poszłyśmy przecież z młodszą synową do magazynu Ruifuxiang po materiał na całun, a kiedy wróciłyśmy, Shaofu nic mi nie powiedział...

- Cały Shaofu - rzekła pani Wu i zamilkła na dłuższą chwilę. - Ale ostatnio bardzo się poprawił - dodała, przerywając ciszę.

Pani Xun nie kontynuowała wątku.

- Shaofu... - zaczęła po kolejnej chwili milczenia. - Nie cierpię go za to, co było wtedy, kiedy przyszli Japończycy...

Shaofu pracował w Nankińskim Muzeum Pałacowym. Kiedy wybuchła wojna, pomagał przy ewakuacji, a pani Xun z dziećmi wróciła do domu matki, do Szanghaju.

- Zabrał całą walizę antyków, a wszystkie moje rzeczy zgubił. Ubrania, buty, fotografie - wszystko przepadło!

- Tak to jest ze starymi zdjęciami. Jak już zginą, to na dobre - rzekła pani Wu. Mimo że sama w młodości nie grzeszyła urodą, potrafiła zrozumieć żal niegdysiejszej elegantki za zaginionymi pamiątkami z przeszłości.

- Oj, tak. I po wszystkim!

Pani Xun wróciła do Pekinu sama, z trójką dzieci. Poziom życia w Chongqingu był niezły, lecz pomniejszy urzędnik państwowy nie miał możliwości sprowadzenia rodziny. Wojna trwała osiem lat, a po zwycięstwie przez kolejny rok nie pływały statki. Shaofu popadł w jakieś konflikty i stracił pracę, na szczęście przyjaciel załatwił mu w Szanghaju posadę w bibliotece uniwersyteckiej. Dopiero wtedy zabrał żonę z Pekinu.

Przyjaciółki długo się nie widziały. Pani Wu czuła się samotna i nie miała nic do roboty, toteż często szukała kontaktu z kuzynką. Mogłyby widywać się częściej - w końcu nie mieszkały daleko. Pani Xun jednak przez telefon wydawała się taka zagubiona, wszystkiemu jednako przytakiwała - miało się wrażenie, że niedokładnie rozumie, co się do niej mówi. Kiedy wysyłało się posłańca z listem, musiała dać mu parę groszy, a ponieważ przed służbą nie chciała uchodzić za biedną, zawsze dawała za dużo. Wysyłać listy pocztą też było jakoś głupio - w końcu mieszkały w tym samym mieście. Ostatnim razem na kopercie listu od kuzynki pani Wu zobaczyła niepotrzebny dodatkowy znaczek. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać - pani Xun poczcie też dawała napiwki.

Z początku pani Xun wynajmowała mieszkanie w dzielnicy Hongkou. Było tam pełno szczurów, które obgryzały małemu Zumingowi paznokcie. Musiała wysoko wieszać torebki z mąką, inaczej zwierzaki wygryzały w nich dziury.

- Teraz mam dużo lepsze lokum - twierdziła pani Xun.

Ostatnio, gdy Yuanmei wybierała się do koleżanki, pani Wu poprosiła ją, by przy okazji wpadła z listem do pani Xun. Dzięki temu kuzynka nie będzie czuła się zobowiązana do dawania napiwku.

Była to dość ponura kamienica w zachodnim stylu. Xunowie mieszkali na pierwszym piętrze, drzwi blisko schodów. Nieduży kwadratowy pokój mieścił stół, pięcioszufladową komodę, podwójny tapczan i małe żelazne łóżko. Na stole stały garnki i deska do krojenia; kuchenka na węgiel drzewny znajdowała się na zewnątrz. Pani Xun powitała dziewczynę radośnie i z naturalną serdecznością.

Nie krzątała się wokół herbaty tradycyjnym zwyczajem gospodyni - Yuanmei poczuła się trochę jak w akademiku.

Pani Xun była w domu sama. Czternastoletni Zuming chodził do szkoły średniej. Był wyższy od ojca i uwielbiał siatkówkę. Pani Xun często mówiła, że poszedł na mecz.

- Nie chcieli mieć trzeciego dziecka. Z Zumingiem to była wpadka - udało mu się jak małej rybce, co uciekła z sieci! Zapomnieli użyć tego czegoś, podobnego do pasty do zębów - szepnęła pani Wu córce.

Rybka wyrosła na całkiem sporą rybę. Jak chłopak może mieszkać w jednym pokoju z rodzicami? To musi być dla nich strasznie krępujące, pomyślała Yuanmei, lecz zreflektowała się po chwili. Mówi się, że rozłąka wzmacnia uczucia u młodych małżeństw, ale ci dwoje są już przecież w słusznym wieku. Skąd takie myśli w jej głowie? Zifan dopiero co wyjechał, czyżby to podświadomość?

Yuanmei liznęła trochę współczesnej psychologii.

Nigdy jednak nie przykładała się specjalnie do nauki. Ojciec miał do niej żal - ukochana córka tak zawiodła jego nadzieje. Od razu po skończeniu szkoły średniej wyszła za starszego brata kolegi, mimo sprzeciwu całej rodziny. W domu nigdy nie brakowało pieniędzy, toteż nie przywiązywała do nich wagi, teraz jednak finanse stały się problemem. Nie poruszała więc nawet tematu wspólnego wyjazdu. Dla niego była to doprawdy wyjątkowa szansa. Yuanmei uległa powojennej amerykańskiej modzie na wczesne małżeństwo, zgodnie z którą młode kobiety szybko rodziły dzieci i z niemowlętami na plecach podbijały świat, a mężczyźni często porzucali uniwersyteckie kariery, nie dbając o prestiż i pozycję, i zajmowali się zarabianiem na życie. Zifan rzucił już naukę i znalazł sobie pracę, lecz jego dochody nie wystarczały na utrzymanie rodziny; po ślubie nadal mieszkali u rodziców. Młode pary w Ameryce też często mieszkaly u teściów - to, czy była to rodzina męża, czy żony, nie miało znaczenia. Lecz gdy niespodzianie nadarzyła się taka okazja, Yuanmei nie mogła domagać się, żeby z niej zrezygnował.

Pojechał więc w świat i zostawił ją samą. Czowała się nieswojo w domu swojej matki, gdzie była ni to dorosłą kobietą, ni to dzieckiem. Chciała poszukać jakiejś pracy, żeby nie siedzieć całymi dniami w domu - czegoś, co mogłaby robić absolwentka szkoły średniej, lecz rodzina męża wtedy straciłaby twarz.

Najbardziej irytujące było to, że gdyby nie wzięli wcześniej ślubu, mogłaby pojechać razem z nim - ojciec z radością sfinansowałby jej zagraniczne studia. Teraz mogła jedynie przyglądać się ze skrywaną zazdrością, jak rodzeństwo opuszcza dom.

W gruncie rzeczy nie martwiła się o Zifana. Całkowity spokój jednak byłby możliwy tylko przy braku uczucia - oznaczałby, iż nie wierzy, że ktoś inny, jakaś piękna księżniczka z dalekich krain, mógłby zakochać się w jej mężu, a tak przecież nie było.

Jej matka swego czasu wyjechała razem z ojcem; Yuanmei przyszła na świat za granicą. Wrócili do kraju, gdy miała zaledwie dwa lata - nic nie pamiętała. Co za niesprawiedliwość! Słyszała też, że matka wcale nie była tam szczęśliwa. Podwójny pech.

Pani Wu nigdy nie wspominała tych kilku lat spędzonych na obczyźnie.

Kiedy po raz pierwszy po powrocie spotkała się z panią Xun, rozmowa sprowadziła się do krytyki restauracyjnej kuchni.

- Widać, że to nie domowe jedzenie - wymamrotała pani Wu. - Wieprzowinę duszoną w sosie sojowym trzeba wcześniej usmażyć w głębokim oleju - dodała.

- A po co? - zdumiała się pani Xun.

- Tak mówią - powtórzyła pani Wu obojętnie.

- Ee, nie trzeba żadnego oleju - rzuciła pani Xun, jakby do siebie, mniej zdecydowanym tonem.

- No, podobno trzeba - odrzekła pani Wu, jakby podkreślając, że nie bierze za to odpowiedzialności.

Pani Wu, inaczej niż kuzynka, nie przypominała panny młodej ze starego wiersza, która już trzeciego dnia po ślubie gotowała zupę dla teściów, sama jednak przed wyjazdem też nie miała kiedy nacieszyć się swoim szczęściem. Nigdy nie znała się zbyt dobrze na kuchni, ale wieprzowinę w sosie sojowym przyrządzała. Po duszeniu w garnku zostawało jednak mnóstwo tłuszczu, w którym pływały cienkie skrawki przypalonego mięsa.

- Kiedy chodziłem do szkoły średniej i gotowaliśmy w kradzonej miednicy przykrytej drugą, wychodziło lepiej - irytował się pan Wu.

Kiedyś na spotkaniu chińskich studentów pani Wu poznała dwie dziewczyny - co prawda, żadna z nich nie prowadziła regularnej domowej kuchni, ale od czasu do czasu uczestniczyły we wspólnym

kucharzeniu w gronie przyjaciół. To one właśnie mówiły o smażeniu wieprzowiny w głębokim oleju przed duszeniem. Pani Wu nie do końca miała pewność, czy można im wierzyć. Nie były to Chinki urodzone za granicą - być może zwyczaj ów pochodził z kuchni kantońskiej albo fujiańskiej, o ile w prowincji Guangdong i Fujian w ogóle jadało się wieprzowinę duszoną w sosie sojowym. Po powrocie pani Wu postąpiła zgodnie z zaleceniem. Na początku niby dobrze szło, ale trudno przychodziło utrafić w ten właściwy moment, gdy mięso jest w połowie surowe, w połowie usmażone, tłuszczu było to za dużo, to za mało. Wieprzowina wprawdzie nie twardniała, ale wychodziła przesuszona.

Kiedy więc w kilka lat po powrocie do kraju spotkała się z panią Xun, pokazała jej swoją białą torebkę ze skóry licowej.

- Nic dziwnego, że jedzą tam wieprzowinę bez skóry (W chińskiej kuchni do wielu potraw używa się wieprzowiny ze słoniną i skórą (przyp. tłum.)). Cała skóra idzie na buty i torebki! - Zaśmiała się.

- Ahaaa... - rzekła przeciągle pani Xun. - To pewnie dlatego muszą smażyć tę wieprzowinę w głębokim oleju - oświadczyła tonem nagłego odkrycia. - Nie ma słoniny! Inaczej cały tłuszcz by się wytopił!

- No tak, muszą smażyć - odrzekła pani Wu obojętnym tonem, jakby nie do końca dotarło do niej to, co usłyszała. Okazało się, że kwestia, nad którą głowiła się tyle czasu, ma takie proste wyjaśnienie - ależ była głupia, że męczyła się na próżno...

Duszenie mięsa, układanie włosów... było tego stanowczo za dużo na jej biedną głowę. W gruncie rzeczy jednak wcale nie musiała układać kunsztownej fryzury, nosić tradycyjnej chińskiej sukni. W tamtych czasach suknie qipao nie zdobyły jeszcze światowej popularności - za granicą wszyscy nosili się po zachodniemu. Zabrane z kraju komplet tradycyjnej jedwabnej garderoby zwykle służył kobietom jako strój na bal przebierańców. Ona jednak nigdy nie zdobyła się na zmianę stylu w ubiorze. Nosila wdzianko z satyny w zakardowe wzory, jak ze starych malowideł, z zaokrąglonym dołem, do tego czarną, średniej długości spódnicę z jedwabnej krepy, z dołem ozdobionym kunsztownym haftem we wzór sosnowych igieł, szerokim na pół stopy - zdobienie to przypominało mankiety kurtek z początków dynastii Qing. Pani Wu była świadoma, że jej strój rzuca

się w oczy. Sądziła jednak, że mąż już tak przywykł do jej wyglądu, że gdyby nagle zmieniła sposób noszenia się, zrobiłaby na nim wrażenie jeszcze większego dziwadła. Na szczęście nie chodziła na uczelnię, więc wyróżnianie się ubiorem nie stanowiło dla niej problemu.

Mąż nie zgłaszał zastrzeżeń. Zewsząd słyszał, jak obcokrajowcy wychwalają piękne stroje Chinek, a zachodnie kobiety ochają i achają na ich widok. Kruczoczarne, długie włosy też uchodziły za oznakę wielkiej urody. Jakoś nie myślał o tym, że prawdziwa wschodnia piękność nie powinna być gruba ani nosić okularów.

Kiedy się zaręczali, słyszał, że pani Wu jest wykształconą kobietą o szerokich horyzontach, słynną w całej rodzinie. Jej nieśmiałość jednak sprawiała, że obcokrajowcy sądzili, iż nie rozumie po angielsku. Egzotyczny wygląd także stanowił pewną barierę. Ciągając ze sobą wszędzie tę niewprawną w prowadzeniu domu, nietowarzyską żonę, narażał się na krytyczne komentarze.

Pani Wu najbardziej bała się wakacji letnich i zimowych, kiedy to mąż koniecznie musiał wyprawiać się z przyjaciółmi na zwiedzanie Europy. Gdy trafiali w kolejne miejsce, gdzie nikt nie mówił zrozumiałym językiem, zaczynał się istny kocioł: trzeba było rezerwować hotel, wymieniać pieniądze, sprawdzać drogę na mapie, wczytywać się w menu, a potem w rachunki, jeździć metrem, śpieszyć się na pociąg czy do autokaru. Kiedy pan Wu organizował wycieczkę, żona stawała się jego pomocnicą i gdy cokolwiek poszło nie tak, to ona zbierała cięgi.

Studentki na stypendiach zagranicznych były jak rzadki skarb - ledwie wyjechały z kraju, ich wartość na rynku małżeńskim wzrastała dziesięciokrotnie. Każda z nich zawsze mogła stać się żoną kogoś ważnego. Pan Wu traktował je ostrożnie i z wielką atencją, ograniczając się do nawiązywania oficjalnych relacji. Żonie zaś czynił wyrzuty, że nie dość starannie się nimi opiekuje.

Pani Wu zazwyczaj milczała. Gdy już się uśmiechała, to naprawdę słodkim uśmiechem; zawierał w sobie głęboko ukrytą, lecz niewzruszoną satysfakcję. Przynajmniej mąż nie był wobec niej nielojalny. Czuła się gorsza od innych kobiet pod wieloma względami, lecz mimo wszystko pokładała jakąś ufność w swoim pulchnym, bladym ciele.

Krewni niepokoiли się o niego, dlatego chcieli, by z nim pojechała. Zajęcia na uczelni mocno go pochłaniały, był jednak świadom, że pobyt na dobrym uniwersytecie to okazja, by wejść w tamtejsze towarzystwo „starych absolwentów”. Raczej nie zdołałby zaprzyjaźnić się z synami lokalnych notabli, lecz nawiązanie stosunków z potomkami sławnych i bogatych rodaków mogło być bardzo korzystne. Świeżo przybyłych starał się nie odstępować na krok. Na początku nie miał żadnych znajomości, lecz wyjeżdżający na zagraniczne uczelnie zawsze pochodzili z majątnych rodzin, toteż dzięki serdeczności i towarzyskości pana Wu krąg jego możliwych przyjaciół w naturalny sposób się powiększał. Działał on też w stowarzyszeniu studenckim, nie po to bynajmniej, by odznaczyć się na tym polu, lecz przede wszystkim dla nawiązywania kontaktów.

Imprez towarzyskich i okazji było wiele. Pan Wu jednak nigdy nie szukał przygód z cudzoziemskimi kobietami; one też z nim nie flirtowały. Chudy, z zapadniętą klatką piersiową, o bladej, okrągłej twarzy, przypominającej wytartego srebrnego dolara, w okularach w szylkretowej oprawie - ten typowy wymizerowany Azjata nie był pociągający dla kobiet Zachodu. Nie udało mu się poznać żadnych zagranicznych przybytków rozrywki, obawiał się zresztą chorób wenerycznych. Po powrocie do kraju, kiedy już udało mu się wejść w kręgi bankierskie, a następnie zrobić błyskawiczną karierę, tym bardziej mu nie wypadało interesować się takimi sprawami.

Po dłuższym milczeniu pani Xun odezwała się cicho: - Jak Shaofu dostał pensję, jeszcze tego samego dnia

Shen Bingru przyszedł po pożyczkę. Między sobą zawsze mówiły o mężu młodszej siostry

Shaofu, używając imienia i nazwiska, ją zaś nazywały „śliczną panienką” - chorowita, wciąż grała rolę rozpieszczonego dziecka.

Yuanmei dostrzegła wahanie w głosie ciotki - widocznie tamta nie była pewna, czy może o tym mówić w obecności dziewczyny, skoro wiedziała, że rodzina Wu nie utrzymuje kontaktów z jej szwagierką.

Yuanmei doszła do wniosku, że chyba powinna już sobie pójść - postanowiła jednak posiedzieć jeszcze chwilę. Tak po prostu wyjść i zostawić je obie byłoby niedelikatnością. Miała świadomość, że pani Xun wie, że kuzynka z powodu zamążpójścia córki znalazła się między młotem a kowadłem, i naturalnie uważa, że to wina Yuanmei,

choć nie daje temu wyrazu. Pani Xun z kolei sądziła, że Yuanmei nią pogardza. Dzieci z reguły nie przepadają za biednymi krewnymi, wspieranymi przez rodzinę, a niechęć dziewczyny mogła być tym większa, że jej matka tak blisko się z kuzynką przyjaźni. Yuanmei tymczasem myślała: „Gardzę takimi rzeczami jak opinia czy pozycja, dlatego wyszło tak, a nie inaczej. Ale czy ona potrafi to zrozumieć?” W każdym razie starała się okazywać ciotce jak najwięcej serdeczności.

Pani Xun zachichotała cichutko.

- Hong też chciał od nas pożyczać. Na szczęście już wysłałam pieniądze dzieciom do Pekinu...

Pani Wu nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzały na siebie i uśmiechnęły się.

- Shaofu na to: „Było, było, ale się skończyło”. Tylko mnie denerwuje - dodała pani Xun. - W duchu sobie myślę: A te szpilki do włosów, które właśnie posprzedawałam? No i kuzynka tyle nam pomaga. Poza tym jest jeszcze naszyjnik, broszka z jadeitu, kolczyki, pierścionek z rubinem, perły, bransoletki...

Pani Wu wiedziała, że te słowa są przeznaczone dla niej. Gdyby Shaofu powiedział w jej obecności: „Było, było, ale się skończyło”, jego żona obawiałaby się, że sprawi to pani Wu przykrość, w końcu tak często pomagała im finansowo.

- Ale teraz lepiej mu się wiedzie, prawda? A Zuzhi? Ma już dziewczynę? - zmieniła temat pani Wu.

- Nie mam pojęcia. - Pani Xun zaśmiała się. - W listach nic nie pisał!

- A Zuyi? Nie ma jakiegoś chłopaka?

- Chyba nie.

Rodzeństwo uczyło się, oboje mieszkali w akademikach.

- Zuzhi wakacje spędził u babki - dodała cicho pani Xun. - Podobno płakała! Mówiła, że tęskni za Shaofu i za mną.

- No proszę! Teraz to tęskni! - Pani Wu nie powstrzymała się od śmiechu.

Pani Xun nigdy nie pyskowała swojej teściowej. Druga i trzecia synowa nie miały oporów - gdy nie mogły już wytrzymać, otwarcie się buntowały. Właściwie nie były od pani Xun wiele młodsze, lecz należały już do innego pokolenia. Starsza pani zdecydowanie wolała

ją, ona jednak wcale nie była szczęśliwa. Po prostu zawsze uważała kłótnie za niepotrzebną stratę energii.

- Tak właśnie mówiła. Że za mną tęskni... - powiedziała pani Xun z przekąsem. Uśmiechnęła się. - Myślę - dodała po chwili milczenia - że kiedy Shaofu umrze, nie wrócę do tamtego domu. Mieszkać razem z Zuzhi też nie mam zamiaru.

Nie musiała niczego wyjaśniać - pani Wu rozumiała doskonale: syn kuzynki prędzej czy później się ożeni, a ona, pomna własnych doświadczeń, nie ma ochoty mieszkać z jego przyszłą rodziną. Jednakże fakt, że tak spokojnie mówiła o śmierci Shaofu, trochę zmroził panią Wu. Nie wiedząc, co odrzec, mruknęła tylko:

- Jego siostry są w porządku...

- Do nich też nie pójdę - oświadczyła pani Xun z naciskiem. - Myślę - ciągnęła półgłosem - że sama znajdę sobie jakieś miejsce do życia, nieważne gdzie, wszystko mi jedno. Uważam, że dam radę sama zadbać o siebie. - Ostatnie słowa wypowiedziała już dość głośno, lecz jej ton brzmiał nienaturalnie, ochryple.

Unikała tematu szukania pracy. Szukanie pracy kojarzy się raczej z jakąś posadą biurową. Tymczasem ona potrafiła tylko gotować. Przyrządzanie posiłków dla obcych ludzi to tak jak pójście do kogoś na służbę - dzieci wstydziłyby się jej. Z kolei otwarcie małej restauracyjki niemożliwe jest bez kapitału, a trudno przecież próbować szczęścia za cudze pieniądze. Mogłaby co najwyżej nająć się do pomocy w restauracji. Umiała niezłe lepić pierogi, robić makaron, potrafiłaby obsłużyć nawet spory bankiet, choć była już nieco powolna.

Pani Wu uśmiechnęła się w milczeniu. W zasadzie mogłaby jej odpowiedzieć: „Zamieszkaj ze mną”. Oznaczałoby to jednak uznanie, że mąż już nigdy do niej nie wróci.

- A, twoje ubranie jest gotowe - przypomniała sobie.

- Chcesz przymierzyć? Yuanmei właśnie je przyniosła od starego Chena.

Była to suknia qipao, którą pani Xun zamówiła u krawca pani Wu. Pani Xun wyszła do jadalni obok, żeby się przebrać. Wróciła ze spuszczoną głową, bezskutecznie próbując wygładzić na sobie sztywną czerwoną tkaninę.

- I jak wyglądam, kuzynko?

- Wyprostuj się. Trudno, żebym cię dobrze widziała, kiedy się tak garbisz! Może być - zawyrokowała pani Wu. - Na pewno z tyłu nie za obszerna? Choć za ciasna też nie byłaby dobra...

Trudno jej jednak przychodziło pozbyć się myśli, że kuzynka mogłaby się ubierać lepiej. Kobieta zamężna, dopóki nie jest wdową, powinna się nosić żywo i elegancko, inaczej przynosi to nieszczęście. Tymczasem pani Xun materiały kupowała zawsze w pośpiechu, w małym sklepiku na rogu. To samo z drobiazgami dla domu - gdy tylko miała pieniądze, czym prędzej szła na zakupy, póki Shaofu nie rozpozyczył wszystkiego krewnym i przyjaciołom. Jako dobra żona nigdy nie protestowała - po prostu wydawała, ile mogła, jak najszybciej. To była taka ich cicha, małżeńska wojna, choć on nic o niej nie wiedział. Kupić i mieć cokolwiek to zawsze lepiej niż nie mieć nic. Pani Wu jednak zawsze z niepokojem przyglądała się zakupom kuzynki - wynikało to z naturalnej w rodzinie ostrożności, niezależnej od ciepłych uczuć.

- Wielki brzuch! - oświadczyła pani Xun, stojąc przed dużym lustrem i przyglądając się swojej figurze.

- To wszystko z nerwów. Z nerwów powstają wzdęcia. Czasami, kiedy oglądam jakiś film, i coś mi się przypomni... o rany, zaraz tak się denerwuję, że przestaję rozumieć, co się dzieje na ekranie!

Ciekawe, na kogo tak się denerwuje? - zastanawiała się Yuanmei. Może na Shaofu? Najpewniej jednak chodzi o jakieś stare sprawy między nią a teściową.

Kiedy ciotka relacjonowała swoje rozmowy z ludźmi z pobliskich sklepików, jej rozmówcy zawsze tytułowali ją „panią Xun”. Wszyscy wokół ją znali. Gdy opowiadała, jak gospodyni zawołała ją do telefonu, też nigdy nie zapominała o „pani Xun”. Widać było, że pozycja, jaką zajmuje w swoim małym światku, daje jej wyraźną satysfakcję.

Na piecyku na węgiel drzewny u pani Wu leżało kilka mandarynek - tylko dzięki temu nie były zbyt zimne, by je jeść. Piecyk miała nowiutki, lecz węgla mało. Oszczędzanie stało się koniecznością - na północy wrzała wojna, dostawy wciąż nie nadchodziły, a przy tak małej liczbie domowników nie opłacało się ogrzewać mieszkania. Zjadłszy jeden owoc, pani Wu rozłożyła skórkę na żelaznej powierzchni pieca, tworząc wielki pomarańczowy kwiat. W pokoju rozszedł się cytrusowy aromat. Naprawdę cieszyła ją ta

wcześniejsza emerytura. Dość już miała nerwów i kłótni, w które obfitowało jej życie ostatnimi czasy.

Ze wszystkich dzieci to Yuanmei zawsze sprawiała jej najwięcej kłopotów. Tymczasem teraz siedziała cierpliwie z boku i przysłuchiwała się pogaduszkom starych kuzynek. Mimo że założyła własną rodzinę, najwyraźniej lubiła towarzystwo matki. Mieszkanie u teściów nie umywało się do rodzinnego domu - miała już porównanie. Nie skarżyła się jednak, starała się to przeczekać. Kiedy Zifan wróci, powinien zacząć więcej zarabiać, a wtedy będą mogli wyprowadzić się na swoje. Bez tego mogliby co najwyżej wynająć z kimś do spółki jakąś nędzną dwupokojową kłitkę - nadal nie byłiby sami, w dodatku musieliby znosić towarzystwo obcych. To nie wchodziło w grę.

Dzieci pani Wu dobrze sobie radziły. Mimo że dzielił je od niej ocean, nie martwiła się - zresztą nie podobna żyć, zamartwiając się bez przerwy. A co miała powiedzieć Yuanmei, teraz, kiedy zięć wyjechał? Firma męża w Hongkongu, co prawda, przynosiła chwilowo straty, lecz on co miesiąc regularnie łożył na ich utrzymanie. W listach, które często wymieniali, zwracali się do siebie per „drugi starszy brat” i „czwarta młodsza siostra”, wedle pozycji, które zajmowali w swoich rodzinach, co brzmiało godnie i elegancko. Podpisywała się skromnym znakiem „mei” - młodsza siostra. Niektóre sprawy, zwłaszcza dotyczące majątku rodziny i przesyłania pieniędzy, poruszała w zawołany sposób, tak by tylko on zrozumiał, a tamta ladacznica się nie zorientowała. Jeśli sam jej powie, to tylko przez własną głupotę. Niekiedy były to rzeczy, których nie chciała mówić wprost nawet rodzinie i dzieciom, więc musiała nieźle się nagłówkować. Korespondencja z mężem sprawiała pani Wu pewną frajdę. W całym jej dotychczasowym życiu te listy najbardziej przypominały listy miłosne. Była wykształconą kobietą - do kogo miała pisać, jeśli nie do niego? Najnowszą odpowiedź właśnie obmyślała - list od męża przyszedł w przeddzień spotkania z kuzynką. Wstydziała się jej przyznać do tej „młodszej siostry” i „starszego brata” - w tym wieku, i do tego, że pozwala traktować się z wyższością.

Shaofu nazywał swoją żonę w listach „mądrą starszą siostrą” - pani Xun była od niego starsza o rok. Pani Wu nie podobało się to. To ci dopiero biedactwo - młodszy braciszek! Robi z siebie rozpieszczonego dzieciaka.

- Coś jeszcze chciałam ci powiedzieć... - przerwała pani Wu długą ciszę. Co to miało być? Uśmiechnęła się niespokojnie. Zabawna historyjka, usłyszana od krewnej, a może jakieś ploteczki od służącej? A może nowe owoce czy warzywa pojawiły się na rynku? Nie mogła sobie przypomnieć.

Pani Xun też łamała sobie głowę, próbując wymyślić coś, co mogłaby jeszcze powiedzieć kuzynce.

- Pewnego razu nasza druga synowa zachorowała - zaczęła w końcu. - Lekarz przepisywał jej różne lekarstwa, ale nic nie pomagało. Któregoś dnia zobaczyłam, jak wyrzuca słoiczek, a pigułki zakopuje w swoim ogródku pod drzewem. Kiedy spytałam, po co to robi, odparła, że to ją wyleczy. Jeszcze chyba ci tego nie opowiadałam - zakończyła, zerkając uważnie na panią Wu.

- Aha - odparła kuzynka, najwyraźniej zaintrygowana tym dziwnym ludowym przesądem.

- W końcu niespodzianie postradała zmysły i wróciła do matki - dodała półgłosem pani Xun.

- Coś mi się widzi, że już wcześniej była szalona!

- Właśnie mówię, słyszane to rzeczy - żeby zakopywać lekarstwa pod drzewem? - Pani Xun uśmiechnęła się. - Mówili, że tylko udawała wariatkę - dodała po chwili. - I że wcześniej też jedynie symulowała chorobę. Pewnie po prostu pokłóciła się z teściową...

Yuanmei nie słuchała zbyt uważnie, ale nie znaczyło to, że uważa opowieści pani Xun za paplaninę plotkary. Ciotka często opowiadała jej matce różne zdarzenia z przeszłości, wiedząc o tym, że bardzo ją to ciekawi. Pozostało wiele takich białych plam do wypełnienia.

Yuanmei jeszcze w latach szkolnych zetknęła się z podobnym rodzajem niewinnego uczucia między osobami tej samej płci. Była absolutnie zauroczona swoją nauczycielką śpiewu; rodzice śmiali się, że zakochała się w pannie Yuan. Kiedy kończyła gimnazjum, podarowała tamtej piękny prezent - matka pozwoliła jej wybrać, oczywiście pod warunkiem, że będzie to coś odpowiedniego. Nie było nic niestosownego w tej młodszej fascynacji - przypominała zadurzenie w gwieździe filmowej. Po prostu etap rozwoju. W poprzednim pokoleniu jednak, u tych, którym nigdy nie było dane naprawdę zakochać się w osobie płci przeciwnej, takie uczucia pogłębiały się i trwały.

Raz jednak pani Wu zwierzyła się córce, że ostatnio nie ma właściwie o czym rozmawiać z ciotką.

Trzy kobiety gawędziły tak prawie do zmroku. W pewnej chwili rozległ się dzwonek.

- Mieszkamy tylko we dwie, nie wiem, po co wciąż te dzwonki - zauważyła z uśmiechem Yuanmei.

Zwyczaj ten wprowadził pan Wu po zamieszkaniu w dużym domu, naśladując obyczaje angielskie. W angielskich domach dzwonkiem wzywano na posiłek - goście, którzy przyjeżdżali na weekendy, mieszkali w osobnych pokojach, a dzięki dzwonom nie trzeba było zapraszać do stołu każdego z osobna. W domu państwa Wu jednak i tak trzeba było po wszystkich chodzić. Mieszkańcy nie byli przyzwyczajeni do dzwonek, poza tym dom był na tyle spory, że dźwięk nie rozchodził się jak należy. Wszyscy myśleli, że dzwonenie dobiega z ulicy albo z pobliskiej szkoły.

Miedziany dzwoneczek wisiał w jadalni na serwantce. Pan Wu uwielbiał opowiadać historię o tym, jak to rodzina żony prezydenta Roosevelta, która robiła kiedyś interesy w Kantonie, kupiła stary dzwon z brązu, używany w pewnym klasztorze buddyjskim w Suzhou. Wniesiony w posagu dzwon służył potem w domu jako dzwonek do ogłaszania pór posiłków.

Obok dzwonka wisiała rzeźbiona antyczna tabliczka z jadeitu wielkości około ośmiu cali. Całość, zawieszona na drewnianej podpórce, kojarzyła się z jakimś instrumentem muzycznym. Yuanmei przypominała sobie, jak kiedyś, nie mogąc się doczekać pory obiadu, stukała pałeczkami w ten jadeit. Jeżeli umyślnie chciała zirytować matkę, nie przychodziła na dzwonek, lecz gdy ojciec był w domu, nie pozwalała sobie na takie zachowanie. Kochał ją najbardziej ze wszystkich, ale kiedy wracał, zawsze szukał pretekstu do kłótni. Dzieci bały się zwracać na siebie uwagę, krzywiły się tylko i stroiły miny.

Przy długim stole jadalnym, niegdyś tak gwarnym, siedziały teraz trzy osoby, dwie gospodynie i gość.

Po posiłku pani Xun oświadczyła:

- Ależ się napchałam!

- Ryba była raczej lekkostrawna - zauważyła pani Wu. - A krewetki podobno zawierają mnóstwo cholesterolu. Wszyscy się boją cholesterolu... Słyszałam, że najwięcej jest go w jajkach. Zwykle jajka

mogą doprowadzić człowieka do śmierci! W pewnym wieku już trzeba uważać i regularnie mierzyć ciśnienie...

- Aha, aha. - Pani Xun kiwała głową, jakby nie całkiem rozumiejąc, lecz zapamiętując wszystko dokładnie, jak pracownik słuchający poleceń szefa.

Kiedy Xun Shaofu zjawił się po pracy, by odebrać żonę, od razu zwrócił uwagę na czerwone qipao, przerzucone przez oparcie kanapy.

- O, ubranie już gotowe? - spytał.

Usadowił się w drugim końcu kanapy, wciskając swoją wymizerowaną postać w narożnik, jakby chciał się obronić przed przewróceniem na poduszki. Wyglądał na zmęczonego. Przyjechał zatłoczonym autobusem z Jiangwan - podróż trwała długo, a nie było miejsca siedzącego.

- Co ci się stało w rękę? - spytała pani Wu, patrząc, jak bierze czarkę herbaty. Jeden z jego palców był czerwony, jakby posmarowany dezynfekującą merbrominą.

- Obierałem czerwone jajka. Nie do zmycia...

- Taki mocny barwnik?

- Tych jajek było czterdzieści. Dong dziś urządzał pępkowe (Jedzenie barwionych na czerwono jajek to w Chinach element tradycyjnego przyjęcia z okazji narodzin dziecka (przyp. tłum.)). Założyliśmy się z Liu, że zjem czterdzieści jaj.

Zapadła cisza. Kobiety popatrzyły na niego, po czym roześmiały się. Po chwili pełnego konsternacji milczenia ich cichy chichot brzmiał całkiem donośnie.

- Jak można tyle zjeść? I nie stanęły ci w gardle? To nie to samo co porządne jajka, gotowane w herbacie...

Pani Wu myślała w duchu, że to wątłe ciało, nerwowe usposobienie i urywana mowa nie wróżą mężowi kuzynki długiego życia. On tymczasem, gdy spotykał się z przyjaciółmi, wciąż popisywał się jak dziecko: uwielbiał się bawić, był pełen entuzjazmu i niczym się nie przejmował.

- ...więc mówię im, że młody Liu jest jak lisica - uwielbia jajka na twardo!

Shaofu zawsze tak paplał bez zastanowienia. W całym towarzystwie tylko pani Wu czytała Pouczające historie małżeńskie, gdzie jedna z bohaterek, przemieniona w kobietę lisica, przepada za

gotowanymi jajami. Pani Xun jednak i tak zawsze śmiała się z dowcipów męża - najgłośniej, gdy ich nie rozumiała.

- No i co, kto wygrał? Ty czy on? - dopytywała się pani Wu.

Shaofu przekrzywił głowę, chrząknął i mruknął coś, co brzmiało jak: „To ja pokonałem wrogą armię!”

Urządzony przez dekoratora salon wypełniały nowoczesne, proste meble. Dominował ciemny herbaciany brąz; na jego tle chińskie parawany, malowane złotą farbą w delikatne wzory, prezentowały się niezwykle gustownie. Pokój był spory, oświetlony ozdobnymi, nisko zwieszającymi się lampami, dającymi przytłumione światło. Krótkowzroczna Yuanmei przyglądała się obłej sylwetce Shaofu - w watowanym wdzianku wyglądał, jakby był pozbawiony ramion. W półmroku jego twarz miała ziemisty odcień. Przypominał usadowiony na kanapie kopiec termitów. Skromnie nie podnosił wzroku, a warstwa pyłu pokrywająca jego twarz stanowiła zasłonę, za którą mógł się nawet niepostrzeżenie zdrzemnąć. Żadna z nich nie powiedziała, że jest śpiący - znaczyłoby to, że czas już, by oboje wracali do domu. Pani Xun wiedziała, że mąż nie kwapi się do odejścia - zawsze bardzo podziwiał panią Wu.

Rozmawiały więc przyciszonymi głosami, jakby obawiając się go obudzić.

- Mówiłaś, że chcesz kupić wełniany sweter? Widziałam niedawno w Xianshi takie z tym, jak to się nazywa, szalowym kołnierzem. Są dużo ładniejsze niż bez kołnierza. - Pani Wu postanowiła, że tym razem jej kuzynka wyda pieniądze mądrze.

- A mają takie duże rozmiary? - wtrącił się Shaofu, który interesował się strojami swojej żony.

- Wszystkie mają - odparła pani Wu chłodno, z założonymi na piersi rękoma.

Zapadła cisza.

- Pamiętam, jak wtedy pojechałam do was do Nankinu - rzekła pani Wu.

- Ech! W tamtych czasach Nankin to było coś - odparł Shaofu.

Wyjazd do Nankinu był dla nich jak podróż do innego świata, drugi miesiąc miodowy. Pierwszy raz od narodzin dwojga starszych dzieci Shaofu udało się pojechać gdzieś z żoną. Dzieci zresztą zabrali ze sobą.

Shaofu nie udało się dostać posady na uniwersytecie, w Pekinie jednak mimo wszystko rysowały się pewne możliwości. Miał w rodzinie ministra i dyrektora departamentu w rządzie militarystów, którzy bez większego trudu mogliby go zaprotegować. Ale wciąż nic z tego nie wychodziło.

Pani Wu była lepiej wykształcona od kuzynki; wydawało się wręcz, że lepiej Shaofu zna i rozumie.

Wtedy, w Nankinie, zamieszkała razem z nimi. Rankiem myła twarz pod drzewkiem brzoskwini, które rosło na dziedzińcu, i szorowała zęby proszkiem Ekstra, tym z motylkiem w reklamie. Brzoskwynie właśnie kwitły. Byli na wycieczce nad jeziorem Xuanwu, zjedli posiłek w restauracji, a potem wybrali się do świątyni Konfucjusza i kupowali fałszywe antyki - Shaofu był specjalistą w tej dziedzinie. W Szanghaju, gdy ktoś z rodziny miał coś do sprzedania - obraz, kaligrafię czy inne starożytne cacko - zawsze prosił go o ekspertyzę.

Pani Wu za to przyjmowała jego żonę w Szanghaju. Pani Xun mieszkała u niej z dziećmi blisko dwa miesiące. Gospodyni kupiła dzieciom mnóstwo nowych rzeczy i zamówiła modne ubrania dla ich matki: czarny wełniany płaszcz w zachodnim stylu z kołnierzem ze srebrnego lisa i bladopomarańczową suknię qipao z półprzejrzystej satyny, także inspirowaną zachodnią modą. Pani Xun skróciła włosy i zrobiła lekką trwałą, za uchem przypięła wielki, obsypany brokatem, sztuczny kwiat w kolorze różowego pudru. Wyskubane brwi przedłużała ołówkiem aż do skroni, co nadawało jej twarzy zdziwiony, trochę smutny wyraz. Shaofu w każdy weekend przyjeżdżał po żonę i dzieci pociągiem i zabierał je do domu. U państwa Wu niemal codziennie odbywały się przyjęcia i wieczorki hazardowe. Pani Xun nauczyła się tańczyć przy muzyce z gramofonu - kuzynka uczyła ją kroków, tańcząc z nią w parze jak mężczyzna. Czasami po proszonej kolacji wybierano się wspólnie do klubu nocnego i wtedy, rzecz jasna, pani Xun zdarzało się tańczyć z męskim partnerem.

- Shaofu będzie zazdrosny - szeptała jej do ucha pani Wu.

Obie wybuchały śmiechem.

W tamtych czasach pani Wu najczęściej grywała w karty z panią Sun. Po latach pani Sun spytała:

- Co tam słyhać u pani Xun? Pani Feng wspominała ją dwa dni temu. Ciepło się o niej wyrażała. Pamiętam, miała taki cichy, delikatny głos... - Bezskutecznie szukała odpowiedniego określenia dla spokoju i opanowania pani Xun, tak różniącego ją od przeciętnej szanghajki. - Taka zrównowazona, subtelna. Wszystkim się podobała.

- O tak, pamiętam tego pana Qiu... - odparła pani Wu, uśmiechając się odrobinę nieśmiało.

Pani Sun także się uśmiechnęła. Grywający z nimi swego czasu pan Qiu darzył panią Xun prawdziwym uwielbieniem. Ten protegowany pani Sun - trzydziestokilkulatek, inteligentny i przystojny - mieszkał w Szanghaju sam, choć nikt nie wiedział, czy w rodzinnym domu przypadkiem nie czeka na niego żona. Tak czy owak, nie można było tej pary swatać. W dodatku uczucie było raczej jednostronne i pozbawione perspektyw.

Gdyby jednak sytuacja się rozwinęła, pani Wu z pewnością nie miałyby pretensji do kuzynki.

Gdy po kolacji zjawił się Shaofu, jego żona jak zwykle zaczęła zachowywać się tak, jakby wizyta się skończyła - prawie przestała się odzywać, nie paliła nawet papierosów. Yuanmei natomiast zapaliła. Robiła to zawsze, gdy była znudzona czy przygnębiona.

Włosy miała związane w koński ogon; na jej strój składały się długie spodnie, nijaka, blad różowa koszula flanelowa oraz szara wełniana kamizelka w męskim stylu. Nic do siebie nie pasowało. Ta abnegacja, typowa dla ówczesnych młodych małżonków, rzekomo wyrażała ich życiową mądrość. Uprzejmy sposób bycia Yuanmei miał w sobie coś z pobłażliwej troskliwości wobec biednych i starych. Gdy tak siedziała z boku, w milczeniu, pani Wu, dla której córka wciąż była dzieckiem, uważała to za oznakę dobrego wychowania - dziewczyna nie wtrąca się, kiedy mówią starsi. W oczach postronnych zaś po prostu była obok, należała do innego świata.

Długo nikt się nie odzywał. Pani Wu musiała wejść w rolę gospodyni - inaczej cisza trwałaby dalej, stając się dla gości sygnałem do opuszczenia towarzystwa. Gospodyni zaczęła więc opowiadać o filmie, który obejrzały niedawno z panią Xun. Kilka miejsc w fabule pozostawało wciąż niejasnych dla kuzynki - nawet Yuanmei zrobiła wyjątek i odezwała się, pomagając w ich rozwikłaniu. Główny bohater, pijany, został uwiedziony przez kobietę, a potem pozostawał w błędnym przeświadczeniu, że ją zgwałcił.

- Kiedy się za dużo wypije, coś takiego jest przecież niemożliwe!
- zaprotestował z oburzeniem Shaofu.

Pani Wu nigdy jeszcze nie słyszała, by Shaofu poruszał tematy seksualne, toteż uśmiechnęła się trochę bezradnie. Yuanmei także się uśmiechnęła, wyczuła jednak z jego strony pewną zadziorność; gdzieś w tle czaiła się walka płci. Popisywał się, dając do zrozumienia, że nie jest jeszcze taki stary.

Następnie Shaofu opowiedział im, jak to niejaki Zhou Deqing przyszedł do niego dwa dni temu.

- Chodziło o jego żonę w Chongqing.

- Aha - rzekła pani Wu. Obawiała się, że rozmowa znowu utknie w martwym punkcie. Że też zawsze musi mu się wymknąć coś takiego... Nie wiadomo, o co teraz spytać, żeby nie był tym zaskoczony czy obrażony.

Po dłuższej chwili Shaofu podjął znowu.

- Pewnego razu w Chongqing poszedłem do tego Zhou Deqing, ale nie zastałem go w domu, żona powiedziała, że zaraz wróci, i poprosiła, żebym zczekał na niego do obiadu. Była bardzo gościnna, zaproponowała mi drinka. Czekałem całą godzinę - nie wrócił, więc poszedłem sobie! A teraz słyszę, że coś było między nami - niebywałe! - Pokręcił głową, robiąc taki ruch ręką, jakby ocierał pot z czoła.

Pani Xun rozciągnęła usta w uśmiechu. Pani Wu roześmiała się szczerze. Ludzie to jednak zwierzęta, pomyślała w duchu. Gdy pozostawi się mężczyznę i kobietę samych w jednym pokoju, zawsze coś może się zdarzyć.

Wiedziała, że Shaofu ma raczej nowoczesne poglądy, z jednym wyjątkiem: nigdy nie krytykował tradycyjnego małżeństwa. Jako ten, dla którego aranżowane małżeństwo okazało się wygranym losem na loterii, nie miał widocznie na co narzekać. W gruncie rzeczy był więc konserwatystą. W starochińskich opowieściach niesamowitych kobiety i mężczyźni, pozostawieni sam na sam, „łączyli się w pary” z własnej inicjatywy, potem jednak zawsze się okazywało, że kobieta jest demonem - normalnie coś takiego nie mogłoby się wydarzyć.

Shaofu długo siedział w głębi kraju jako słomiany wdowiec - niewiele brakowało, żeby się zapomniał, i tylko szczęśliwym trafem uniknął kłopotów.

Pani Wu czuła, że jest z siebie zadowolony. Jej kuzynka, która tyle się w życiu nacierpiała, wedle niego, po prostu zasłużyła w ten sposób na miano dobrej żony.

- Chcecie kalendarz? Mam tu kilka, dostałam za darmo w sklepie - powiedziała.

- Aha, mówią, że kalendarz musi być podarowany, wtedy przyszedłszy rok będzie szczęśliwy. - Pani Xun uśmiechnęła się.

- W zeszłym roku chyba nie najgorzej wam się wiodło?

- Nie trzeba było zjadać tej białej morskiej ryby w sylwestra - wtedy nic by się nie zmarnowało (W języku chińskim słowo ryba (yu) wymawia się podobnie jak słowo „nadwyżka” (dlatego w Nowy Rok jada się rybę, która symbolizuje bogactwo); „biały” może także oznaczać „na próżno, ze stratą” (przyp. tłum.)).

Pani Xun nie spojrzała nawet na Shaofu, lecz pani Wu domyśliła się, że kuzynka ma na myśli męża i to, że zwykł on rozpożyczać wszystko, co posiada. Uśmiechnęła się w duchu. Ciekawe, czy kuzynka sądzi, że mąż nie rozumie jej aluzji?

- Yuanmei, przynieś kalendarz... Weź wszystkie, leżą w gabinecie.

Yuanmei spełniła prośbę matki. Pani Xun rozłożyła kalendarze na kanapie, po czym wybrała jeden, z nadmorskim krajobrazem.

- Telefon, proszę pani - obwieściła nagle służąca.

- Kto dzwoni?

- Pani Hu z ulicy Mandalay.

Pani Wu wyszła z salonu. Małżonkowie długo siedzieli w milczeniu na przeciwległych krańcach kanapy.

- Znalazłeś zupę? Schowałam ją w szafce, przed kotem... - rzekła pani Xun, jakby to była pierwsza rzecz, która jej przyszła do głowy.

- Aha. Podgrzałem sobie, a to pokrojone mięso usmażyłem - odparł pan Xun cicho, jakby z czułością. Ta nagła zmiana tonu sprawiła, że musiał odchrząknąć. Nie podniósł jednak wzroku i nie spojrzał na żonę, lecz zarumienił się, przez co twarz jeszcze bardziej mu pociemniała. Światło w salonie wydawało się jeszcze słabsze.

Yuanmei ujrzała w wyobraźni ich dwuosobowe łóżko z ciemnego drewna, a obok mniejsze, żelazne. To jasne, że ten mężczyzna nie dostaje zbyt wiele od życia.

- Nie było za mało jedzenia?

- Nie. Pierogi zjadłem.

Kiedy pani Wu wróciła do salonu, patrząc na męża kuzynki, pomyślała, że się zdrzemnął.

- Shaofu chyba już chrapie - zauważyła z uśmiechem.

- Pewnego wieczoru zasnąłem na stojąco, słuchając naszego ojca - odezwał się Shaofu, przecząc temu spostrzeżeniu. - Gadał w najlepsze, gadał i gadał, a ja smacznie spałem!

- Która to godzina? - spytała pani Xun.

- Jeszcze wcześniej - odparła pani Wu.

- Będziemy wracali po ciemku.

- Masz Shaofu, czego się boisz?

- Samej to naprawdę strach chodzić. Raz, kiedy wyszłam po zakupy, jakiś facet za mną łąził. Pomyślałam, że to nawet zabawne. W końcu mówią już o nas „stare baby”!

- Stare baby? A któż to cię tak nazwał? - zdumiała się pani Wu.

Rzeczywiście, do starości było im jeszcze daleko. Teraz, zimą, w tradycyjnej sukni z zielonej serży, z krótkimi rękawami, ze swoją jasną cerą i w okularach bez oprawek, pani Wu wyglądała świeżo i energicznie. Po jej figurze nie było wcale widać, że urodziła jakieś dzieci, a przecież niedługo mogła zostać babcią. Yuanmei żartowała:

- Mamo, to wasze pokolenie jest naprawdę zdrowe! Na Zachodzie mawiają: „W obliczu śmierci wszyscy jesteśmy równi”, jednak to niezupełnie prawda. U kobiet czas powolnego umierania nadchodzi, gdy kończy się ich atrakcyjność dla płci przeciwnej.

- Na targu ktoś nazwał mnie „starszą panią” - rzekła cicho pani Xun. Na jej twarzy nie było uśmiechu.

- Coś podobnego! Co za maniery! - parsknęła pani Wu oburzona.

Pani Xun rozparła się na kanapie, zakładając ręce za głowę.

- Pamiętam, jak raz nagabywał mnie jakiś człowiek. Ależ się wystraszyłam! To było w Pekinie. Zuzhi miał wtedy zapalenie płuc, chodziłam dzień w dzień do szpitala. „Śliczna panienska” poprosiła, żebym poszła z nią do parku. Spacerowała codziennie, żeby zażyć świeżego powietrza, bo jest chora na gruźlicę. Po spacerze wróciła do domu, a ja wybrałam się do szpitala. Ten facet szedł za mną aż do bramy, dopytywał się o moje nazwisko, w ogóle gadał jak najęty. Musiał mnie sobie upatrzeć jeszcze w parku.

Yuanmei знаła młodszą siostrę męża kuzynki, zwaną „śliczną panienką”. Filigranowa, lecz bardzo urodziwa, zapewne przez kłopoty ze zdrowiem dojrzała późno i jeszcze później wyszła za mąż. Jej

małżonek znalazł pracę w Szanghaju. Mimo że była kłótniwa i ciągle narzekała na biedę, wielbił ją i hołubił jak najdroższy skarb. Jeszcze przed zamążpójściem rodzina bez obaw wypuszczała ją z domu - miała już dobrze po dwudziestce. Żona jej najstarszego brata była od niej starsza o kilkanaście lat, a jednak tamten mężczyzna poszedł właśnie za panią Xun, nie za młodszą siostrą jej męża. Yuanmei bardzo to zainteresowało. Pani Xun głupio było przyznać, że jego wybór był dziwaczny. Wydarzyło się to prawdopodobnie po jej powrocie do Pekinu. Wyglądała zapewne tak samo, jak świeżo po przyjeździe do Szanghaju - wtedy jeszcze nie była otyła, miała rumiane policzki, długie włosy uczesane w kok, a na sobie qipao z czarnego jedwabiu, podkreślające krągłe kształty.

- A w bramie... Mury tam są bardzo grube, w przejściu ciemno jak w nocy, nikogusieńko, naprawdę można się wystraszyć.

Pani Xun znowu siedziała prosto, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń; nie uśmiechała się; w jej głosie, ochryłym jakby od snucia długiej opowieści albo od płaczu, pobrzmiwały jakieś tragiczne tony.

- Zagadnął mnie: „Pani się nazywa Wang, prawda?” To już nie była taka sobie pogawędka. Wystraszyłam się nie na żarty. Powiedziałam tylko: „Pan się chyba pomylił”. A on na to: „Skoro nie Wang, to jak?” „A po co to panu wiedzieć?”

Pani Wu była pod wrażeniem - oto jej kuzynka ucina sobie pogawędkę z obcym mężczyzną, nagabującym kobiety na ulicy. Wymknęło jej się coś w rodzaju zdławionego chichotu. „Hm” - mruknęła na znak, że słucha.

- Lazł za mną aż do szpitala. Jest tam takie metalowe ogrodzenie, całe zarośnięte wistariami. Spoglądam za siebie, a on siedzi w kucki za tym ogrodzeniem i gapi się przez dziurę między gałęziami! - W kącikach jej ust zamajaczył uśmiech.

Po chwili milczenia stało się jasne, że historia dobiegła końca. Pani Wu poczuła, że powinna ożywić atmosferę.

- Jak wyglądał ten człowiek? - spytała z zainteresowaniem.

- Jak student - odparła pani Xun cicho, bez uśmiechu. - Miał na sobie jakiś mundur - dodała po chwili zastanowienia. - Jakby wojskowy. A może był żołnierzem.

- Aa, wojskowy - powtórzyła pani Wu tonem, jakby doznała olśnienia. - Pewnie żołnierz sił pokojowych!

W ciszy słycać było miarowe pochrapywanie Shaofu.

Gdy nastały cieplejsze dni, piecyk zlikwidowano. Urządzenie z czarnego żeliwa nie nadawało się już nawet do remontu. Płatanina rur tak szpeciła pomieszczenie, że została usunięta. Na suficie zrobiło się dziwnie pusto, ale salon, w którym wcześniej stał piecyk, wydawał się jakby mniej przestronny. W świetle lampy siedziała czwórka ludzi, każdy na swoim zwykłym miejscu. Ręce trzymali ciasno splecione wokół ciała, chroniąc się przed wczesnowiosennym chłodem.

Po kolacji u pani Wu była pielęgniarka, żeby zrobić jej zastrzyk. Zastrzyki witaminowe zamiast tradycyjnych specyfików na wzmocnienie ostatnimi czasy stały się bardzo popularne. Pielęgniarki dorabiały sobie wieczorami na wizytach domowych w sąsiedztwie.

- Pani Zhu opowiadała, że ktoś za nią szedł. Jakoś często się zdarza ostatnio, że kobiety są śledzone na ulicach... Dziwne. Wcześniej się o tym nie słyszało. W czasie wojny były zaciemnienia, czarno, choć oko wykol, a nic takiego nie miało miejsca - rzekła pani Wu.

- Za mną też raz laźł jeden taki - rzekła spokojnie pani Xun. - To było w Pekinie. Codziennie chodziłam do szpitala, bo Zuzhi miał zapalenie płuc. Umówiłam się w parku ze „śliczną panienką”...

Yuanmei nie wierzyła własnym uszom. Jak to możliwe, że tak uporządkowana osoba, jak pani Xun, nie pamięta, że opowiadała już tę historię kilka miesięcy temu?

Pani Wu wyglądała na znudzoną, lecz najwyraźniej też o tym zapomniała. Reagowała odruchowo, od czasu do czasu uśmiechając się tylko i rzucając zdawkowe „hm”.

Yuanmei chciało się krzyczeć; z trudem powstrzymywała się od głośnego śmiechu. Przecież matka ma jeszcze całkiem niezłą pamięć. To doprawdy niebywałe: jedna zapomniała, że opowiadała, a druga - że słyszała... Mimo to, kiedy goście wyjdą, raczej nie powie matce ze śmiechem: „Ciotka zapomniała, że już opowiadała o tamtym facecie, który za nią chodził, i opowiedziała o tym jeszcze raz”. Matka pewnie nie przepadała za tą historią, skoro tak szybko o niej zapomniała - a raczej podświadomie wyrzuciła ją z pamięci. Może lepiej do niej nie wracać?

Pani Xun też jakby zauważyła, że kuzynka nie przejawia wielkiego zainteresowania i chociaż jak zwykle cierpliwie słucha, ma

raczej niechętną minę. Dochodząc do finałowego: „Gapił się przez tę dziurę - coś okropnego!”, nawet się nie uśmiechnęła.

Po chwili milczenia pani Wu zadała jednak pytanie:

- A jak wyglądał ten człowiek?

- Przypominał studenta - odparła pani Xun. - Ale miał na sobie jakiś mundur - dodała po chwili. - Podobny do wojskowego.

- Czyli to musiał być żołnierz! - rzekła pani Wu tonem nagłego odkrycia.

Były doprawdy nieznośne. Yuanmei pokładała resztki nadziei w Shaofu - może chociaż on sobie przypomina tę historię? Co myśli, słysząc, że jego żona, osoba o doskonałej pamięci, opowiada to samo po raz drugi? Siedział w kącie kanapy; w żółtawym, przytłumionym świetle lampy jego twarz miała nieokreśloną barwę. Jej wyraz był skupiony, lecz spojrzenie - rozkojarzone.

Milczenie przedłużało się. Wreszcie Shaofu uwolnił powstrzymywany od kilku chwil oddech, ziewając rozdzierająco. Zdaje się, że przed chwilą jego żona coś opowiadała, ale to nie takie ważne.

Wielka

szkoda

Wstęp

W 1947 roku stworzyłam swój pierwszy w życiu scenariusz do filmu, zatytułowanego Miłość na zawsze. Główne role mieli zagrać Liu Qiong, wówczas najpopularniejszy aktor, i Chen Yanyan, dla której rola w tym filmie stanowiła comeback. Chen Yanyan wiele lat wcześniej wycofała się już z życia zawodowego, mimo to jej twarz była wciąż piękna i młoda; miała w sobie tę szczególną słodycz. Ponieważ z wiekiem aktorka przybrała na wadze, w filmie w miarę możliwości występowała odziana w obszerny czarny płaszcz. Wiele scen kręcono w skromnym nieogrzewanym mieszkanku, gdzie panował chłód i chodziło się w wierzchnich okryciach, co stanowiło dobre uzasadnienie dla jej stroju. Wśród osób dramatu była także Lu Shan w roli służącej imieniem Yaoma i pewien znany odtwórca czarnych charakterów, którego nazwiska nie pomnę, grający ojca - stereotypowego starego Mandżura, spacerującego z ptasią klatką i obracającego w dłoni flakonik tabaki. To, że główna aktorka nie mogła ani na chwilę zdjąć swojego okrycia, było doprawdy irytujące. Być może sprawiły to trudy pracy na planie, ale w kolejnym filmie Chen Yanyan była już szczuplutka - co za pech!

W kilka lat później, gdy o tamtym dziele całkiem zapomniano, zrobiło mi się go żal - dlatego na podstawie swojego scenariusza napisałam opowiadanie: Wielka szkoda.

W Ameryce opowiadania czy powieści pisane na podstawie znanych dzieł filmowych zalicza się do „nie - literatury” (non - books) - czyli czegoś, co przypomina literaturę, ale nią nie jest. Jest w tym pewien sens. Nie zdołam tu prześledzić wszystkich różnic między tymi dwiema formami: filmem i opowiadaniem. Podam jednak przykład: dziewczynka męczy ojca, opowiadając mu, jaką to ma świetną guwernantkę. Ojciec się niecierpliwi i nie chce jej słuchać. Widzowie filmu wiedzą, że już wcześniej natknął się przypadkiem na ową panią, która zrobiła na nim niemałe wrażenie - czytelnicy opowiadania zaś nie mają o tym pojęcia. Nie ma żadnej dramatycznej ironii, kiedy widzowie mogą podśmiewać się w duchu, podczas gdy bohaterowie pozostają w niewiedzy. Czysta strata!

Wtedy, co prawda, tego nie dostrzegałam, ale i tak sądziłam, że to opowiadanie niezbyt dobrze mi wyszło. Kiedy wyjeżdżałam z Chin, nie mogłam wywieźć swoich tekstów - trafiały one do mnie stopniowo, pocztą; część zaginęła.

Dwa lata temu przeczytałam w gazecie, że ktoś znowu posłużył się tytułem Miłość na zawsze. Zapewne nie wiedział, że był już taki film - szkoda. Niespodziewanie przyjaciel pana Wei Xiana odszukał moje stare opowiadanie w hongkońskiej bibliotece i przysłał mi fotokopię. Sam film zniknął bez śladu, za to oparta na nim „nie - książka” przebyła daleką podróż w doskonałym stanie - zabawne to, i smutne zarazem.

Zapiski po trzydziestu latach:

Żywię niewytłumaczalne upodobanie do literatury popularnej - do tych bohaterów nie do końca przedstawionych, do wiecznie zmiennych kolei ich losów. Mówi się, że jest zbyt powierzchowna, zarzuca się jej brak głębi, lecz płaskorzeźba to także dzieło sztuki, nieprawdaż? Sądzę wręcz, że taką literaturę pisze się bardzo trudno. W tym opowiadaniu starałam się zbliżyć do tego gatunku tak bardzo, jak potrafię. Dlatego jestem tak przywiązana do tej historii.

Nowoczesne kina to istne pałace kultury popularnej - wspaniałe budowle, całe w szkle i pluszu, o ścianach lśniących sztuczną miką. W tym przybytku już od progu stąpało się po kremowej bieli - wewnątrz przypominało tysiącrotnie powiększone naczynie z żółtawego szkła, lśniące jakąś fantastyczną, odrealnioną czystością. Film już dawno się zaczął, a wyludnione, opustoszałe korytarze stały się sceną walki między królestwami - z odległego pałacu dobiegał huk bębnow.

Front zdobiła wysoko zawieszona barwna tablica z zapowiedziami najbliższego repertuaru, poniżej kłębił się gąszcz doniczkowych palm, udekorowanych lampionami i serpentynami, spiętrzonych niczym Wzgórze Chryzantem. Ponad nimi wyrastał ogromny wizerunek kobiety ze łzami w oczach. Druga tragiczna postać, nieco mniejsza, a właściwie całkiem mała, przechadzała się tam i z powrotem pod afiszami. Yu Jiayin była w czarnym płaszczu; rozwichrzone czarne włosy opadały na ramiona po obu stronach twarzy, która miała barwę odbłasku czerwonego lampionu na śniegu. Na pierwszy rzut oka jej uroda sprowadzała się do młodzieńczej świeżości, lecz było w niej coś więcej. W rysach łagodnej twarzy, w układzie oczu i ust zostały zapisane wszystkie pragnienia młodości. Marzenia są wiecznie młode, a w każdym z nich jest odrobina czegoś, co budzi litość. Gdy tak krążyła samotnie, w jej subtelnym oczach odbijała się jakaś uparta rozpacz. Skąd ten smutek? Jak wiele mogła

doświadczyć w swoim młodym życiu? Cierpienie jednak nie czeka, aż nadejdzie właściwa chwila.

Zerknęła na zegarek, potem spojrzała na zegar i po krótkim wahaniu podeszła do kasy.

- Czy można jeszcze zwrócić bilet? - spytała.

- Film już się zaczął, nie mogę przyjąć zwrotu - odparła dziewczyna z okienka.

- Czekałam na kogoś, ale się nie zjawił... to już tyle czasu, pewnie w ogóle nie przyjdzie - wyjaśniła zmieszana.

W tej samej chwili przed wejściem do kina zatrzymał się samochód, elegancki niczym para butów z szarej jagnięcej skóry. Mimo iż ustawiono już tablicę z napisem „Wszystkie bilety wyprzedane”, z wozu wysiadł mężczyzna i skierował się do kasy.

- Czy są jeszcze bilety? Potrzebny mi tylko jeden.

- Świetnie się składa - zwróciła się bileterka do Yu Jiayin - może pani oddać swój bilet temu panu.

Spojrzeli na siebie. Nie wyglądali na skrupowanych - nawet jeśli odrobinę się zmieszali, to tylko dlatego, że onieśmieliła ich nawzajem własna uroda. Mężczyzna w młodości mógł mieć groźne spojrzenie aktora grającego Wena Tianxianga (Wen Tianxiang (1236 - 1282) - minister na dworze cesarskim, poeta, symbol lojalności i patriotyzmu (przyp. tłum.)), lecz nieszczęścia chińskiego narodu sprawiły, że złagodził je wyraz znużenia chaosem tego świata; na pierwszy rzut oka wyglądał sympatycznie. Yu Jiayin położyła trzymany w palcach bilet na kontuarze i popchnęła w kierunku bileterki, która z kolei podała go mężczyźnie. Bileterka, w aureoli pomarańczowożółtego światła, dostojnie usadowiona w ciasnej niszy, przypominała posąg jakiegoś bożka przemysłu rozrywkowego, patronującego dodatkowo sprawom między mężczyznami a kobietami.

- Siedem tysięcy - rzuciła obojętnie zza skrywającej ją w połowie szyby.

Mężczyzna wyjął pieniądze i zorientowawszy się, że Jiayin nie kwapi się, by je od niego przyjąć, wręczył je bileterce. Po chwili ruszył na górę. Jiayin podążyła za nim w pewnej odległości.

Kiedy weszła do sali, wsunął się w fotel, by mogła przejść i zająć wolne miejsce obok - sam bowiem usiadł z brzegu; nie podejrzewała, że uczynił to specjalnie - większość ludzi odruchowo siada na skrajnych fotelach. Gdy po filmie schodzili z balkonu, popychani

przez tłoczących się widzów, nie zdołali zamienić ani słowa. Dopiero u stóp schodów, gdy Jiayin z trudem utrzymywała równowagę, on osłonił ją przed przepychającym się obok mężczyzną, a ona uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Co za okropny ścisk! - powiedział.

- Mnóstwo ludzi - zgodziła się z uśmiechem.

Kiedy wreszcie dopchali się do wyjścia, zagadnął:

- Może panią odwieźć? Przy tym tłumie trudno będzie o taksówkę.

- Ach nie, nie trzeba, dziękuję! - odparła.

Gdy wyszli przez oszklone drzwi, znaleźli się w samym środku chaosu. Samochody sunęły powoli, blacha w blachę, przechodnie lawirowali między karoseriami, wśród ogłuszających okrzyków i klaksonów; przypominało to zgiełk bitwy, w której wojownicy walczą zapalczywie aż do śmieszności. Pośrodku ulicy, nad tym potężnym, zespolonym w boju nurtem górował sygnalizator umieszczony na budce policyjnej. Na tle szarawego nieba rozkwitały na przemian to zielone, to czerwone kwiaty.

Jiayin wróciła piechotą do swojego mieszkania na drugim piętrze kamienicy. Nie przepadała za dwugodzinnymi filmami, bo z kina wychodziło się wtedy dopiero wieczorem. Choć zmrok jeszcze całkiem nie zapadł, nie miała już ochoty nic robić. Otworzyła drzwi, weszła, zdjęła płaszcz i powiesiła w szafie. W pokoju było jeszcze chłodniej niż na zewnątrz. Nalała sobie szklankę gorącej wody i wypła łyk; wyciągnęła spod łóżka stare haftowane kapcie. Ktoś zapukał. Z jedną nogą w pantofelku na obcasie pokuśtykała do drzwi.

- Xiujuan! Czemu nie przyszałaś? - powitała przybyłą pytaniem.

Xiujuan miała gładką, jasną twarz i okulary w platynowych oprawkach; trzymała rudą mufkę z lisiego futra.

- Okropnie mi przykro, musiałaś długo czekać pod tym kinem. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - To przez niego. Rozchorował się!

Jiayin oparła się o futrynę.

- Co ty powiesz? Co dolega panu Xia?

- Ból gardła, myśleliśmy nawet, że to dyfteryt. Ale zbadał go lekarz i orzekł, że to nic groźnego. Najedliśmy się strachu! Dzwoniłam do ciebie, żeby cię uprzedzić, ale już nie było cię w domu.

- Nic nie szkodzi - odrzekła Jiayin. - Martwiłam się, myślałam, że coś ci się stało...

Zamknęła drzwi, opierając się o ścianę, podeszła do łóżka, przysiadła i włożyła drugi kapeć.

- Chciałam nawet wziąć posłańca, żeby cię poszukał w kinie, ale nic z tego nie wyszło. Straszny u nas kocioł, nie wyobrażasz sobie! - usprawiedliwiała się Xiu - juan, stojąc nadal nieopodal wejścia.

- Nie szkodzi - powtórzyła Jiayin. - Usiądź sobie. - Podsunęła przybyłej krzesło i zabrała się do parzenia herbaty.

- A co słyhać u ciebie? - spytała Xiujuan. - Jak ci idzie szukanie pracy?

Jiayin z uśmiechem postawiła filiżankę na stoliku, wskazując przy okazji wycinki z gazet, pod szkłem na blacie.

- Odpowiedziałam na kilka ogłoszeń, ale bez większej nadziei.

- W gazetach nie znajdziesz dobrych ofert - rzekła Xiujuan. - Przez ogłoszenia szukają ludzi do takiej pracy, której nikt nie chce!

- Racja, ale bardzo trudno teraz znaleźć cokolwiek. Nawet nie mówiłam matce, że straciłam pracę, żeby jej nie martwić.

- Dalej posyłasz starszej pani pieniądze?

Jiayin skinęła głową.

- Wcale dużo nie wydaje, biedaczka - dodała z uśmiechem.

Nie musiała się obawiać, że Xiujuan potraktuje to jako prośbę o pożyczkę. Ich status materialny bardzo się różnił, lecz przez te wszystkie lata jej przyjaciółka przekonała się, że Jiayin nie ma zwyczaju pożyczać od nikogo pieniędzy.

Xiujuan zmarszczyła brwi i pokiwała głową współczująco.

- A gdybyś tak... poszła do ojca, może dałoby się coś na to poradzić? - zasugerowała.

Jiayin milczała dłuższą chwilę z niechętną miną. W końcu przełamała się i powiedziała:

- Odkąd rodzice rozwiedli się kilka lat temu, słyszałam, że ojciec też nie jest w najlepszej sytuacji. W dodatku ta kobieta, z którą się ożenił... Po tym, jak powiedziałam tej osobie parę słów do słuchu, nie mam ochoty dawać jej takiej satysfakcji.

Xiujuan zamyśliła się.

- Rzeczywiście, ciężka sprawa... Ale wiesz? Słyszałam, jak mój stary mówił, że jego starszy brat cioteczny szuka guwernantki dla dziecka.

Jiayin przysunęła się bliżej.

- Tak?

- Tylko że... - ciągnęła Xiujuan - nie wiem, czy miałabyś na to ochotę. Musiałabyś zająć się tym dzieckiem prawie jak niańka.

Jiayin zamyśliła się.

- Już bywałam guwernantką i wiem, czym to pachnie. To niełatwy kawałek chleba...

- Ale rodzina naszego kuzyna jest naprawdę nieliczna - przekonywała przyjaciółka. - Jego wiecznie nie ma w domu, a żona mieszka na wsi, zostaje tylko dziecko, którym nie ma się kto zająć.

- W takim razie może spróbuję - ustąpiła Jiayin.

- Pewnie, spróbuj koniecznie. Przedstawię ci dokładnie wszystkie warunki, żeby nic cię nie zaskoczyło, kiedy przyjdzie do zawierania umowy.

- Sprawiam ci tyle kłopotu - sumitowała się z uśmiechem Jiayin.

Xiujuan tylko odwzajemniła uśmiech, chwyciła Jiayin za rękę i potrząsnęła nią delikatnie, przy okazji zerkając na zegarek na przegubie przyjaciółki.

- Ojej, muszę lecieć! - rzuciła niespokojnie. - Stary, kiedy tylko coś mu dolega, wścieka się o wszystko. A to służąca głupia, a to dzieci niegrzeczne...

Jiayin wstała razem z przyjaciółką.

- Masz tyle zajęć, nie będę cię zatrzymywać. Pierwszego dnia, gdy Jiayin szła na lekcje, pogoda wyjątkowo dopisała. Jej pracodawcy mieszkali w willi w stylu kolonialnym - był to niewielki bliźniak o gładkiej bryle; wystający z pierwszego piętra balkon skrywał główne wejście, tak że stojąc przed domem, Jiayin czuła się jak pod okapem dachu. Miejsce, gdzie dach ów graniczył z błękitnym niebem, jarzyło się słoneczną poświatą, przypominającą spienione fale wokół płynącej łodzi. Gdy uniosło się głowę, kremowo otynkowany budynek wyglądał jak stateczek rzucony w lodowaty błękit oceanu - tak lekko i beztrąsko.

Spojrzała jeszcze raz na tabliczkę na drzwiach, po czym wcisnęła guzik dzwonka. Otworzyła jej służąca.

- Czy to rezydencja państwa Xia? - spytała Jiayin.

- Taa - potwierdziła służąca podejrziwym tonem. - Pani do kogo?

- Nazywam się Yu.

Gospoia, Yaoma, pulchna kobieta po trzydziestce, przypominała nieco buddyjską mniszkę - na pewno była wdową i wegetarianką. Zmierzyła wzrokiem przybyłą.

- Ach tak?

- Pani Xia, która mieszka przy ulicy Fuxu - dodała pośpiesznie Jiayin - miała mi towarzyszyć, ale ważne sprawy rodzinne zatrzymały ją w domu.

Usta gospoisi w końcu rozciągnęły się w uśmiechu.

- Ach, panna Yu! Trzecia Pani uprzedzała, że pani przyjdzie. Proszę wejść.

Jiayin weszła do środka. Yaoma zamknęła drzwi wejściowe i otworzyła drzwi do salonu.

- Niech pani spocznie.

Odwróciła się i zawołała w stronę schodów:

- Xiaoman! Xiaoman! Przyszła pani guwernantka! Chodź szybko na lekcję!

Ruszyła na górę.

Salon urządzony był z przepychem. Obita skórą kanapa przywodziła na myśl eleganckie biuro. Leżała na niej para łyżew i brudna skórzana piłka do gry, a obok, na podłodze, lalka w zachodnim stylu. Mimo nieładu pokój sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby nikt tu nie mieszkał. W głębi, za pomocą niskiej serwantki, wydzielono coś w rodzaju gabinetu. Jiayin dłuższą chwilę obserwowała, jak Yaoma droczy się w drzwiach z małą dziewczynką: „No chodź, chodź grzecznie!” Młoda dama, wypchnięta z pokoju, chwyciła się krzesła stojącego nieopodal wejścia.

- Chodź, przywitamy się z panią nauczycielką. Trzeba mówić „proszę pani” - pouczała Yaoma.

Jiayin uśmiechnęła się.

- Ma na imię Xiaoman, prawda? Xiaoman, ile masz lat? - spytała.

- Osiem - wyręczyła dziewczynkę Yaoma. - Jest jeszcze taka dziecinna! - dodała, popychając małą przed sobą razem z krzesłem.

- Xiaoman, czemu nic nie mówisz? - spytała Jiayin.

- Przy dorosłych się wstydzi. Ale normalnie buzia jej się nie zamyka! Niezłe z niej ziółko! - Gospoia z trudem usadziła dziewczynkę na fotelu i poszła po herbatę.

- Ach, więc Xiaoman jest niemową - oznajmiła Jiayin, nie przestając się uśmiechać.

Pozbawiona towarzystwa służącej, dziewczynka w końcu zdobyła się na śmiałość i pokręciła głową. Widząc, jak Jiayin zdejmuje okrycie, oświadczyła:

- Ja też chcę się rozebrać!
- Czemu? Gorąco ci? - spytała Jiayin.
- Gorąco! - potwierdziła dziewczynka.

Jiayin przesunęła ręką po jej ubraniu. Na wdzianko narzucono jeszcze wełniany sweter.

- Rzeczywiście, jesteś za ciepło ubrana - powiedziała i pomogła małej go zdjąć. - Umiesz już pisać? - spytała na widok pędzelka i kamienia do rozcierania tuszu na biurku.

Xiaoman skinęła głową.

- Napiszesz mi swoje nazwisko na tym zeszycie, dobrze? Rozrobię ci tusz - zaproponowała Jiayin.

Dziewczynka znów pokiwała głową. „Xia Xiaoman” - wykaligrafowała trzy znaki.

- Bardzo ładnie piszesz, Xiaoman - pochwaliła Jiayin. - Już dobrze, wystarczy! - dodała pośpiesznie, widząc, że dziewczynka nie odkłada pędzla. Xiaoman dopisała jeszcze u góry „zeszyt”. - Świetnie, wszystko się zgadza! - potwierdziła Jiayin ze śmiechem.

Yaoma wróciła do salonu z herbatą. Na widok ubranka Xiaoman wiszącego na oparciu fotela zaprotestowała:

- Ojej! Czemu zdjęłaś sweterek? Co za dziecko... Włóż zaraz z powrotem!

Xiaoman wyraźnie nie zamierzała jej posłuchać.

- To ja jej zdjęłam - wyjaśniła Jiayin. - Zbyt ciepłe ubranie też nie jest zdrowe. Czoło miała całe spocone.

- Spocona jeszcze łatwiej może się zaziębić! Nie zna pani tego dziecka, wiecznie choruje, w dodatku jest taka nieposłuszna!

- To bardzo grzeczna dziewczynka - zaprotestowała Jiayin.

Xiaoman dobitnie pokiwała główką.

- Widzisz? Pani nauczycielka mówi, że jestem grzeczna! Sama jesteś niegrzeczna, a jeszcze mnie strofujesz!

Yaoma, która wcale nie miała ochoty kapitulować, natychmiast podeszła do jedyne go uchylonego okna i zamknęła je z trzaskiem.

- Ja niegrzeczna... - mamrotała pod nosem. - A kiedy chorujesz, to, jak myślisz, do kogo twój ojciec ma pretensje?

Minęła godzina. Na odchodnym Jiayin zapowiedziała małej uczennicy:

- Jutro będę wcześniej, już o dziewiątej.

- Tylko niech pani przyjdzie na pewno! - domagała się Xiaoma. Odprowadziła Jiayin do wyjścia, trzymając ją za połę ubrania.

Yaoma podeszła, by otworzyć drzwi.

- Moja panienko - upomniała małą - nie podchodź za blisko, bo znowu wiatr zawieje, a ty taka rozebrana!

Jiayin poleciła Xiaoman szybko wracać do środka. Ledwie odeszła, Yaoma złapała małą za rękę.

- Szybko, wkładaj ubranko! - rozkazała.

- Nie włożę! - sprzeciwiła się dziewczynka. - Nie słyszałaś, co pani nauczycielka mówiła?

Yaoma zaciągnęła małą z powrotem do pokoju. Dziewczynka szurała stopami, jakby jechała na łyżwach.

- Pani nauczycielka mówiła! - utyskiwała Yaoma, usiłując ubrać swoją podopieczną. - Dać takiej parę chwil, a tak rozpuści dzieciaka, że ten przestaje słuchać starszych! Jeśli mała rozchoruje się i umrze, nie zarobisz na swoją miskę ryżu, kochana! Dla mnie żadna różnica - jestem gosposią, mam co robić i bez dziecka, a ty? Kogo będziesz uczyć?

Xiaoma wyrywała się i wierzgała, w końcu wybuchnęła płaczem. Nagle zatrąbił klakson, zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Nie płacz, tata przyjechał! - uciszała ją pośpiesznie Yaoma. - Tata nie lubi, jak się płacze!

Mała szybko otarła łzy i pobiegła z powrotem do drzwi.

- Tato! Tato! Mam nową panią nauczycielkę, jest taka dobra!

Ojciec pochylił się i pogłaskał ją po głowie.

- To wspaniale! Czy była dziś ta pani... Yu? - zwrócił się do gosposi.

- Tak, była - odparła Yaoma. - Ma pan ochotę coś przekąsić? - spytała, biorąc od niego płaszcz.

- A tak, podaj, co tam masz, byle szybko, bo muszę znowu wyjść - odrzekł gospodarz, wchodząc do salonu, wyraźnie zajęty własnymi myślami. Mała córeczka deptała mu po piętach.

- Tato! Strasznie lubię tę nową panią nauczycielkę! Ojciec otworzył wieczorną gazetę, zanim zdążył na dobre usiąść.

- Bardzo się cieszę - rzucił, zagłębiając się w lekturze. - Od dziś, jak będziesz chciała o coś zapytać, idź do tej pani, zamiast zawracać mi głowę.

- Oj, tato... - Dziewczynka złapała ojca za kolano i potrząsała nim. - Tato! - ciągnęła natrętnie. - Pani nauczycielka jest bardzo ładna!

- Tak? - rzucił po chwili nieobecny tonem.

- Tato, dlaczego mnie nie słuchasz? - niecierpliwiła się mała. - Pani nauczycielka powiedziała, że jestem bardzo grzeczna i bardzo mądra!

- Jesteś bardzo grzeczna, córeczko - odrzekł cierpliwie ojciec. - Więc posłuchaj taty i idź na górę się pobawić, dobrze? Yaoma pójdzie z tobą. Tata potrzebuje chwili spokoju.

Po kilku dniach Xiaoman z wielkim entuzjazmem oznajmiła Jiayin, że następnego dnia chce mieć wolne.

- Dopiero zaczęłyśmy się uczyć, a ty już chcesz mieć wakacje? - spytała ze śmiechem Jiayin.

- Jutro są moje urodziny! - oświadczyła dziewczynka.

- Ach, urodziny! A jak będziesz je obchodzić? Xiaoman posmutniała.

- Nie mam z kim obchodzić urodzin... Jiayin wzruszyła się.

- No to może ze mną? Przyjdę do ciebie, co ty na to?

- Tak, tak! Wspaniale, proszę pani! - Xiaoman aż podskoczyła z radości.

- Lubisz chodzić do kina? - spytała Jiayin. Dziewczynka usiadła z powrotem na krześle i zakołysała się.

- Czasem tata mnie zabiera - powiedziała, zezując na kosmyk włosów, który opadł jej na czoło i zawisł między brwiami. - Tata bardzo lubi zabierać mnie ze sobą. Bo tata się boi chodzić z mamą.

- Dlaczego? - zdumiała się Jiayin.

- Bo mama zawsze zadaje strasznie dużo pytań!

- A ty nie? - zaśmiała się Jiayin.

- Ale tata i tak woli ze mną! Tylko ciągle nie ma czasu... - dodała smutno. - Pani nauczycielko, musi pani jutro przyjść, koniecznie!

- Dobrze. Przyniosę ci prezent!

Xiaoman podskoczyła jeszcze wyżej niż poprzednio.

- Tylko niech pani nie zapomni!

Te słowa przypomniały Jiayin, że po lekcjach ma kupić owoce i odwiedzić chorego męża Xiujuan (Owoce to w Chinach tradycyjny podarunek dla chorego (Przyp. tłum.)), co planowała już od paru dni.

Pacjent siedział wygodnie w salonie i palił papierosa, podczas gdy jego żona układała kwiaty w wazonie i słodkości na paterze.

- Och, widzę, że pan Xia już czuje się lepiej? - spytała uprzejmie Jiayin.

Xia Zhonglin wstał i ustąpił jej miejsca, Jiayin postawiła owoce na stole.

- Mam tu taki drobiazg...

- Ojej, dziękujemy! - ucieszyła się Xiujuan. - Niepotrzebnie się tak wykosztowałaś! Przepraszam, taki u nas bałagan... Byłaś już u naszego kuzynka? Xiaoman była grzeczna?

Jiayin potwierdziła i podziękowała przyjaciółce.

- Ach, wiesz, mamy tu dzisiaj firmowy bankiet... Może zostań u nas, on też wkrótce tu będzie, a ty pewnie jeszcze się z nim nie widziałaś - zaproponowała Xiujuan.

Xia Zhonglin zaprosił na kolację pewnego ważnego klienta, którego pozyskał dla firmy. Xiujuan była wyraźnie podekscytowana. Jej mąż był zastępcą, a jego starszy cioteczny brat - dyrektorem przedsiębiorstwa.

- Przepraszam, ale nie mogę - odparła Jiayin. - Muszę jeszcze załatwić coś ważnego. Ale racja, jeszcze nie miałam przyjemności poznać tamtego pana Xia...

- A widzisz, dobrze się domyśliłam! Szkoda, dziś mielibyście świetną okazję!

Nagle wpadła zdyszana służąca i oznajmiła, że dostarczyli już serwis bankietowy.

- Zaczekaj, pójdę przypilnować nakrywania do stołu - rzekła Xiujuan.

- To ja już nie będę przeszkadzać - powiedziała Jiayin. - Wstąpię do was jutro.

Pożegnała się i wyszła.

Tego samego dnia wybrała się na zakupy, po prezent dla Xiaoman. Jak każda kobieta, czuła potrzebę zajrzenia do kilku sklepów, żeby wyszukać coś odpowiedniego i, rzecz jasna, jak najtańszego. Któż by się spodziewał, że w tym samym czasie i miejscu pojawi się tamten mężczyzna, którego poznała przed kinem?

Zaintrygowała go witryna jednego ze sklepów, na której, niczym na bożonarodzeniowej kartce, padał śnieg z waty, a wokół czerwonego domku krzątały się Myszki Miki, świnki, pieski i inne filmowe postacie. Nagle, niczym w filmach animowanych, do których czasem wprowadza się żywe osoby, na scenie zjawiła się sprzedawczyni, a za nią, rozsuwając śnieżne girlandy i pokazując jej coś na wystawie, ukazała się młoda kobieta. Jej twarz wydała mu się znajoma. Zastygł na moment, po czym wszedł do sklepu i rzucił okiem najpierw na towary, potem na klientkę. Spojrzeli na siebie.

- No proszę! - powiedzieli oboje niemal chórem.

- Znowu się spotykamy - dodał mężczyzna z uśmiechem. - Mam pewien kłopot, może mogłaby mi pani pomóc?

Jiayin spojrzała na niego pytająco.

- Muszę kupić prezent dla ośmioletniej dziewczynki i nic nie przychodzi mi do głowy - wyjaśnił. - Nie mam pojęcia, co drzemie w sercach młodych dam... - dodał z uśmiechem.

Jiayin, nie dostrzegając aluzji, odparła:

- Chyba wszystkim dziewczynkom podobają się lalki w stylu zachodnim - może więc lalkę?

- A czy pomoże mi pani wybrać jakąś?

Jiayin zgodziła się. Niektóre lalki miały nieładne buzie, inne były brzydko ubrane albo nie umiały się śmiać - w końcu Jiayin pracowicie wybrała najładniejszą. Mężczyzna zapłacił.

- Zatrzymałem panią na tak długo, teraz koniecznie musi mi pani pozwolić się odwieźć! - oświadczył.

Jiayin zawahała się.

- Gdyby było panu po drodze... Wybieram się dość daleko, na ulicę Baisai.

- Świetnie się składa! - ucieszył się. - Jadę w to samo miejsce.

Mówiąc to, czuł się trochę jak oszust.

Wsiedli do samochodu. Gdy zatrzymali się przed domem, on już wszystkiego się domyślił - na jego twarzy mimo woli zakwitł szelmowski uśmieszek. Wysiadł i otworzył jej drzwi.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Jiayin, wychodząc z wozu. - Do widzenia!

Weszła na schodki i wcisnęła dzwonek, a mężczyzna podążył za nią. Coś tu było nie w porządku... Jiayin wystraszyła się.

- Bardzo przepraszam - rzekła, odwracając się do niego z uśmiechem. - Nie mogę zaprosić pana do środka, to nie jest mój dom...

Yaoma otworzyła drzwi, a Jiayin wciąż nie mogła pozbyć się cienia stojącego za jej plecami. W końcu szybkim ruchem wśliznęła się do środka, lecz mężczyzna wkroczył za nią.

- Zgadza się - tak się składa, że to jest mój dom! - oznajmił ze śmiechem.

Jiayin z zaskoczenia upuściła paczuszkę, którą trzymała w ręku. W tym momencie Xiaoman wybiegła im na spotkanie, wołając:

- Pani nauczycielka! Pani nauczycielka! Tatuś!

- Ach, więc to pan jest... tym panem Xia? - spytała Jiayin.

- Zgadza się. A pani nazywa się Yu, prawda?

- To mój prezent dla Xiaoman - wyjaśniła, gdy pan domu podniósł upuszczony pakunek.

Xia Zongyu podał paczkę córce, ze słowami:

- Xiaoman, proszę, to dla ciebie, od twojej pani guwernantki.

- Ojej, co to jest, proszę pani? - Dziewczynka aż płonęła z niecierpliwości, by otworzyć paczuszkę.

- A gdzie „dziękuję”? - skarcił ją ojciec.

Yaoma, która do tej pory trzymała się z boku, nie do końca rozumiejąc sytuację, wtrąciła się z uśmiechem:

- Powiedz: Dziękuję pani!

Dziewczynka tymczasem wypatrzyła w rękach ojca jeszcze jedną paczkę.

- A to? Co to jest, tatusiu?

- To od taty. Ale jeśli ładnie nie podziękujesz, nie dostaniesz!

Przekorna Xiaoman jednak koniecznie chciała najpierw zobaczyć prezenty. Paczka od Jiayin zawierała pudełko cukierków.

- Yaoma przechowa to dla ciebie, aż wyrośnie ci ząbek, wtedy będziesz mogła jeść - orzekł ojciec. - Mała właśnie zgubiła ząb - wyjaśnił Jiayin.

- Ach tak! Pokażesz mi? - zwróciła się kobieta do dziewczynki.

Xiaoman otwarła szeroko buzię, co nadało jej głupiotki wygląd. Następnie spojrzała na pudełko słodczy i posmutniała.

- Gdybym wiedziała, kupiłabym jej rękawiczki - rzekła Jiayin. - Z początku nawet o tym myślałam...

Xiaoman nie powinna była tego słyszeć.

- Nie chcę tego, chcę rękawiczki! - marudziła.

- Ten dzieciak jest doprawdy okropny! - rzekł ojciec zawstydzony. - Co za maniery, i to wobec nauczycielki!

Dziewczynka poczerwieniała i wybuchnęła płaczem.

- Dziś są twoje urodziny, nie płacz! - próbowała ją uspokoić Jiayin.

- Ja chcę rękawiczki! - łkała Xiaoman.

- A jakie najbardziej ci się podobają? Xiaoman pociągnęła za cytrynowożółty szal na ramionach Jiayin.

- O, takie!

Yaoma w wolnej chwili poszła zamienić parę słów z szoferem. Kierowca właśnie wyprostował nogi i zamierzał się zdrzemnąć w samochodzie, gdy kobieta wsadziła głowę przez odsuniętą szybę.

- Hej, ty! Ta nowa nauczycielka to jakaś przyjaciółka naszego pana? - spytała półgłosem.

- Hę? - ocknął się szofer. - Nie mam pojęcia. Pierwszy raz ją widzę.

- A te wszystkie prezenty to pewnie on sam kupił, co? Że niby „od pani nauczycielki”...

- Nie wiadomo, to i po co gadać po próżnicy? - rzekł szofer sennie, nasuwając czapkę na oczy.

- A ty co tak jej bronisz? - Spojrzała na niego koso. - Kiedyś to był taki porządny mężczyzna - mruknęła pod nosem. - Nie to co teraz...

- A niechby nawet i znali się wcześniej, to nie powód, żeby od razu plotkować! - zniecierpliwiał się szofer.

- Patrzcie no, jaki obrońca! Skoro to nie przyjaciółka pana, to czemuś się tak najeżył?

Podczas podwieczorku Yaoma, zawiązując Xiaoman serwetkę na szyi, cała w uśmiechach, spojrzała na Jiayin i powiedziała:

- To takie biedne dziecko... nikt się o nią nie troszczył! Ale teraz ma już swoją guwernantkę, która o nią zadba. Co za szczęście!

- Yaoma, przynieś mi zapalniczki, proszę - przerwał jej Xia Zongyu.

Służąca spełniła polecenie.

- Widzisz, moja panienko - zwróciła się do małej.

- Jak będziesz się pilnie uczyć, będziesz miała główkę pełną mądrości, zupełnie jak pani nauczycielka. Twojemu tacie bardzo się to spodoba!

Zongyu zmarszczył brwi.

- Dobrze już, zawołam cię, kiedy będziesz potrzebna

- zwrócił się do gosposi, zapalając świeczki na torcie.

- Xiaoman, a teraz zdmuchnij sama! - zachęcił córkę, przysuwając jej tort.

- Trzeba dużo powietrza, żeby zdmuchnąć je za jednym razem - rzekła Jiayin z uśmiechem. - Niech tata pomoże!

Pili herbatę w szmaragdowej porcelanie i gawędzili wyłącznie o dzieciach. Właściwie nie mieli ochoty mówić o niczym innym - ten temat wyraźnie ich odprężał. Rozmowa przypominała dziecinną papierową łódkę, unoszącą się na spokojnej, głębokiej toni. Zongyu przyglądał się Jiayin, która siedziała w nasłonecznionym miejscu. Miała na sobie tradycyjną suknię, z pewnością już nienową, bo skrojoną według mody sprzed dwóch lat - z szerokimi rękawami. Złote promienie odbijały się od ciemnozielonego jedwabiu, przetykanego tu i ówdzie srebrną nicią, i nabierały księżycowej barwy, przywodząc na myśl wiersz Samotna sosna w blasku słońca.

- Telefon do panny Yu - oznajmiła Yaoma, wchodząc.

- Telefon? Kto to może być? - zdziwiła się Jiayin. Gdy wyszła, stojąca skromnie z boku Yaoma zwróciła się do Zongyu:

- Nic dziwnego, że nasza mała panienka nie odstępowała swojej nauczycielki na krok. Nawet u nas, wśród służby, mówi się już: „Ach, cóż to za wyjątkowa osoba, ta panna Yu. Uprzejma, serdeczna, po prostu urocza!”

- Nie przesadzasz czasem? - rzucił Zongyu. Jiayin wróciła.

- Przepraszam bardzo, mam ważną sprawę, muszę już iść - oznajmiła.

Zongyu dostrzegł zaniepokojony wyraz jej twarzy.

- Czy coś się stało? - spytał, wstając, z ręką na oparciu krzesła.

- Nie, nic takiego - wyjaśniła Jiayin, uśmiechając się gorzko. - Ktoś z mojej rodziny przyjechał właśnie do Szanghaju, dzwoniła właścicielka domu, w którym mieszkam.

Gdy widziała go ostatni raz, ojciec wciąż był przystojnym, eleganckim mężczyzną. Przez te wszystkie lata zamienił się w zaniedbanego, trzęsącego się staruszka o haczykowanym nosie i wyblakłych oczach, w podniszczonym drelichowym płaszczu, narzuconym na tradycyjną tunikę. Zmiany te jakimś cudem jej nie zaskoczyły. Nie znosiła go - można powiedzieć, że знаła go jak zły

szeląg. Zrozumieć i poznać kogoś naprawdę można tylko dzięki miłości, choć nienawiść także niesie ze sobą szczególny rodzaj zrozumienia. Z trudem opanowywała wzburzenie.

- Nie spodziewałam się ciebie, tato.

- Ależ wyrosłaś, moje dziecko! - powiedział, podchodząc bliżej. - Ech, gdybym cię spotkał na ulicy, nie poznałbym cię!

- Po co przyjechałeś do Szanghaju? - spytała prosto z mostu Jiayin.

Pan Yu przybrał twarz w uśmiech.

- Kochana Jiayin! - zaczął żarliwie. - Jesteś moją jedyną córką. Mimo że rozstałem się z twoją matką, nigdy nie przestałaś być moim dzieckiem - jakżebyś mógł cię czasem nie odwiedzić?

Jiayin zmarszczyła brwi i odwróciła się.

- Po co mówisz mi takie rzeczy?

- Wiem, że mnie nienawidzisz, Jiayin. Z powodu twojej matki. Trudno ci się dziwić! Twoja matka nie ze swojej winy wiele wycierpiała.

Zauważył stojącą na stole ramkę z fotografią. Podeszedł bliżej i pochylił się, wyciągając rękę w jej stronę.

- Ach, to ona! - rzekł, stojąc twarzą w twarz z podobizną na zdjęciu. - Posiwała... Na pewno ze zgryzoty! Musiałem nie mieć serca... - Zdjął myckę i pogładził się po głowie. - Byłem młody, skrzywdziłem cię... Żałuję, ale jest już za późno!

Jiayin nie podobały się te wszystkie dramatyczne gesty przed podobizną jej matki; odbierała je jak profanację. Zabrała zdjęcie ze stołu i schowała do szuflady. Ojciec z niezmiennym wyrazem twarzy kontynuował swoje wyznania:

- Przyjechałem sam... Matka... to znaczy, ta druga, z którą się ożeniłem - chciała jechać ze mną, ale nie zabrałem jej. Widzisz, że odmieniłem swoje serce!

- Zadałam ci pytanie, tato! - zirytowała się Jiayin. - Po co przyjechałeś do Szanghaju?

- Postanowiłem zmienić swoje życie, znaleźć sobie jakieś zajęcie. Przyjechałem, żeby się rozejrzeć.

- Zajęcie? Ależ, tato! Nie przywykłeś do pracy. Lepiej już wracaj do domu.

Rozmawiali na stojąco; w końcu starszy pan bezceremonialnie usiadł na krześle.

- Szanghaj to wielkie miasto. Wystarczy odrobina zdolności, a jeśli się przyłożę... - zaczął, gładząc się z wolna po podbródku.

- Tato, nie masz najmniejszego pojęcia, jak trudno jest tu znaleźć pracę! - przerwała mu Jiayin, marszcząc czoło.

- Skoro nawet ty dałaś sobie radę, to i mnie się uda, w końcu jestem mężczyzną. A właściwie to gdzie pracujesz?

- Jestem guwernantką, poleciła mnie koleżanka ze studiów. Długo szukałam czegokolwiek - na próżno. Dlatego radzę ci, wracaj!

Staruszek stropił się nieco. Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, z rękami założonymi na plecach.

- Każesz mi wracać, a ja nie mam nawet grosza na podróż - rzekł.

- Jechać na darmo tam i z powrotem, jaki to ma sens?

- Mieszkać w tym mieście też musisz mieć za co!

- Zamieszkać u męża młodszej siostry twojej matki - rzekł pan Yu półgłosem, jakby zawstydzony.

Jiayin pominęła milczeniem tę wieść.

- Tato, mam tu zaoszczędzone pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli dasz się namówić na powrót, kupię ci bilet na statek.

Starszy pan zamyślił się.

- Widzisz, Jiayin, to bardziej skomplikowane... - podjął. - Na swoją podróż tutaj też nie miałem, więc napożyczałem tu i tam... Jak ja spojrzę ludziom w oczy, kiedy wrócę?

- Mam tylko tyle. W końcu dopiero co znalazłam tę pracę...

Pan Yu rzucił okiem na strój córki, rozejrzał się po skromniutkim mieszkaniu. Pokiwał głową i westchnął.

- Ech... Nie pomyślałem, że i tobie jest ciężko! Niech no się zastanowię... Kończysz w tym roku... dwadzieścia pięć lat? Moim obowiązkiem jako ojca było znaleźć ci przyzwoitego męża z dobrej rodziny. Nie musiałybyś się tak szarpać!

Jiayin odwróciła się tyłem.

- Tato, po co to całe gadanie?

- Ech, mniejsza z tym, nie będę ci zawracał głowy. Mówiłaś, że ile masz tych pieniędzy? - zmienił temat pan Yu. - Jeśli mi je dasz, wyjadę już jutro - oświadczył z nową energią.

Jiayin kluczykiem otworzyła szufladę i wyjęła gotówkę.

- Znasz jakiegoś armatora? - spytała.

- Nie drwij z ojca! - Pan Yu zaśmiał się. - Przecież nie przybiegłem do Szanghaju na piechotę! - Mówiąc to, zamaszystym krokiem wymaszerował z mieszkania.

Wkrótce jednak objawił się znowu - tym razem przed domem państwa Xia. Zongyu, który jak zwykle wrócił na obiad, właśnie odjeżdżał. Staruszek rzucił baczny okiem na wóz i przyjrzał się dokładnie wsiadającemu doń młodemu pasażerowi, po czym zadzwonił do drzwi willi.

- Czy pracuje tutaj panna Yu? - spytał gromkim głosem.

- Zgadza się. O co chodzi? - odparła zaskoczona Yaoma z nadąsaną miną.

- Pani będzie łaskawa przekazać, że ojciec chce się z nią widzieć - oznajmił pan Yu.

Yaoma zlustrowała przybysza od stóp do głów.

- Ojciec?

Jiayin, która usłyszała strzępki rozmowy przez uchylone drzwi do salonu, podeszła zaciekawiona.

- Ktoś do mnie? A ty co tu robisz, nie wyjechałeś? - zachnęła się na widok ojca.

- Głuptasie! - zaśmiał się pan Yu. - Skoro tu jestem, to znaczy, że nie wyjechałem!

- Po co przyszedłeś, tato?

- Byłem u ciebie, ale cię nie zastałem! - oświadczył staruszek, po czym wparował do środka rozkołysanym krokiem.

Jiayin miała chęć tupnąć nogą ze złości, lecz poszła za nim.

- Nie mogę tu z tobą rozmawiać, mam lekcję!

Nie bacząc na jej protesty, pan Yu rozglądał się na wszystkie strony.

- No, no! - cmokał z podziwem.

Yaoma, gdy zorientowała się, że przybysz rzeczywiście jest ojcem Jiayin, zmieniła się nie do poznania. Cała w uśmiechach, zapraszała go do środka:

- Niechże starszy pan spocznie, zaraz zaparzę gorącej herbaty!

- Ależ proszę nie robić sobie kłopotu! - rzekł pan Yu, gnąc się w ukłonach niczym lilia smagana deszczem. - Nie jestem spragniony, wypilem sporo do obiadu. W końcu jestem w Szanghaju, okazji nie brakuje!

- Proszę się nie krępować, drogi panie - zachęcała Yaoma, prowadząc go do salonu. - Panna Yu jest z nami, mogą państwo czuć się jak u siebie. Proszę usiąść, zaraz przyniosę herbatę! - Wybiegła rześka niczym letni wietrzyk.

Xiaoman, onieśmielona widokiem obcego, odsunęła się na bok i obserwowała go uważnie.

- Ach! Cóż za urocza dziecina! - zachwycił się pan Yu. Ledwie Yaoma wyszła z salonu, Jiayin zwróciła się półgłosem do ojca:

- Ech, tato... Niedługo wrócę do domu, wtedy porozmawiamy. A teraz idź już, dobrze? - namawiała go gorączkowo.

Pan Yu jakby na przekór rozsiadł się jeszcze wygodniej i westchnął.

- No cóż, jesteś jeszcze taka młoda, i do tego masz szczęście! - rzekł. - To dobra rodzina, gosposia jest dla ciebie taka serdeczna. Skąd to skrępowanie? Nie lepiej posiedzieć tu, na tych wygodnych, miękkich fotelach? - Zakołysał się na sofie i zamajtał nogami. - Może doczekamy się powrotu pana domu, a wtedy spytam go, czy nie znalazłby dla mnie jakiegoś zajęcia? A może uważasz, że to niewłaściwe? Jiayin wystraszyła się jeszcze bardziej.

- Tato! - rzekła, rozglądając się niespokojnie wokoło. - Jeszcze ktoś to usłyszy! Za kogo nas wezmą? Proszę cię...

Ledwie zabrzmiały te słowa, weszła Yaoma z herbatą i papierosami.

- Starszy pan zapali? - zwróciła się do pana Yu, podając mu ogień.

- Dziękuję, dziękuję! Macie teraz lekcję - zwrócił się do córki, kiwając uspokajająco ręką - nie przeszkadzajcie sobie, ja poczekam.

- Proszę siedzieć, nie ma pośpiechu! Nasza Xiaoman tymczasem coś tam sobie poczyta, proszę się nie przejmować - rzekła Yaoma.

Jiayin już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz ojciec przerwał jej kolejnym machnięciem ręki. - Idźcie się uczyć! Ja sobie tymczasem pogawędzę z tą miłą panią gosposią. Nasza panna ma szczęście, że trafiła pod tak troskliwą opiekę...

- Jest pan nadto uprzejmy! - odparła skromnie Yaoma i uśmiechnęła się.

Jiayin nie miała wyboru - usiadła przy Xiaoman i zajęła się lekcją, starając się ignorować rozmowę i beztrioskie śmiechy tych dwojga.

- Jak czyściutko - powiedział pan Yu, rozglądając się wokoło. - Tak tu wysprzątane! To pewnie pani zasługa? Nie zauważyłem innej służby. Trudzi się pani tutaj sama?

- A jużci, że sama, jakżeby inaczej? Pan Yu westchnął tęsknie.

- Ech, co za czasy. Kiedy my trzymaliśmy służbę, każdy robił, co do niego należało. Jedna służąca ścieliła łóżka, inna nakrywała do stołu - któż dałby radę zrobić wszystko sam?

Yaoma chciała wypaść skromnie i godnie zarazem:

- W gruncie rzeczy nie ma tu wiele do roboty... Ale nasz pan kocha porządek i jest bardzo niezadowolony, gdy coś jest nie tak jak należy! Już się do tego przyzwyczaiłam.

- Wasz pan jest bardzo zajęty? W którym yamenie (Yamen - ogólne określenie wszystkich urzędów administracyjnych cesarstwa chińskiego (przyp. tłum.)) urzęduje? - dopytywał się pan Yu. - Idąc tu, widziałem jakiegoś eleganckiego dżentelmena, jak wyjeżdżał samochodem przez bramę. Czy to on?

- A pewnie, że on. Nasz pan ma wytwórnię leków medycyny tradycyjnej. Kieruje nią całkiem sam, jest strasznie zapracowany, całymi dniami nie bywa w domu. Całe szczęście, że pracuje u nas panna Yu, nasza Xiaoman w końcu ma towarzystwo!

Zaciekawiona dziewczynka co chwila odwracała głowę w stronę rozmawiających.

- Tato, lepiej jednak zaczekaj na mnie w domu - nie wytrzymała w końcu Jiayin. - Xiaoman nie może się skupić na lekcji, kiedy cały czas mówisz!

Yaoma wycofała się z salonu, dochodząc do wniosku, że nie będzie przeszkadzać ojcu i córce w prywatnej rozmowie. Pan Yu zerknął na zegarek i podniósł się z kanapy.

- No dobrze, już idę. Kiedy będziesz z powrotem?

- Wracam o piątej - odparła Jiayin.

- Mam siedzieć u ciebie trzy albo i cztery godziny? To bez sensu. Masz jakieś drobne? Wstąpiłbym chociaż do łaźni...

- A co się stało z pieniędzmi, które ci dałam? - zdziwiła się Jiayin.

- To jest Szanghaj! To było tylko pięćdziesiąt tysięcy, a ja jestem tu już od tylu dni! I tak żyję oszczędnie!

Jiayin straciła cierpliwość.

- I ja mam ci jeszcze dać pieniądze! Skąd mogę wiedzieć, na co je wydasz, gdzie się będziesz włóczył?

Pan Yu podniósł głowę i obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- A gdzież to miałbym się włóczyć z tymi paroma groszami? Co? Aleś ty głupia! Twój ojciec jest człowiekiem światowym, nie wiedziałaś? Ech! W szanghajskich domach uciech ciągle jeszcze pamiętają nazwisko Yu! Tyle że dawniejsze kurtyzany miały prawdziwą klasę, nie to co teraz - jakieś tancereczki, hostessy, czego ja mam u nich szukać? Niech się te głupie pannice bez żadnego wykształcenia umizgują do nowobogackich!

Jiayin zmarszczyła czoło, lecz nie odezwała się ani słowem. Wyjęła portfel i wręczyła ojcu kilka banknotów, po czym odprowadziła go do wyjścia.

Xiaoman pokładała się na stole, opierając głowę na wyciągniętej ręczce. Wcześniej cały czas milczała, teraz wreszcie odezwała się słabym głosem:

- Proszę pani... Proszę pani, zjadłabym arbuza!

Jiayin zaśmiała się.

- Arbuza? O tej porze roku?

- No to loda. Coś zimnego bym zjadła!

- Oho! - Jiayin nachyliła się nad małą. - Go ci jest? Nie masz czasem gorączki?

- Od samego rana źle się czuję - odparła dziewczynka.

- Ojej... Czemu nie powiedziałaś wcześniej?

- Gdybym powiedziała wcześniej, nie pozwoliliby mi nawet zjeść śniadania!

Jiayin przyłożyła dłoń do czoła małej i aż podskoczyła z przejęcia.

- No pewnie! Ależ jesteś gorąca!

Pobiegła zawołać gosposię. Kiedy wróciła, pogłaskała dziewczynkę po głowie.

- A teraz posłuchaj mnie grzecznie i połóż się szybciotko do łóżka - powiedziała. - Jak się porządnie wyśpisz, jutro poczujesz się lepiej! Jeśli pan nie wróci przed szóstą - zwróciła się do gosposi - niech pani zatelefonuje do niego i powie, co się święci. Ta gorączka wygląda mi na wysoką!

- Może posiedzi panienka jeszcze trochę? - spytała Yaoma. - Kiedy pan wróci, nasz szofer odwiezie panią do domu.

- Nie trzeba, lepiej już pójdę.

Wróciła do domu wyjątkowo wcześniej, lecz ojciec nie zjawił się aż do wieczora. Podejrzewała, że wyciągnąwszy od niej pieniądze, znowu zniknie na jakiś czas.

Do domu rodziny Xia wezwano lekarza; szofer został wysłany po lekarstwa.

Xia Zongyu przechadzał się tam i z powrotem po dzieciennym pokoju; jego postać rzucała drżące cienie.

Na twarzyczce dziecka płonęły silne rumieńce; dziewczynka mamrotała coś niezrozumiale. Ogarnęła go nagła panika; wydało mu się, że córka mówi jakimś tajemniczym językiem nie z tego świata. Pochylił się nad łóżkiem i nasłuchiwał z wyteżeniem. Okazało się, że Xiaoman nieustannie powtarza słowa: „Proszę pani! Proszę pani, niech pani jeszcze nie idzie...” Serce Zongyu zabiło mocniej - miał wrażenie, że ktoś właśnie wypowiedział jego najskrytszą myśl. Gdy tak trwał nieporuszony nad łóżkiem, plecami do lampy, na jego twarzy malował się jakiś skomplikowany rodzaj czułości; było tam także cierpienie, jak przy obmywaniu rany, gdy maleńkie strumyczki wody sprawiają rannemu ból. Oczy Zongyu zwężyły się, po czym powoli, bardzo powoli jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

W pokoju Jiayin paliła się lampa. Lokatorka niedawno wróciła ze wspólnej umywalni, gdzie wyprała kilka drobnych sztuk bielizny i przyniosła je z powrotem, - by powiesić do wyschnięcia. Na oparciu krzesła wisiała para skarpetek; do szyby przyklejone były chusteczki do nosa. Biała w kwiatki, różowa poplamiona tuszem i jasnoliliowa zajmowały całą powierzchnię okna, niczym zaciągnięta roleta, zmieniając zupełnie nastrój pomieszczenia. Woda z mokrych chusteczek spływała po szybie - jak w wierszu: „Deszcz smaga kwiecie gruszy, zamknięto szczelnie drzwi...” (Cytat z wiersza Li Chongyuana (żył ok. 1122), poety z czasów Północnej Dynastii Song (przyp. tłum.)) Jiayin nie spodziewała się, że ktokolwiek może jeszcze odwiedzić ją o tej porze.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Pobiegła otworzyć.

- Och! - Zdumiała się na widok gościa. - Pan Xia!

- Przepraszam, że niepokoję.

- Proszę, proszę wejść. Niech pan spocznie! - Z początku czuła się bardzo skrępowana, lecz po chwili przypomniała sobie o chorobie Xiaoman, toteż nie tracąc czasu na uprzejmości, spytała wprost: - Czy

był pan już w domu? Kiedy wychodziłam, Xiaoman nie najlepiej się czuła, cały czas się martwię...

- Właśnie w tej sprawie przyszedłem - odparł Zongyu.

- Ach... - wystraszyła się jeszcze bardziej Jiayin. - Czy wezwali państwo lekarza?

- Lekarz już był. Stwierdził, że na razie to nic poważnego, ale trzeba być bardzo ostrożnym, bo może rozwinąć się dur brzuszny...

- Ojej... w takim razie rzeczywiście trzeba uważać - powiedziała cicho Jiayin.

- No właśnie... Proszę wybaczyć, że zjawiam się o tej porze, ale chciałem spytać panią, czy nie zechciałaby pani zostać u nas na kilka dni? Kamień spadłby mi z serca...

Jiayin zawahała się, ale tylko przez moment.

- Oczywiście, pójdę od razu - zgodziła się ochoczo.

- Właściwie nie powinienem tego od pani wymagać. Ale zauważyłem, że polubiła pani naszą małą... i z wzajemnością. Córka dopiero co, mającąc, wołała przez sen: „Proszę pani, proszę pani!”

- Naprawdę? - Jiayin posmutniała. - Proszę chwilę poczekać, wezmę tylko parę drobiazgów...

Wyciągnęła spod łóżka niewielką skórzaną walizkę, po czym otworzyła szufladę komody, wyjęła kilka sztuk ubrań na zmianę i zapakowała je. Następnie przypomniała sobie o gościu.

- Zaraz podam herbatę - zapowiedziała, po czym nalała do filiżanek nieco esencji. Potrząsnęła termosem; w środku coś zagrzechotało. - Ach, całkiem zapomniałam... - rzekła zawstydzona. - Termos zepsuty! Zejdę na dół, przyniosę gorącej wody!

Zongyu z początku trochę się zagapił, lecz ocknął się i zaprotestował gorączkowo:

- Ależ nie trzeba, nie trzeba!

Usiadł na krześle, lecz natychmiast się poderwał.

- Przepraszam - wyjąkał, oblany rumieńcem, zdjął z oparcia wilgotne skarpetki i powiesił je na poręczy łóżka.

Jiayin się krzątała, a Zongyu, chcąc uniknąć śledzenia kobiety wzrokiem, rozglądał się po pokoju. W tym jednym pomieszczeniu mieściło się całe jej królestwo. W kącie stał piecyk na naftę, obok - pięcioszufladowa komoda, a na niej butelka oleju, garnek do gotowania ryżu, miska przykryta talerzem, biała emaliowana miednica z przewieszonym blad różowym ręcznikiem. Niewielkie łóżko z

żelazną ramą przykrywał biały koc, zwisający aż do ziemi. Wyciągając przed chwilą walizkę, Jiayin wyjęła spod łóżka buty; spod narzuty wyglądały też czubki szmaragdowych, haftowanych złotą nicią pantofelków. Przy wezglowiu łóżka stały ułożone w stertę pudła; na samym wierzchu leżała mała skórzana walizeczka w wytarte wzory, malowane złotą farbą. Staromodny mosiężny zamek nabrał zielonej patyny, pięknie kontrastującej z wiśniowym tłem. W półmroku zapadającego zmierzchu cały pokój przypominał subtelną akwarelę na pożółkłym papierze. Oprócz kilku drewnianych mebli była tu jeszcze mała rattanowa biblioteczka, a na ścianie wisiało duże okrągłe lustro, wyjęte ze starej toaletki. Pod lustrem stał kryształowy wazon z długą gałązką kielichowca - kwiaty już dawno zwiędły, a gałąź prawdopodobnie została specjalnie wybrana ze względu na ciekawą formę. Odbita w lustrze, przypominała widok przez okrągłą „księżycową” bramę w chińskim ogrodzie.

Zongyu czuł się dziwnie rozkojarzony - może sprawiły to emocje, w końcu po raz pierwszy znalazł się w tym pokoju - w jej pokoju. Cała ta kuchenka, naczynia i inne sprzęty od razu wydały mu się ciekawe i zabawne. Po chwili zrozumiał, że w tym mieszkaniu toczy się czyjeś prawdziwe życie - miejsce to zupełnie nie przypominało jego domu, który nagle wydał mu się pusty niczym dziecinny domek z kolorowych klocków, pozbawiony ludzkiej duszy. Naraz zdał sobie sprawę, że milczy już bardzo długo. Dostrzegł na stole zdjęcie w ramce; wziął je do ręki.

- Czy to pani mama? Bardzo do pani podobna - rzekł z uśmiechem.

- Tak pan myśli? - odparła Jiayin, odwzajemniając uśmiech.

- Czy też mieszka w Szanghaju?

- Nie, została na prowincji.

- A ojciec pani?

Jiayin milczała chwilę, wygładzając ubranie.

- Mój ojciec rozstał się z matką - powiedziała.

- Ach, tak - odparł cicho Zongyu zaskoczony. - To znaczy, że jest pani sama w tym mieście?

- Zgadza się.

- Mama na pewno martwi się o panią.

- Cóż, to jedyne wyjście. Mama przywykła do rodzinnych stron, poza tym życie na prowincji jest dużo tańsze - ma tylko mnie...

- A rodzeństwo?

- Nie mam braci ani sióstr.

- Ojej, ależ ja panią wypytuję - uśmiechnął się Zongyu - jak jakiś rachmistrz od spisu ludności!

Jiayin odpowiedziała uśmiechem.

- Chodźmy już - powiedziała, zamykając walizkę. Przepuściła go, by pierwszy zszedł po schodach, sama zgasiła lampę. W pokoju zapadła ciemność. Mroczna postać stanęła w otwartych drzwiach, które po chwili się zamknęły. Kolorowe chusteczki tkwiły na szybie jeszcze długo.

Kiedy pan Yu znowu zapukał do drzwi domu państwa Xia, Yaoma otworzyła mu cała w uśmiechach.

- Ach, starszy pan znowu nas odwiedza! Jak się pan miewa?

Yu, doceniając jej starania, sam jednak nieskory do przesady w uprzejmościach, uśmiechnął się tylko i odparł:

- Całkiem nieźle. Czy zastałem naszą panienkę? - spytał, przestępując próg. - Próbowałem ją odwiedzić, ale ciągle nie ma jej w domu.

- Panna Yu ostatnio mieszka u nas. Xiaoman się rozchorowała i korzysta z jej łaskawej opieki.

- Ach tak - rzekł pan Yu.

Przewrócił oczami, potarł podbródek i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po salonie, jakby głęboko się nad czymś zastanawiając.

- Czy pan domu jest obecny? - zapytał.

- Pan nie wrócił dziś do domu na obiad, pewnie ktoś go zaprosił. Proszę spocząć, drogi panie!

Pan Yu usiadł i westchnął, założywszy nogę na nogę.

- Ech... Wasz pan jest w sile wieku, u szczytu kariery. A my? Cóż tu po nas, nasz czas już minął...

- Ależ proszę tak nie mówić! - zaprotestowała Yaoma. - Ma pan wielkie szczęście - taka wspaniała córka, czegoż więcej chcieć od życia?

Pan Yu spoważniał, jakby słowa te poruszyły jakąś czułą strunę.

- Od małego była bardzo rezolutna, ma też dobre serce. Ale doznała ode mnie wielkiej krzywdy. Niech pani się nie sugeruje tym, że jest taka powściągliwa. Widzi dalej niż czubek własnego nosa i w przyszłości na pewno nie będzie pani źle traktowała.

Pan Yu mówił tak, jakby jego córka miała zostać częścią rodziny. Yaoma nie wiedziała, co odpowiedzieć. Uśmiechnęła się.

- Ależ panna Yu naprawdę bardzo dobrze odnosi się do nas, służby... Proszę siadać, poproszę ją, by tu zeszła - rzekła w końcu.

Ledwie pan Yu pozostał sam w salonie, ogarnął go gorączkowy pośpiech. Wziął ze stołu pudełko papierosów i wsypał sobie jego zawartość do kieszeni.

Yaoma poszła zawiadomić Jiayin.

- Panno Yu - oznajmiła z uśmiechem - starszy pan przyszedł.

- Och! - Jiayin drgnęła.

- Właśnie byłam ciekawa, czemu się nie pojawiał przez ostatnie dwa dni? Jest taki miły, wcale nie napuszczony!

Na widok jej kpiącego uśmiešku Jiayin ogarnęła obawa, lecz nie dała nic po sobie poznać.

- Proszę popilnować Xiaoman, zaraz wrócę - poprosiła. - Ty tutaj? - spytała na widok ojca. - Tyle czasu czekałam na ciebie w domu, czemu nie przyszedłeś?

Pan Yu wstał na powitanie.

- A ty czemu tak mnie traktujesz? Ciągłe nie chcesz z nim porozmawiać... - Zniżył głos, zaczął gestykulować. - Pan Xia ma takie duże przedsiębiorstwo, naprawdę nie przydałby mu się ktoś taki jak ja? Wystarczy, że szepniesz mu słówko!

Jiayin zmarszczyła brwi.

- To nie o to chodzi, że nie chcę. Ale sama jestem tutaj z czyjegoś polecenia. Nie mogę ściągać całej rodziny!

- Pomyśl trochę praktyczniej - ciągnął półgłosem pan Yu. - Przecież to wielka firma, cóż dla pana Xia znaczy jedna osoba więcej? A kiedy ojciec dostanie przyzwoite stanowisko, sama też na tym skorzystasz!

- Wybacz, ale wystarczy mi, że nie stracę przez ciebie twarzy! - zirytowała się Jiayin.

Duma pana Yu została zraniona.

- Bez łaski! - zaczął krzyczeć. - Sam z nim porozmawiam! Skoro tak cię lubi, czemu nie miałby okazać mi odrobiny serca? W końcu jestem twoim ojcem!

Zagniewany pomaszerował w kierunku wyjścia. Jiayin krzyknęła za nim:

- Co ty sobie wyobrażasz? Służba wszystko słyszy, do czego to podobne?

Pan Yu niezrażony wykrzykiwał dalej:

- Pogardzasz mną, a sama prawie wprowadziłaś się do cudzego domu - nie wstyd ci?

Yaoma, która już dawno nie siedziała przy łóżeczku dziecka, lecz nasłuchiwała w korytarzyku na dole, otworzyła przed nim drzwi.

- Starszy pan już wychodzi?

Pan Yu z rezygnacją opuścił ręce, strzepując rękawy.

- Słusznie mawiają, że z córek nie ma żadnego pożytku! - rzekł.

Roztrzęsiona Jiayin miała dłonie i stopy zimne jak lód. Długo siedziała w salonie na dole. Gdy w końcu zdecydowała się wrócić na górę, wciąż jeszcze była bardzo niespokojna. Wchodząc do pokoju dziecka, zobaczyła, że Yaoma siedzi na łóżku i karmi dziewczynkę. Obok stała taca, na niej kilka małych miseczek z potrawami. Stała jak wryta.

- Panno Yu - oznajmiła z uśmiechem gosposia - przyrządziłam dla Xiaoman trochę kleiku...

Jiayin ruszyła w jej stronę.

- Ojej, przecież jej nie wolno tego jeść! Nie miała nic w ustach już od kilku dni, to jej zaszkodzi!

- Tyle lat ją wychowuję, dobrze wiem, co jej szkodzi, a co nie - odparła Yaoma z niechęcią.

Na widok paseczków mięsa i kawałków stuletnich jaj w miseczkach Jiayin porwała szybko tacę.

- Pani nie rozumie! Lekarz mówił, że to może być dur brzuszny! Wolno jej podawać tylko płyny!

Yaoma spochmurniała jeszcze bardziej.

- Pewnie, że nie rozumiem, szkół nie kończyłam i czytać nie umiem! - Trzymała w jednej ręce miseczkę, drugą gestykulowała, pomagając sobie pałeczkami. - Ale z dziećmi miałam do czynienia i niejedno już wychowałam!

Jiayin pomyślała, że być może odezwała się zbyt obcesowo. Zmusiła się do uśmiechu.

- Wiem, że chce pani dobrze, ale nieumyślnie robi jej pani krzywdę - powiedziała.

- Ja? Jakżebym mogła ją skrzywdzić? To nie ja zamierzam zostać drugą żoną naszego pana!

Jiayin pobladła.

- Yaoma, co też pani wygaduje? Przecież wcale nie twierdzę, że chce pani kogoś skrzywdzić!

Yaoma z trzaskiem odłożyła miskę i pałeczki na tacę, po czym sama wyniosła ją z pokoju, mamrocząc po drodze:

- Xiaoman jest już taka duża, ciekawe, jak to się stało, że mimo mojego jedzenia jeszcze żyje! A naszemu panu po prostu pomieszało się w głowie, dobrze to wiem!

Jiayin nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Yaoma zniosła jedzenie do kuchni.

- To kobieta bez honoru! - powiedziała do kucharza, pokazując w stronę pokoi na piętrze. - Ma złe zamiary! Nie dba wcale o to biedne dziecko, bo ono jest naszej pani! Kiedyś, kiedy będzie miała własne, inaczej zaśpiewa!

- Ale co się stało? - zdziwił się kucharz. Ignorując jego pytanie, gosposia utyskiwała dalej:

- Co za czasy! Kiedyś konkubina musiała najpierw pokornie oddać hołd rodzinie! A teraz? Rację miał jej ojciec - sama się wprasza do cudzego domu i jeszcze wtrąca się do dziecka! Kucharz powoli wytarł dłonie o fartuch.

- Co w ciebie wstąpiło, Yaoma? - spytał. - Zawsze masz taki dobry humor. Kto ci się tak naraził?

Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.

- Biedne dziecko! Jeśli nie umrze od choroby, to zagłodzi się na śmierć. Tyle dni i nawet ziarenka ryżu nie miało w ustach! Szkoda, że nasza pani tego nie widzi! Ta kobieta nie ma sumienia - ale ja mam! Pójdę do pani i wszystko jej powiem. Zawsze była dla mnie taka dobra!

Wzruszyła się, otarła łzy rąbkami rękawa i skierowała się w stronę wyjścia. Kucharz chwycił ją za poję.

- Yaoma, radzę ci, opanuj się trochę!

- Oo, widzę, że jesteś taki sam - bez sumienia! A pani nigdy cię źle nie traktowała! Tylko patrzeć, jak jej dziecko zginie z głodu. Idę po rzeczy!

Po chwili wróciła, niosąc na plecach spory tobolek.

- Naprawdę wybierasz się do pani? - spytał kucharz.

- A czemu miałabym kłamać? - odparła Yaoma, nie patrząc na niego, lecz on zastąpił jej drogę do kuchennego wyjścia.

- Nie porozmawiasz najpierw z panem? Co mu powiem, kiedy wróci i zapyta o ciebie?

- Z panem! - rzuciła ironicznie. - Pan jest opętany przez tę kusicielkę! Powiesz mu, że ponieważ Xiaoman jest chora, poszłam zawiadomić jej matkę!

Wieczorem w sypialni Xiaoman palił się niebieskozielony lampion w kształcie arbuza, ozdobiony wielkim zielonym chwostem. Jiayin siedziała na małym krzeselku i przewijała włóczkę. Zongyu wszedł do pokoju.

- Ojej, spruła pani swój szal? Dlaczego?

- Chcę jej zrobić rękawiczki.

- Och! - Uśmiechnął się przepraszająco. - Gdybym pamiętał, kupiłbym...

- Bardzo trudno dostać taki odcień, pytałam w wielu sklepach, nigdzie nie mieli - odparła z uśmiechem Jiayin.

Xiaoman obudziła się.

- Tato, jak tylko pani skończy robić mi rękawiczki, pójdziemy do miasta, do parku!

- Ojej, tak szybko? - rzekł Zongyu.

- Okropnie się nudzę! Proszę pani, niech mi pani opowie jakąś bajkę...

- Już skończyły się bajki w mojej głowie, więcej nie pamiętam - odrzekła z uśmiechem Jiayin. - Ale mam w domu książkę z bajkami. Jutro ci przyniosę, sama poczytasz. Dobrze?

Oslabiona dziewczynka znowu zapadła w sen. By jej nie budzić, Jiayin przeniosła się na fotel dalej od łóżka i powiesiła włóczkę na oparciu krzesła.

- Może mógłbym pomóc? - spytał z uśmiechem Zongyu.

- Oczywiście. Proszę usiąść tam i wyciągnąć ręce - poleciła Jiayin.

Zongyu pozwolił założyć sobie motek na wyciągnięte dłonie. Spojrzał na Xiaoman.

- Kiedy rękawiczki będą gotowe, znowu zaczniesz marudzić, że chce wyjść z domu - rzekł półgłosem.

- Na pewno - skinęła głową Jiayin. - Dzieci już takie są!

Słyszając jej lekko pouczający ton, Zongyu roześmiał się mimo woli.

- Nie wiem czemu, ale wcale nie wydaje mi się pani wiele starsza od niej. Czuję się, jakbym miał dwie córki - młodszą i starszą...

Jiayin spojrzała na niego, przechyliła głowę i uśmiechnęła się.

- Żartuje pan sobie ze mnie!

- W gruncie rzeczy, jakby dobrze policzyć... mógłbym chyba mieć córkę w pani wieku - rzekł Zongyu.

- A gdzie tam! - zaprotestowała Jiayin

- Przecież nie ma pani jeszcze dwudziestu lat.

- Mam. Dwadzieścia pięć!

- A ja trzydzieści pięć - poinformował ją Zongyu.

- Czyli jest pan tylko o dziesięć lat starszy! Widok jej uroczej, młodej twarzy, gdy tak siedziała dokładnie naprzeciwko niego, wywołał w nim ukłucie żalu, a może jakieś bolesne wspomnienie.

- Ostatnio czuję się naprawdę staro - rzekł.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Wie pan, że za granicą ludzi w tym wieku zalicza się jeszcze do młodzieży?

- No cóż... jednak nie jesteśmy za granicą, prawda? Do pokoju weszła nowa służąca i podała mu czyjaś wizytówkę. Zongyu zszedł na dół powitać gościa. Tymczasem Xiaoman w łóżku zaczęła bawić się skórzaną rękawiczką, którą zostawił ojciec - odziana w nią dłoń dziewczynki przypominała niedźwiedzią łapę.

- Proszę pani, niech pani patrzy! - śmiała się. Jiayin stanowczym ruchem zdjęła jej rękawiczkę i włożyła małą rączkę pod kołdrę.

- Uważaj, nie zazięb się! Ledwo co poczułaś się lepiej.

Przyjrzała się uważnie rękawiczkce - była nadpruta. Uśmiechnęła się. Wyjęła igłę z nitką z woreczka na przybory i zabrała się do zszywania.

- Proszę pani! - krzyknęła nagle Xiaoman. - Czemu naprawia pani rękawiczkę taty zamiast robić moje?

Jiayin czym prędzej zakończyła szycie, urwała nitkę i schowała igłę.

- Nie krzycz tak! - poprosiła. - Zaraz wróci tata, nic mu nie mów, dobrze? I pamiętaj, jeżeli mu coś powiesz, pójdę sobie do domu!

- Ojej! Niech pani nie idzie! - zaprotestowała Xiaoman.

- W takim razie - buzia na kłódkę! - powtórzyła Jiayin.

Odłożyła rękawiczkę z powrotem na poduszkę.

Zongyu wrócił do sypialni córki.

- Gdzie pani? - spytał Xiaoman.

- Poszła zrobić mi lemoniady - odparła mała.
- Niedługo będziesz miała nowe, dobre rękawiczki, nie to co moje - całkiem podarte! - rzekł Zongyu, widząc, czym bawi się jego córka.

Xiaoman rozczapierzyła palce.

- Gdzie podarte? Wcale nie! - oświadczyła. Ojciec wziął ją za rękę i przyjrzał się uważnie.

- O? Przecież była nadpruta! Xiaoman zachichotała.

- Widzę, że ci się poprawiło - masz świetny humor! A kto zszył rękawiczkę?

Xiaoman zasłoniła buzię.

- Nie powiem ci!

- A to czemu?

- Bo jak ci powiem, to pani nauczycielka sobie pójdzie!

Zongyu uśmiechnął się.

- Dobrze, w takim razie nic mi nie mów! Włożył powoli rękawiczkę i oglądał ją z uśmiechem.

Kiedy gorączka Xiaoman spadła, Jiayin wróciła do siebie. Nazajutrz Zongyu przyszedł w odwiedzinach z dziękczynnym podarkiem - był to materiał na suknię.

- Niestety, nie jestem ekspertem w dziedzinie tkanin... Nie jestem pewien, czy ta się nada - powiedział, a następnie podał jej kolejne pudełko. - Pamiętam, że ostatnio zepsuł się pani termos, więc przyniosłem nowy - dodał.

- Ogromnie dziękuję, jak to miło i troskliwie z pana strony! - ucieszyła się Jiayin.

Na kuchence bulgotał garnek. Zongyu wciągnął nosem powietrze.

- Ależ smakowity zapach! - zachwycił się. Jiayin nieśmiało podniosła pokrywkę.

- To noworoczny pudding, ze wsi, od mamy - powiedziała.

- Wspaniale pachnie! - powtórzył.

- Może się pan poczęstuje? Ale to naprawdę nic specjalnego. - Uśmiechnęła się.

- Bardzo chętnie. Zgłodniałem! Jiayin wyjęła miseczkę i pałeczki.

- Niestety, mam tylko jedną miseczkę do ryżu... - powiedziała, podając mu ją. Sama zamierzała jeść z obtłuczonej salaterki.

- Proszę pozwolić mi wziąć tę większą - zaprotestował. - Jem więcej od pani!

- Jeśli dołoży pan sobie kilka razy, czy nie wyjdzie na to samo? - spytała ze śmiechem.

- Ale w ten sposób będzie można dołożyć więcej! Gdy Jiayin nakładała mu potrawę dużą łyżką, z dołu zabrzmiał głos:

- Panno Yu! List do pani!

Jiayin zbiegła na dół i wróciła z kopertą.

- Odpowiedziałam na ogłoszenie o pracę w gazecie, to pewnie w tej sprawie... - powiedziała, rozdzierając papier.

- Spóźnili się! - rzekł Zongyu.

- To szkoła z Xiamenu... - ciągnęła Jiayin, czytając list. - Potrzebują nauczycieli... chiński, angielski, matematyka, geografia, wychowanie obywatelskie, przyroda, wychowanie moralne, gimnastyka, śpiew... kilkanaście przedmiotów... Coś podobnego! I jeszcze kogoś do administracji...

Zongyu wziął od niej list.

- Na zakwaterowanie i wyżywienie... - czytał - ...sześćdziesiąt tysięcy juanów. Przecież to śmieszne! Kto się skusi na coś takiego?

Długo gawędzili i śmiali się, aż pudding noworoczny został zjedzony w całości. W końcu Zongyu zagadnął:

- Mówiłaś, że masz książkę z bajkami dla dzieci, którą Xiaoman mogłaby sama czytać.

- Tak, tak. Zaraz poszukam i dam ci ją.

- W Chinach tak mało jest książek dla dzieci...

- To prawda.

Przeszukała wszystkie półki, lecz wciąż nie mogła znaleźć tomiku z bajkami.

- Ach, tu jest, pod spodem! - oznajmiła nagle. - Deska w podłodze jest krzywa, więc podłożyłam książkę pod mebel...

Uklękła i wyciągnęła tom, nie spodziewając się, że regalik przechylił się w jej stronę. Z półki spadł flakonik perfum, płyn pokropił Jiayin, a nadtłuczona buteleczka potoczyła się po podłodze.

- Nic ci się nie stało? - zatroszczył się Zongyu. Poderwał się, wyjął chusteczkę i pomógł jej osuszyć ubranie. Jiayin, rumieniąc się, usiłowała z powrotem ustawić biblioteczkę.

- Ależ ze mnie gapa, taka jestem niepozbita! Podłozyla pod regal inną ksiazkę, przyniosła miotłę i zabrala się do zamiatania drobinek szkła z podłogi. Zongyu powachal chusteczkę.

- Piękny zapach! Nie pozwolę jej wyprac, niech zostanie na pamiatkę.

Jiayin milczala i sprzatała dalej ze spuszczoną glową. Pozbierawszy szkło, podniosła z podłogi uszkodzony flakonik oraz ksiazkę z bajkami, którą wręczyła Zongyu. Na okładce blyszczalo kilka kropek płynu - Zongyu sięgnal po list lezacy na stole, by osuszyc ją papierem, lecz Jiayin wyjęła mu go z ręki.

- Chce go zachowac - powiedziala. Zongyu stropil się.

- To znaczy, ze... zamierzasz pojechać do Xiamenu i przyjac tę prace?

Jiayin, która podjęła decyzję w ciągu ostatnich kilku minut, uśmiechnęła się tylko. Zongyu milczal. Wzial uszkodzony flakonik, obejrzał go i postawil na parapecie, po czym wyjal z duzego wazonu hiacynta i wstawil do środka. Jiayin stala ze splecionymi z tylu rekoma, oparta o poręcz łozka, patrzac na niego jakby z oddali; jej oczy uśmiechaly się smutno.

Zongyu machinalnie podniosl gazetę lezaca na walizce i zaczal ją przerzucac.

- Podobno dobry jest ten film, który grają w Guo Tai. Wybierzemy się razem?

- To stara gazeta! - Jiayin roześmiała się.

- Ach! - Zongyu także się uśmiechnal. - Nie wiesz, co tam ostatnio grają? Moze wybierzemy się na seans o piątej?

Jiayin zamyśliła się.

- Nie, dziś mam jeszcze coś do załatwienia. Nie mogę. Czujac, że jej chłód jest zamierzony, Zongyu szybko się pożegnal i wyszedł.

Jiayin zdarła jedną z chusteczek z szyby. Zongyu wsiadł do samochodu i odjechał, a ona stala dalej, patrzac przez okno; jej oddech osiadł mgielką na szkłe. Wytarla szybę chusteczką i zobaczyła wchodzacego na podwórze ojca.

- Jiayin! - zakrzyknal pan Yu afektowanym tonem, wchodzac do jej pokoju.

Jiayin, która do tej pory tłumila emocje, nagle wybuchnęła płaczem.

- Krzywdzisz mnie! Przychodzisz do nich do domu, wygadujesz jakieś bzdury!

Ojciec położył jej rękę na plecach.

- Córeczko - rzekł pocieszająco - powiedz mi wszystko, co ci leży na sercu, w końcu jestem twoim ojcem! Ja wszystko rozumiem. Czego się obawiasz? Pan Xia jest takim dobrym człowiekiem!

- O czym ty mówisz? - Jiayin wpadła w gniew i natychmiast przestała płakać.

Pan Yu usiadł i przysunął się z krzesłem w jej stronę.

- Moje dziecko, coś ci powiem... - Pogrzebał w kieszeni, po chwili wyjął puste pudełeczko. - Poślij no kogoś z dołu, niech mi kupią jakieś papierosy...

- Jak mogę rozkazywać cudzej służbie?

- A co to za różnica?

- Kiedy się mieszka w cudzym domu, trzeba się dostosować!

- Nie chcę ci nic sugerować, ale... Masz przecież inne doskonałe miejsce, czemu się stąd nie wyprowadzisz? To strasznie przygnębiające mieszkać w takiej podłej dziurze...

- Jakie znowu miejsce? - zdumiała się Jiayin.

- Dom państwa Xia! - odparł ojciec. - Całkiem wytwornie mieszkają.

- Co ty opowiadasz?

- Ech, prawdę możesz ukrywać przed obcymi, ale nie przed rodziną...

- Jak możesz wygadywać takie rzeczy! - Tupnęła nogą.

- W porządku - rzekł łagodnie pan Yu. - Nic już nie powiem. Bo nasza panienska się gniewa! Tak czy owak, musisz poprosić tego pana Xia, żeby załatwił mi jakąś pracę. I to koniecznie w głównym oddziale firmy.

Rozmowę przerwała gospodyni, prosząc Jiayin do telefonu.

- Halo? - powiedziała Jiayin do słuchawki. - Pan Xia? Tak? W kinie Guo Tai, teraz? Ale... Halo? Halo? Czemu nie ma połączenia?

Zastygła bezradnie ze słuchawką w rękę; odłożyła ją po dłuższej chwili. Wróciwszy do pokoju, czym prędzej złapała płaszcz i torebkę.

- Muszę wyjść - oznajmiła ojcu. - Mam ważną sprawę, a ty wracaj do siebie i spokojnie wszystko przemyśl. Ten twój pomysł, żeby pan Xia załatwił ci pracę, jest zupełnie nie na miejscu. Tak namieszaleś, że sama nie wiem, co począć!

Pan Yu posmutniał.

- No dobrze, ale posiedzę tu jeszcze chwilkę.

- Niech ci będzie - zgodziła się Jiayin.

Kiedy wyszła, pan Yu z rękoma założonymi na plecach przeszedł się tam i z powrotem po pokoju. Obejrzał wszystkie kąty, po czym zabrał się do przeglądania szuflad. Odkrywszy kupon materiału, wpadł na pewien pomysł. Z pudełkiem pod pachą pośpieszył na dół, po cichu wymknął się tylnymi drzwiami, by znowu wejść od frontu, a następnie zapukał do mieszkania gospodarzy.

- Pani Sun! - zaczął z uśmiechem. - Mam tu coś specjalnie dla pani. Ciągle tutaj przychodzę i sprawiam pani tyle kłopotu - chciałbym się odwdziaczyć!

Pani Sun, kompletnie zaskoczona, uśmiechnęła się promiennie.

- Och, panie Yu, jest pan nadto uprzejmy! Taki kosztowny podarunek!

- To przecież nic takiego, naprawdę nic takiego! - zaprotestował pan Yu, po czym zaplótł ręce, zmarszczył brwi i z zakłopotaniem wciągnął powietrze przez zęby.

- Miałbym pewną małą prośbę do pani... Ale nie wiem, czy pani się zgodzi...

- Jeśli tylko mogę pomóc, czemu miałabym się nie zgodzić?

- Widzi pani... Będę szczery. Moja córka mieszka u pani tyle czasu, i tak już wszystko pani wie. Jest pani porządną kobietą i na pewno nieskłoną do plotek. Ale wie pani... Teraz, gdy ten pan Xia co chwila tu przychodzi, ludzie z całą pewnością zaczną gadać! Dziewczeta są takie naiwne... Przecież to mężczyzna, wiadomo, o co chodzi. Jestem jej ojcem, i skoro już przyjechałem do Szanghaju, muszę się dowiedzieć, jakie ten człowiek ma zamiary!

- Oczywiście, oczywiście! - Pani Sun skinęła głową.

- Nie chcę robić mu wyrzutów, tylko się z nim rozmówić. Jeśli traktuje ją poważnie, to korzystając z tego, że tu jestem, załatwimy tę sprawę!

- Ze wszech miar właściwe! - przytaknęła pani Sun gorliwie.

- Chciałbym w związku z tym prosić panią o zawiadomienie mnie, gdy pan Xia się tutaj pojawi. Córka nie chce mi powiedzieć, kiedy znowu złoży jej wizytę.

- Oczywiście, powiadomię pana! - zgodziła się pani Sun.

Jiayin nareszcie dotarła do kina. Zongyu czekał na nią już od dawna - stał pod murem, w ciemnym płaszczu; na tle tłumów dookoła wydawał się samotny i opuszczony. W świetle latarni i księżyca jego postać przypominała cień drzewa na murze. Na jej widok uśmiechnął się i podszedł, by ją powitać.

- Czemu podałeś tylko czas i miejsce, a potem od razu odwiesiłeś słuchawkę? - spytała Jiayin. - Nie zdążyłam ci powiedzieć, że nie mogę przyjść... Ale bałam się, że jeśli nie przyjdę, będziesz tu stał i czekał...

- Właśnie dlatego się rozłączyłem - bałem się, że się nie zgodzisz - odparł.

- Ach, ty! - rzuciła tylko z uśmiechem Jiayin. Skierował się w stronę schodów, torując drogę.

- Właściwie nie musimy wcale tam wchodzić. Film już trwa od jakiegoś czasu - powiedział.

- No to po co umówiłeś się ze mną w kinie?

- Bo to tutaj spotkaliśmy się po raz pierwszy. Weszli na piętro w milczeniu.

- Posiedźmy tu - zaproponował Zongyu.

Usiedli na kanapie pod ścianą. Światło tutejszych lamp zawsze wydawało się jakby lekko pijane. Ściany obito czymś przypominającym grubą, szorstką wełnę. Przestrzeń długiego korytarza kryła się w półmroku, było w nim coś niesamowitego, ponurego. Zongyu przyglądał się Jiayin w milczeniu dłuższą chwilę.

- Chciałem tylko z tobą porozmawiać, nic poza tym. Kiedy rozmawialiśmy u ciebie, powiedziałaś, że... Wystraszyłem się, że naprawdę wyjeżdżasz.

- Zgadza się. Zamierzam zmienić otoczenie - wyznała po chwili.

- Chcesz po prostu uciec... z Szanghaju. Prawda?

- Życ ciągle tu, w tym samym miejscu... Myślę, że to nie jest dobre - odparła.

- Ale dlaczego? - spytał, mimo że znał odpowiedź. - Według mnie, najlepiej jest właśnie w Szanghaju.

Bileterka, widząc, że tak długo siedzą, wykorzystując to miejsce na pogawędki, przyglądała im się z dezaprobatą. Czując jej spojrzenie, Zongyu zaczął udawać zniecierpliwionego; zerknął na zegarek i powiedział: „Ech, czemu jeszcze go nie ma? Nie czekajmy dłużej, chodźmy stąd”. Oboje ze śmiechem wyszli.

Zaprosił ją do restauracji, po czym wybrali się na wieczorny seans, lecz nie wrócili już do poważnej rozmowy.

Pewnego dnia wieczorem niespodzianie odwiedził ją znowu.

- Nie spodziewałaś się mnie o tej porze, prawda? Zjadłem na mieście, ale właściwie jest jeszcze dosyć wcześnie, więc pomyślałem, że się z tobą zobaczę. Nie za późno dla ciebie?

- Nie, skądże. - Uśmiechnęła się. - Ja też dopiero zjadłam kolację.

Lampa wisiała bardzo nisko nad stołem, oświetlając rzędy tabliczek do madžonga.

- Co porabiasz? - spytał Zongyu.

- Wróżę - odparła Jiayin.

- Potrafisz takie rzeczy? - zdziwił się Zongyu.

Wziął ze stołu zniszczoną, staroświecką książkę bez oprawy, zszytą na grzbiecie, i machinalnie przerzucił kartki.

- I jak, działa? - spytał z uśmiechem.

- To tylko tak, dla zabawy. Kiedyś, kiedy mój ojciec wracał do domu nad ranem, matka stawiała wróżby dla zabicia czasu. Nauczyłam się od niej.

Zongyu usiadł i zaczął się przyglądać tabliczkom.

- O co pytałaś, kiedy stawiałaś tę wróżbę?

- O przyszłość - odparła Jiayin.

- A o cóż innego miałabyś pytać? Przecież nie o to, co już było, prawda? Jakie pytanie zadałaś?

- Hmm... Nie powiem ci. Spojrzał na nią uważnie.

- Może uda mi się zgadnąć... A ja? Mogę też zadać jakieś pytanie?

- Proszę bardzo. Pomogę ci znaleźć odpowiedź. Jakie jest twoje pytanie?

- Ja też ci nie powiem! - Zongyu uśmiechnął się.

- Może się okaże, że oboje pytamy o to samo? Przetasował tabliczki i rozłożył je w długim rzędzie

zgodnie z jej wskazówkami. Jiayin patrzyła mu przez ramię. Po chwili wybrała z rzędu zestaw tabliczek.

- Dobra wróżba, najwyższa ranga. Jeszcze raz... Ojej. Nie za dobrze to wygląda - środkowo - niska. - Ogarnął ją wyraźny niepokój, jednak uśmiechnęła się. - Ale uda się, jeśli będziesz się żarliwie modlił - dodała.

Zongyu nagle dostrzegł w popielniczce pudełko po zapalniczkach i wystający z niego patyczek kadzidelka.

- Ty też się żarliwie modlisz, palisz nawet kadzidelka!

Aromat już się ulotnił. Jiayin chciała zapalić nowe kadzidelko dla Zongyu, lecz ten zaprotestował:

- Nie trzeba. To i tak bez znaczenia...

Jiayin odłożyła patyczek do popielniczki. Znowu rozłożyli tabliczki.

- Niedobrze - oświadczyła Jiayin. - Niska pozycja.

- Nagle, wbrew sobie, rozchmurzyła się. - Nieważne. Popatrzmy dokładnie, co mówią tabliczki!

Zongyu zajął do książki i odczytał:

- Wysoka - wysoka, środkowo - niska, niska - niska, nie ma radości, pusty wynik, dużo szczęścia, szukanie w ciemności, odbicie księżycy w wodzie, pałac w powietrzu...

- Można się przestraszyć - rzekła Jiayin cicho. Zongyu poczuł, że jest bardzo poruszona. Zamknął książkę.

- I jak coś takiego może pomóc człowiekowi? Nie wierzymy w to, przecież nie jesteśmy przesądni.

- Wierzyć to ja w to nie wierzę... - rzekła Jiayin, przygnębienie jednak jej nie opuszczało.

- Woda się gotuje - zauważył Zongyu po dłuższej chwili.

- Specjalnie postawiłam czajnik na kuchence - wyjaśniła Jiayin. - Żeby było trochę cieplej. Zamiast centralnego ogrzewania.

- Dobry pomysł - pochwalił Zongyu.

Jiayin podeszła do piecyka, żeby ogrzać ręce, po czym zaczęła przyglądać się swoim dłoniom.

- Czego tak wypatrujesz? - spytał.

- Patrę, czy nie mam spirali - odparła.

- Co to jest spirala?

- Nie wiesz? Spójrz na linie papilarne... Okrągłe to spirale, a wydłużone - koszyczki - wyjaśniła Jiayin.

Zongyu rozpostarł obie dłonie.

- Zobacz, chyba mam kilka takich spiral.

Jiayin ujęła jego dłonie i przyjrzała się.

- Masz ich całe mnóstwo! A ja nawet jednej nie mam...

- A co to znaczy, jeśli się je ma albo nie?

- Im więcej spiral, tym lepiej - wyjaśniła Jiayin. - Ręka bez spiral nie utrzyma pieniędzy, inne rzeczy też lubią z niej wypadać.

- No to nic dziwnego, że stłukłaś flakon z perfumami! - zaśmiał się Zongyu.

Jiayin nie zdążyła odpowiedzieć; jej twarz zastygła. W otwartych nagle drzwiach pokoju stanął pan Yu. Staruszek zakasłał.

- O, Jiayin! - rzekł na powitanie. - A ten pan to...

- To pan Xia. A oto mój ojciec - przedstawiła ich sobie.

Zongyu wstał pośpiesznie.

- Ach! Twój ojciec! Bardzo mi miło. Panie Yu, czy długo bawi pan w Szanghaju?

Pan Yu giął się w ukłonach.

- Jestem tu już od wielu dni. Odwiedziłem pański dom, ale wciąż nie miałem okazji pana poznać.

Zongyu był coraz bardziej zdezorientowany.

- Ach! Bardzo mi przykro, że nie przyjąłem pana osobiście! Nic mi nie wspominałaś - zwrócił się cicho do Jiayin.

- Kiedy przyszedł, akurat zachorowała Xiaoman, byłam taka zajęta, że zapomniałam - wyjaśniła.

Już w pierwszej chwili od wejścia pan Yu poczuł, że mieszkanie córki jest stanowczo zbyt małe jak na jego popisy krasomówcze. Miał w repertuarze tyle gestów - każde skiniecie ręką czy tupnięcie nogą miało swój rytm i swoje znaczenie.

- To wielkie szczęście dla naszej córki, że ktoś taki jak pan, panie Xia, wziął ją pod swoje skrzydła. Młody, przystojny i z dobrą pozycją - dziś to prawdziwa rzadkość! - oświadczył.

- Ależ... nie zasłużyłem na tyle pochwał - odparł Zongyu sztywno. - Proszę, niech pan spocznie...

- Pan pierwszy - nalegał pan Yu.

Usiadł dopiero wtedy, gdy Zongyu opadł na krzesło.

- Tacy jak ja - podjął staruszek - starzy i beużyteczni, w tych niespokojnych czasach muszą ściągać z prowincji tu, do Szanghaju, po codzienną miskę ryżu... Mam prośbę do pana, panie Xia. Przez wzgląd na tę dziewczynę... Jeśli znajdzie się dla mnie u pana jakieś maleńkie zajęcie, moja wdzięczność nie będzie miała granic!

Zongyu był kompletnie zaskoczony.

- Eee... - wyjąkał - ...oczywiście, panie Yu... To nie stanowi problemu...

- Obawiam się, że nie przydam się na wiele... Naczytałem się w życiu mnóstwo starych książek... Jak dotąd nie miałem jednak sposobności, by wykorzystać swoje talenty.

Jiayin, która wciąż nie kwapiła się, by usiąść, podniosła z łóżka robótkę i zaczęła dziergać.

- W dzisiejszych czasach ludzi ze staroświeckim wykształceniem, takich jak mój ojciec, nikt już nie potrzebuje - zauważyła obojętnym tonem.

- Wcale niekoniecznie - zaprotestował Zongyu. - Od czasu do czasu wysyłamy różne okolicznościowe pisma czy zaproszenia, a nie mamy nikogo, kto potrafiłby pisać literackim, kurtuazyjnym stylem. Taki ktoś na pewno się przyda w firmie.

- Ach! Listy kondolencyjne, życzenia urodzinowe - to dla mnie żaden kłopot! - ucieszył się pan Yu.

- Znakomicie. Jeśli jest pan gotów przyjąć takie stanowisko, panie Yu...

Wzburzona Jiayin odwróciła się plecami i starała się całkowicie ignorować ojca.

- Już jutro chętnie się zjawię w pańskim biurze - zapowiedział staruszek. - Czy mogę spytać o adres?

- Bardzo proszę przyjść rano - odparł Zongyu, wręczając mu wizytówkę. - Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się pan Yu.

- Zapali pan? - spytał Zongyu, wyjmując papierośnicę.

Pan Yu podniósł się i przyjął poczęstunek, po czym usłużnie podał Zongyu ogień.

- W dzisiejszych czasach pali się papierosy, kiedyś zażywano tabakę. Wszystko się zmienia! - rzekł. - Istnieje całe mnóstwo gatunków tabaki, dawniej znano się na tym... Ach, pokażę panu coś ciekawego - dziedzictwo naszych przodków! - Z tymi słowy wyjął tabakierkę i podał swojemu rozmówcy.

- Proszę wybaczyć, ale zupełnie się na tym nie znam - zastrzegł się Zongyu. - Widzę jednak, że to doskonała robota - pochwalił, obracając flakonik (Chińczycy przechowywali tabakę we flakonikach, często wykonanych z drogocennych materiałów i kunsztownie zdobionych (przyp. tłum.) w rękę.

- Ten jadeitowy koreczek jest bardzo cenny - wyjaśnił pan Yu, pokazując mu szczegóły zdobienia. - Ciężko będzie mi się z nim

rozstać, ale... cóż zrobić? Panie Xia, ma pan wielu przyjaciół... Może dałoby się pożyczyć trochę pod zastaw tego drobiazgu?

Usłyszawszy te słowa, Jiayin odwróciła się gwałtownie i spojrzała na ojca. Nisko opuszczony klosz lampy z białej porcelany, o brzegach karbowanych jak liść lotosu, wyglądał niczym wielki, egzotyczny kwiat, wpięty w jej włosy. Cienie padające na twarz Jiayin okrutnie wyostrzały jej rysy. Przypominała teraz przedwcześnie postarzałą, zmęczoną życiem kobietę z tropików.

- Nie znam żadnego miłośnika antyków - odparł Zongyu.

- Tak czy owak, bardzo pana proszę... - Tato! - przerwała mu Jiayin.

Pan Yu dostrzegł gniew w spojrzeniu córki.

- Tak, tak... To ja już pójdę, jutro się zobaczymy. Dziękuję i przepraszam za kłopot! - pożegnał się i pośpiesznie wyszedł.

- Ojciec jest już stary i miesza mu się w głowie! - rzekła Jiayin. - Nie mam pojęcia, po co tu w ogóle przyjechał! Od początku namawiałam go, żeby wrócił do domu. Już mnóstwo razy męczył mnie, żebym poprosiła cię o pomoc, ale uważałam, że to niewłaściwe...

- Niepotrzebnie aż tak się tym przejmujesz.

- Nie masz pojęcia, co to za człowiek! - odparła Jiayin ze złością.

- Rozumiem, że masz do niego żal, ale w końcu to twój ojciec.

Nie powinnaś go tak traktować...

Odkąd pan Yu otrzymał nową posadę, nabrał też nowej energii. Pewnego ranka kucharz państwa Xia, wracając z zakupów, wpadł na niego przy wejściu.

- Starszy pan dzisiaj tak wcześnie? - zagadnął, po czym schylił się i zajrzał do ptasiej klatki, niesionej przez staruszkę. - Cóż to za ptak? - spytał.

- To drozd - oświadczył z dumą pan Yu. - Kupiłem go wczoraj. Wstałem dziś o świcie, byliśmy już na spacerze w parku!

Kucharz otworzył drzwi i obaj weszli do środka.

- Czy wasz pan już wstał? Muszę zamienić z nim kilka słów - oznajmił pan Yu.

Kucharz rozejrzał się, upewniając się, że nikt ich nie obserwuje.

- Nasz pan jest dziś w złym humorze - rzekł półgłosem. - Niech pan go lepiej nie niepokoi...

- Ach tak? Spokojna głowa, nie na mnie będzie wyładowywał swoje humory! - zaśmiał się staruszek. - W końcu to ja jestem starszy i należy mi się szacunek. W firmie on jest ważniejszy, a poza nią - ja!

Kucharz tym razem popatrzył na niego z ukosa.

- To pan też zasuwa w jego firmie? - rzekł z kpiącym uśmiechem.

- Wasz pan nie dałby rady sam jeden zajmować się całą fabryką. Są mu potrzebni zaufani ludzie. Skoro już jesteśmy w tak bliskich stosunkach, uznałem za swój obowiązek, by mu dopomóc!

Ledwie skończył mówić, po schodach z głośnym tupotem zbiegła Xiaoman i wpadła do salonu. Za nią truchtała Yaoma, wołając ją po imieniu.

- Ach, cioteczka Yaoma już wróciła - rzucił pan Yu wyniośle.

- Znikąd nie wracałam! - odparła Yaoma z niezadowoloną miną.

- Ledwie słońce wstało, już go tu przyniosło - wymamrotała, nie zważając na jego obecność.

Pan Yu także wszedł do salonu.

- Coś takiego, cóż za brak manier! - rzucił, stawiając na stoliku ptasią klatkę.

- Och, czyżbym nie była dla pana wystarczająco uprzejma? - odparła Yaoma. - Xiaoman, szybko na górę, jeszcze nie umyłaś buzi! - zwróciła się do dziewczynki.

- A tobie co się znowu stało? Przestałaś pani poznawać ludzi?

- Proszę ciszej! - zniecierpliwiła się Yaoma. - Pani wróciła, źle się czuje i jeszcze leży w łóżku!

Pan Yu w jednej chwili zmienił ton.

- Jak to: pani wróciła? - spytał.

- Musiała wrócić, prędzej czy później. Gdy brak gospodarza, miotły rządzą w domu!

Staruszek zamyślił się na chwilę.

- A cóż to trapi naszą panią? Musi być wątłego zdrowia, biedactwo, skoro zdołała urodzić tylko jedną córeczkę! - oznajmił z ironicznym uśmiechem.

Tymczasem Xiaoman za jego plecami próbowała bawić się z ptaszkiem w klatce. Pan Yu odwrócił się niespodziewanie.

- Ach, ty, czemu otworzyłaś drzwiczki?! - krzyknął na dziecko.

- Nie ruszaj! - zganiła ją Yaoma.

- No i patrzcie, poleciał! Poleciał! - zakrzyknął pan Yu. - Dopiero co go kupiłem!

- Chodź no tu, dziecko, nie zwracaj uwagi na tego człowieka! I szybko na górę, myć buzię! - zarządziła Yaoma.

- Co to znaczy: nie zwracaj uwagi? - pan Yu dolewał oliwy do ognia. - Jak śmiesz?

Wystraszona Xiaoman wybuchnęła płaczem.

- Wypuściłaś mojego ptaszka, a teraz płaczesz? Jak się nie uspokoisz, zaraz ci przyłożę! - rozsierdził się staruszek.

W tym momencie u szczytu schodów pojawił się Zongyu.

- Ktoś przyszedł, Yaoma? - spytał.

Pan Yu czym prędzej powściągnął swoje karzące zapędy.

- To ja, panie Xia - oświadczył. - Chciałem zamienić z panem kilka słów, zanim zobaczymy się w pracy.

Zongyu wszedł do salonu owinięty szlafrokiem. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- O co chodzi? - spytał.

Pan Yu zaczekał, aż Yaoma wyprowadzi małą, a następnie bez skrępowania oświadczył:

- Ponieważ w tym miesiącu znowu podwyższyli czynsz i jeszcze trudniej będzie mi związać koniec z końcem, chciałbym prosić pana o małą pożyczkę. Jakies kilkadziesiąt tysięcy...

- Panie Yu, za każdym razem, gdy prosi pan o pieniądze, podaje pan jakiś bardzo poważny powód - rzekł Zongyu. - Tyle że pensja, którą pan otrzymuje, wcale nie jest niska... Na potrzeby jednej osoby powinna w zupełności wystarczyć. Musi pan zacząć planować wydatki!

- Myślałem, że pod koniec miesiąca, gdy dostanę pensję, wszystko panu zwrócę - ciągnął pan Yu, niezbity z tropu. - W fabryce byłoby mi niezręcznie, więc przyszedłem specjalnie tutaj...

- Nie mówmy o zwrocie - odparł pan Xia. - Tym razem panu pomogę, ale proszę pamiętać, że to już ostatni raz - dodał surowym tonem.

Starszy pan spłoszył się.

- Tak, tak, oczywiście, oczywiście - przytaknął gorliwie. - Ma pan absolutną rację. Tylko bardzo pana proszę... - dodał cicho, przyjmując od pana Xia plik banknotów - proszę nic nie mówić mojej córce!

Pan Xia popatrzył na niego w milczeniu.

Yaoma, która podsłuchiwała całą rozmowę pod drzwiami, w końcu ruszyła na górę. Gdy zatrzymała się przed wejściem do sypialni, z wnętrza dobiegło pokasływanie. Otworzyła drzwi.

- Już pani nie śpi, proszę pani?

- Kto tam jest na dole? - spytała pani Xia.

- Ach! To ojciec tej kobiety znowu przyszedł prosić o pożyczkę! To doprawdy nie do zniesienia. W dodatku chciał uderzyć Xiaoman!

Pani Xia ze zdumienia usiadła na łóżku.

- Co? Uderzyć Xiaoman? Jak on śmie!

- Całe szczęście, że nasz pan akurat wszedł, gdyby nie on, pewnie by to zrobił! Czy można tolerować coś takiego?

Zongyu wszedł do sypialni.

- Co to ma znaczyć? - krzyknęła pani Xia. - Jeszcze tutaj jestem, a już ktoś chce bić moje dziecko! Co będzie, kiedy się w końcu rozwiedziemy? Zatłuczecie ją na śmierć!

Poranny strój pani Xia składał się z białej płóciennej koszuli w chińskim stylu, rozpinanej z przodu, z wszytymi na piersi wewnętrznymi kieszeniami. Jej twarz o niezbyt mądrym wyrazie była pociągła, lecz nie wychudzona; włosy miała uczesane w kok.

- Co ty znowu opowiadasz? - odparł pan Xia zmęczonym tonem, z rękoma w kieszeni szlafroka.

- Nie wierzysz? Spytaj Xiaoman. To nie tylko moje dziecko, ale i twoje! - Głos jej się załamał, z oczu popłynęły łzy.

- Dość tych głupich podejrzeń. Najpierw musisz poczuć się lepiej, potem przyjdzie czas na spokojną rozmowę - odparł Zongyu.

- A o czym tu spokojnie rozmawiać? Chcesz mnie porzucić i tyle! Jeśli już mam umierać - umrę w twoim domu! Nie myśl sobie... - Rozszlochała się głośno.

- Przestań gadać w kółko o umieraniu!

- A co, źle by było, gdybym umarła? Ta dziwka na pewno będzie się cieszyć!

- Co ty wygadujesz? - krzyknął Zongyu, ostatecznie rozgniewany.

Huk rozbijanej o podłogę wazy zadźwięczał w główce Xiaoman niczym eksplozja. Mała zmarszczyła brwi i spojrzała w górę. Siedziała sama w salonie - nikt nie zwracał na nią uwagi. Nikogo ze służby nie było w zasięgu wzroku, ale gdyby stało się coś złego, na pewno ktoś

pobiegłby na ratunek. W domu zapanował spokój. Jakby na przekór ciszy dziewczynka wzięła flet i zaczęła grać. Na razie umiała wydobyć z instrumentu tylko jedną piskliwą nutę. „U u u u!” Wysoki, przenikliwy dźwięk wydawał się dobiegać z zewnątrz. Xia - oman przypominała jaskółki mieszkające pod dachem domu państwa Xia - obojętna, jakby obok wszystkiego, co działo się w środku.

Kiedy Jiayin usłyszała pisk fletu, przypomniała sobie dzień, kiedy kupiła go dla małej. „Ależ to hałaśliwe! Będzie na tym grała od rana do wieczora!” - niepokoił się Zongyu. Było to po chorobie Xiaoman, pierwszego dnia, gdy dziewczynka nareszcie mogła wyjść z domu. Poszli na spacer we trójkę. Widocznie bardzo przypominali rodzinę, bo pewien żebrak zawołał za nimi: „Dbajcie o dzieci, dbajcie o wnuki! Nie wyrzucajcie pieniędzy w błoto!” Wtedy czuła się bardzo skrępowana, lecz teraz wspominała to zdarzenie z uśmiechem.

- Jesteś dziś w dobrym humorze, co, Xiaoman? - zagadnęła Jiayin, wchodząc do salonu.

Dziewczynka pokręciła głową i rzuciła flet. Miała pochmurną minę.

- Co się stało? - spytała Jiayin.

- Mama przyjechała - odparła smutno mała. Jiayin spojrzała na nią zaskoczona, po czym z wymuszonym uśmiechem ujęła rękę dziewczynki.

- Skoro tak, to chyba powinnaś się cieszyć, a ty jesteś niezadowolona. Czemu?

- Już wczoraj wieczorem mama z tatą zaczęli się kłócić, i tak całą noc... - Xiaoman przerwała i nadstawiła ucha.

Na górze drzwi się otworzyły; Jiayin usłyszała wzburzony głos Zongyu, a potem kobiecy płacz. Po chwili dobiegł ją stukot pośpiesznych kroków na schodach, trzaśnięcie drzwi frontowych, a na koniec - cichy odgłos zamykanych drzwiczek samochodu. Rzuciła się do okna, lecz zobaczyła tylko odjeżdżający wóz. Kobieta na piętrze wciąż głośno szlochała.

Po lekcjach Jiayin wróciła do siebie. Gdy otwierała drzwi mieszkania, z pogrążonego w półmroku wnętrza dobiegły ją słowa:

- To ja, tylko się nie przestrasz!

- To ty? - upewniła się Jiayin.

- Siedzę tutaj już od jakiegoś czasu - odrzekł Zongyu ochryple. Od długiego milczenia zaschło mu w gardle.

Jiayin pstryknęła włącznikiem, lecz lampa się nie zapaliła.

- Coś się zepsuło? - spytał Zongyu.

- Ach, zapomniałam... W tym miesiącu wcześniej zużyliśmy przydział elektryczności, więc gospodarze przedwczoraj wyłączyli prąd - wyjaśniła. - Włączą znowu, ale dopiero po siódmej. Zapalę świeczkę.

- Mam zapalki - zaoferował się Zongyu.

Stawiając białą świeczkę na stoliku do herbaty, Jiayin zauważyła, że jeden z talerzyków jest pełen popiołu i petów.

- Przepraszam, urządziłem tu sobie popielniczkę... - rzekł, zawstydzony.

- Ojej - zaniepokoiła się Jiayin. - Wypaliłeś tyle, czekając na mnie? Musiałeś tu siedzieć strasznie długo!

- Właściwie to... dobrze wiedziałem, że nie zastanę cię w domu. Ale nagle uświadomiłem sobie, że oprócz tego miejsca zwyczajnie nie mam dokąd pójść. I że ty jesteś jedyną osobą, która może mnie wysłuchać...

Jiayin z wysiłkiem opanowała emocje. Starła się zachowywać zwyczajnie - zaparzyła herbaty i usiadła, trzymając szklankę w dłoniach. Blask świecy otoczył oboje, wykrawając dla nich osobny kawałek przestrzeni. Ich twarze, wyłaniające się z półmroku, nabrały złotego odcienia. Przypominały oblicza ze starego niedokończonego malowidła - trudno odgadnąć, czy ich wyraz był pogodny, czy zatroskany.

Zongyu szybko wypił herbatę.

- Matka Xiaoman jest tu, w Szanghaju - oświadczył nagle. - Nasłuchiwała się dziwnych plotek, nie mam pojęcia od kogo. Więc przyjechała tutaj i dręczy mnie. Nie będę ci nawet powtarzał tych bzdur. Pokłóciliśmy się... - Zamilkł i zaczął się bawić zużyta zapalką, rysując nią kręgi na talerzyku; w końcu przepalone drewnienko złamało się. - Nigdy nie było uczucia między nami - ciągnął. - To niewykształcona kobieta ze wsi, przewlekle chora, w dodatku dziwaczka. Nie tęsknimy do siebie, a gdy już jesteśmy razem, nie możemy się porozumieć. Nikomu o tym wszystkim nie mówiłem, nawet tobie, jak widzisz. Wiesz, „wola rodziców, słowa swatki"... Od dawna marzę o rozwodzie.

Ostatnie zdanie zrobiło wrażenie na Jiayin.

- Naprawdę? - spytała cicho.

- Tak. A odkąd spotkałem ciebie, coraz bardziej dojrzewam do tej decyzji.

Jiayin wstała i podeszła do okna. Miała mętlik w głowie. Małym żelaznym haczykiem machinalnie drapała otynkowaną ścianę.

Zongyu ogarnęła obawa, że nie wyraził się wystarczająco jasno.

- Chciałem powiedzieć, że... od samego początku planowałem rozwód!

- Mimo to... trudno mi to przyjąć - odparła Jiayin.

- I dla mnie to niełatwe - rzekł Zongyu. - A jeśli i ty cierpisz teraz z mojego powodu, to...

Oboje byli przygnębieni; jasny płomień świecy jakby na przekór tańczył radośnie.

- Od tamtego dnia... kiedy się spotkaliśmy - wyjąkała Jiayin - jest mi... tak trudno. A ty pewnie nie miałeś o niczym pojęcia...

- Ależ miałem. Wiedziałem cały czas. Ale bałem się, że się mylę. Teraz już wiem. A ty myślałaś, że... Tak się cieszę! Tylko nie płacz! O! - Nagle zapłonęła elektryczna lampa, Zongyu spojrział na zegarek i uśmiechnął się. - Punktualni ci twoi gospodarze. To światło to dobry omen - pewnie oznacza jasną przyszłość! Nie cieszysz się?

Jiayin odpowiedziała uśmiechem. Zongyu wyjął z kieszeni chusteczkę, żeby otrzeć jej łzy, lecz ona starała się odsunąć.

- Daj, wytrę ci twarz. O co chodzi? - nalegał Zongyu. Jiayin wzięła od niego chusteczkę i cofnęła się.

Jej uwagę przykuło kilka gruszek leżących na paterze.

- Może masz ochotę na gruszkę? - zaproponowała.

- Bardzo proszę - odparł Zongyu.

Jiayin zaczęła obierać owoc. Zongyu przypatrywał się jej, siedząc naprzeciwko.

- Jiayin... - odezwał się nagle.

- Tak?

- Jiayin... - powtórzył.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś więcej, lecz nie potrafi się na to zdobyć.

- Słucham? - odparła Jiayin i schyliła głowę jeszcze niżej, jakby oddawała się bez reszty obieraniu gruszki.

- Jiayin - rzekł Zongyu po raz trzeci.

- O co chodzi?

Jiayin przestała obierać.

- O nic... Tak po prostu, wołam cię po imieniu. - Zongyu uśmiechnął się.

Jiayin spojrzała na niego.

- Ale po co mnie wołasz? - spytała, odwzajemniając jego uśmiech.

- Przedtem też tak nawoływałem, ale nie słyszałaś - rzekł Zongyu. - Wołałem cię w myślach.

- Naprawdę? - szepnęła.

Wręczyła mu gruszkę. Ugryzł, po czym odciął cząstkę z drugiej strony.

- Proszę - zaproponował.

- Nie, dziękuję - odmówiła.

Zongyu ugryzł kolejne dwa kęsy i powtórnie wyciągnął kawałek w jej stronę.

- Bardzo słodka. Poczęstuj się.

- Dziękuję, zjedz całą.

- Czemu tak się upierasz? - Zongyu znowu się uśmiechnął.

- Jestem przesądna - odparła Jiayin.

- Przesądna? A cóż to znowu za przesąd?

- Lepiej nie dzielić się... gruszką - wyjaśniła zmieszana.

- Ach, o to chodzi! Możesz być spokojna. O żadnym rozstaniu nie ma mowy! (W języku chińskim zwrot „dzielić gruszkę” brzmi bardzo podobnie do „rozstać się” - stąd przesąd (przyp. tłum.) - rzekł Zongyu.

- Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość - odparła Jiayin cicho i zaczęła obierać kolejny owoc. Pasma skórki wiło się jak serpentyna.

Zongyu dotknął jej dłoni, w której trzymała nóż.

- Dlaczego nie wiadomo? Pamiętasz? Na twojej dłoni nie ma „spiral” - to znaczy, że nie zatrzymasz niczego na dłużej... Ale na mojej jest! Kiedy ja coś złapię, już nigdy nie wypuszczę!

Z dołu dobiegło bicie zegara. Zongyu zerknął na swój przegub.

- Oj, już ósma! Mam jeszcze jedno spotkanie... Ale nie wybieram się na nie - rzekł do siebie.

- Może lepiej idź? - zasugerowała Jiayin.

- I tak już jestem spóźniony. Zostaję - oświadczył z uśmiechem.

- Nie będą na ciebie czekać? Zongyu zawahał się.

- Masz rację. Obiecałem im, mamy pewne firmowe sprawy do omówienia...

Wyszedł czym prędzej, by oszczędzić sobie żalu pożegnania; w drzwiach rzucił tylko:

- Jutro do ciebie przyjdę.

Jiayin uśmiechnęła się w milczeniu. Zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie bezwładnie.

- Zongyu! - szepnęła.

Jej oczy wypełniała radość - poczuła, że musi je zmrużyć, by zatrzymać ją na dłużej. Podeszła do stolika.

- Zongyu! Zongyu! - powtórzyła, a płomień świecy znowu zatańczył.

Drzwi otworzyły się niespodzianie. Do pokoju wparował pan Yu. Jiayin spojrzała na niego z takim zdumieniem, jakby zobaczyła ducha.

- Kręcę się tu już od jakiegoś czasu, ale zobaczyłem jego samochód przed wejściem, więc nie wchodziłem na górę - oznajmił staruszek. - Chciałem, żebyście spokojnie sobie porozmawiali. Widzisz? Twój tato wie, co robi!

Jiayin zdmuchnęła świecę w milczeniu.

Pan Yu usiadł i przywołał ją skinieniem ręki.

- Chodź, mam ci coś do powiedzenia. Nie bądź taka rozkojarzona, zejdź na ziemię. Posłuchaj: Jego żona przyjechała! Jesteś naiwna jak dziecko, moja droga - któż ci teraz doradzi lepiej niż własny ojciec?

- Co ty znowu wymyślasz, tato?

Podeszła bliżej; pan Yu chwycił ją za rękę.

- Po co ciągle biegasz tam na te lekcje? W końcu to jej dziecko, tobie nic do niego. Wykorzystaj ten czas i poszukaj jakiegoś większego, dwupokojowego mieszkania. Teraz, kiedy pan Xia wraca do siebie, żona wiecznie zamięcza go pretensjami. Myślisz, że jest szczęśliwy w takim domu? Już teraz woli przyjść do ciebie. A ty możesz tylko na tym skorzystać. Przyjdzie on, przyjdą i pieniądze... A tamtą nie musisz się przejmować!

- Coś ci powiem, tato - nie wytrzymała Jiayin. - Rozmawiałam z panem Xia. Jego małżeństwo było aranżowane przez rodzinę. Od wielu lat zamierzał się rozwieść, nie zrobił tego tylko ze względu na dziecko. A teraz... właśnie się zdecydował. Mówiliśmy o tym przed chwilą... Zgodziłam się. Najpierw rozwód, a potem...

Pan Yu spojrział na nią zaskoczony.

- Aha! Czemu nic mi nie mówiłaś? Niepotrzebnie się przejmowałem! Oczywiście, że tak jest jeszcze lepiej!

Jiayin pożałowała swoich słów.

- Tylko pamiętaj, tato - zastrzegła. - Nie możesz się do tego wtrącać! Powiedziałam ci wszystko, ale niech to zostanie między nami. Rozumiesz?

- Pewnie, pewnie! - przytaknął pan Yu. Z dołu znowu dobiegło bicie zegara.

- Już późno. Nie czas na ciebie? - zasugerowała Jiayin.

- Zaraz, zaraz pójdę. - Pan Yu nalał sobie herbaty.

- Chodzi o to, że... gospodyni mówi, że lepiej nie otwierać bramy po zmroku, to niezbyt bezpieczne. Często giną tu różne rzeczy... - wyjaśniła. - A jeśli już o tym mowa... To dziwne. Miałam tu materiał na sukienkę. - Odsunęła szufladę i mechanicznie przerzuciła jej zawartość. - Pamiętam, że włożyłam go tutaj, a teraz nie mogę znaleźć! No i wczoraj widziałam gospodynię w nowym ubraniu, uszytym z identycznej tkaniny. Nie posądzam jej o kradzież, ale taki zbieg okoliczności... Zadziwiający! jutro spytam, gdzie go kupiła.

Pan Yu, który właśnie popijał herbatę, zakrztusił się nagle i zrobił gwałtowny, przeczący ruch ręką.

- Ach, nie pytałaś, więc ci nie mówiłem... To ja podarowałem jej ten materiał, w twoim imieniu!

- Co? - zdumiała się Jiayin.

- To! Twój pan Xia często tu bywa, siedzi do późnego wieczoru - czy nie pomyślałaś o tym, że zaraz zacznie się gadanie? Wyświadczyłem ci przysługę, dając jej ten prezent. Nie chcę cię krytykować, ale trzeba umieć postępować z ludźmi!

- Jesteś okropny, tato! - Jiayin tupnęła nogą.

- Zongyu będzie wściekły - rzekł Xia Zonglin do żony. - Ten stary Yu dzisiaj w fabryce wywołał niezłą awanturę.

- Co się stało? - zainteresowała się Xiujian.

- Ktoś przekazał fundusze na zakup leków dla szpitala Guangde, to szpital dobroczynny. Jakimś cudem pieniądze wpadły w łapy tego starego. Nie pisnął nikomu ani słowa... Tylko wszystko wydał!

- Naprawdę? - nie dowierzała Xiujian. - Ile tego było?

- Nie tak dużo. Ale on uważa się za ważną figurę i na pytanie o pieniądze zrobił wielką drakę.

- I co dalej? Uciekł?

- Bynajmniej! Patrzy nam prosto w oczy i zachowuje się, jakby nic się nie stało!

- Niemożliwe!

- Samo to wystarczy, żeby wyprowadzić Zongyu z równowagi. A tu w dodatku chodzi o darowiznę na cele dobroczynne - reputacja spółki na tym ucierpi!

- Biedna Jiayin też się nie ucieszy, kiedy się o tym dowie - zauważyła Xiujian.

W tym momencie weszła służąca.

- Pan prezes przyszedł - oznajmiła.

Na widok pochmurnej miny Zongyu Xiujian szybko ściszyła radio i czym prędzej zostawiła stryjecznych braci samych.

- Zonglin, co się dzieje? - spytał Zongyu. - Wszyscy mnie unikają. Chodzi o tego starego pana Yu, tak?

Zonglin nerwowo tarł kosmyk włosów.

- Owszem. Doprawdy, nieprzyjemna sprawa - rzekł z wymuszonym uśmiechem.

Zongyu usiadł, wyraźnie zmęczony.

- Tylko dlaczego ja dowiaduję się o wszystkim ostatni?

- Racja, powinni byli od razu ci powiedzieć - zgodził się Zonglin.

- Ale...

- Ale co? - dopytywał się brat.

- Właściwie trudno im się dziwić... - odrzekł Zonglin, wciąż uśmiechając się ze skrepowaniem. - Ten staruszek tak się puszy, że nikt już nie jest pewien, jakie właściwie stosunki łączą go z tobą!

- O nie, tak dalej być nie może. - Zongyu poczerwieniał. - Muszę się z nim rozmówić! Idę do niego zaraz.

- Równie dobrze możecie porozmawiać tutaj - zasugerował Zonglin.

Zongyu zawahał się, po czym kiwnął głową z aprobatą.

- Wyślę po niego szofera - oświadczył, wstając.

- Pozwolisz, że w odpowiednim momencie zniknę. Krępowałbym się, będąc przy waszej rozmowie - rzekł Zonglin.

Zongyu znowu skinął głową. Wysłano samochód po pana Yu. Bracia jeszcze przez kilka chwil wymieniali zdawkowe uwagi, lecz wkrótce zapadło milczenie. W radiu przestali nadawać muzykę, nikt

jednak nie zmienił stacji ani nie wyłączył odbiornika. Mała lampka świeciła nadal, wskazując nadejście długiej radiowej nocy.

Gdy z zewnątrz dobiegł dźwięk klaksonu, Zonglin wymknął się z salonu.

Pan Yu wparował do środka z okrzykiem:

- Panie Xia! Jakże uprzejmie z pana strony, że przysłał pan po mnie wóz! Nie wystarczyło wezwać mnie przez posłańca?

Zongyu wstał ciężko. Staruszek popatrzył na niego z obawą. Pan Xia włożył ręce do kieszeni i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Panie Yu, muszę z panem omówić pewną bardzo ważną sprawę - zaczął. - Ktoś niedawno wpłacił darowiznę dla szpitala Guangde. Sumę przekazano na pana ręce...

- Tak, tak, to ja przyjąłem te pieniądze - potwierdził grzecznie pan Yu. - Akurat miałem pewien wydatek... Zwyczajnie zapomniałem panu o tym wspomnieć.

- Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że wiarygodność i dobre imię są ogromnie ważne dla firmy - rzekł Xia.

- Oczywiście, że tak! Po prostu popełniłem drobny błąd...

Zongyu zmarszczył brwi.

- Czy nie rozumie pan, że wśród nas, ludzi interesu, taki błąd może mieć poważne konsekwencje?

- Nie myślałem o tym w ten sposób - odrzekł pan Yu. - A jeśli chodzi o te pieniądze... panie Xia, czyż nie jesteśmy jak jedna rodzina? Po co dzielić na „moje” i „twoje”?

Zongyu poczuł się wybitnie nieswojo.

- Nie będę tego tolerował. Zamierzałem poprosić pana, żeby nie przychodził pan już do zakładu - oznajmił, wbijając w staruszka zdecydowane spojrzenie.

- Chce pan powiedzieć, że mnie pan zwalnia? Ależ... Na przyszłość będę ostrożniejszy... o niczym nie zapomnę! - zapewniał pan Yu.

- Przez wzgląd na nasz prestiż proszę, by pan od jutra już się nie pojawiał. Poproszę, żeby wypłacono panu należną pensję do końca tego miesiąca.

Pana Yu zirytował ten oficjalny ton. Doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia.

- Panie Xia, porozmawiajmy otwarcie - zaproponował. - Moja córka wszystko mi powiedziała. Czyż nie powinniśmy zacząć traktować się nawzajem jak bliscy?

Nie było nic dziwnego w tym, że córka zwierzyła się ojcu ze swoich uczuć i planów... Zongyu jednak poczuł niesmak.

- Moja przyjaźń z panną Yu nie ma tutaj nic do rzeczy - oświadczył sztywno. - Znam jej sytuację rodzinną i współczuję jej. Mimo to, bez względu na okoliczności, nie mogę zaakceptować pana zachowania.

Zdecydowany ton i poważna mina Zongyu sprawiły, że staruszek w końcu poczuł się zagrożony.

- Panie Xia! Z czego ja będę żył, jeśli wyrzuci mnie pan z pracy? - żalił się. - Proszę mieć wzgląd na moją córkę!

Zongyu odsunął się z pogardą.

- Ani słowa więcej o pańskiej córce!

- O, czy to znaczy, że ją też zamierza pan... oddalić? - oburzył się Yu. - W takim razie nic dziwnego, że pan taki niezadowolony... Wszystko przez te kłopoty rodzinne! Nieprzyjemna sprawa! Panie Xia - przemówił do odwróconego plecami Zongyu, już nieco serdeczniejszym tonem - jest na to pewien sposób. Moja córka żywi do pana ciepłe uczucia... Czy sądzi pan, że w tej sytuacji jakoś szczególnie zależy jej na uprzywilejowanej pozycji? A pan, panie Xia, z pana statusem, może mieć choćby trzy żony i cztery konkubiny, i nikt nie powie panu złego słowa!

Zongyu odwrócił się twarzą do starego, nie wierząc własnym uszom.

- I po cóż kłócić się z żoną? - dodał staruszek. - Po prostu przyjmie pan Jiayin, wprowadzi ją do swojego domu, i tyle! W rodzinie zapanuje zgoda, a w pana sercu - spokój. Jiayin to grzeczne dziecko - wystarczy jedno moje słowo!

- Cóż to za bzdury! - oburzył się Zongyu. - Nie chcę tego słuchać! Ani pana więcej oglądać! A co do pańskiej córki - jest już dorosła i nie ma pan prawa wtrącać się w jej życie!

Pan Yu cofnął się dwa kroki.

- Ja tylko chciałem dobrze... - bąknął.

Zongyu wyglądał, jakby miał ochotę go spoliczkować.

- Niech się pan stąd wynosi natychmiast. I proszę nie przychodzić już do mojego domu.

Następnego dnia rano pan Yu zapukał do drzwi willi państwa Xia, licząc, że o tej porze nie zastanie już gospodarza. Yaoma weszła na górę i zaanonsowała:

- Ten cały Yu przyszedł i mówi, że chce się z panią widzieć.

- Po co? - zdziwiła się pani Xia.

- Bo ja wiem? Któż w ogóle wie, co knuje ten stary!

- Niech będzie, porozmawiam z nim, przecież mnie nie zje. - Pani Xia zapięła dokładnie swoje qipao i okryła się pledem.

Yaoma doprowadziła pana Yu przed łóżko chorej. Staruszek skłonił się wytwornie.

- Dzień dobry, pani Xia! Jak szanowne zdrowie pani?

- Proszę siadać - odparła pani Xia bezbarwnym tonem, mocno zmieszana.

Yaoma podsunęła staruszkowi krzesło.

- Przyszedłem specjalnie, by pomówić tylko z panią - zaczął Yu poważnym tonem. - Wiem, że z powodu mojej córki między panią a mężem zaszły pewne nieporozumienia. Jako rodzice nie możemy patrzeć obojętnie na coś takiego...

Na dźwięk tych słów twarz pani Xia zalała mieszanina gniewu i żalu.

- A pewnie! Od rana do wieczora słyszę o rozwodzie...

- Rozwód? Ależ to w ogóle nie wchodzi w rachubę! Proszę nawet o tym nie mówić. Moja córka jeszcze nie straciła resztek rozumu... Pani Xia! Właśnie w tej sprawie przychodzę do pani. Jest pani osobą dobrą - nie zawziętą, jak niektórzy - a do tego rozsądną, wspaniałomyślną i otwartą. Jeśli wasz pan Xia weźmie sobie konkubinę, to pani, będąc słabszego zdrowia, tylko zyska kogoś do pomocy - sama korzyść! I gdzie tu powód do rozwodu? Jeśli to pani pozwoli jej wejść do swojej rodziny, nie będzie pani w niczym zagrażała!

Pani Xia zamyśliła się.

- Pana córka naprawdę zgodziłaby się na coś takiego?

- Moje dziecko doskonale rozumie nasze racje. Niech pani zda się na mnie, sam wszystko z nią uzgodnię.

Panią Xia bardzo zadowalała ta propozycja, mimo to z emocji zalała się łzami.

- Byle tylko się ze mną nie rozwodził... zgodzę się na wszystko!

- Proszę być spokojna, wkrótce pomówię z córką. Doprawdy podziwiam pani otwartość! Mam jednak jeszcze jedną, dość pilną sprawę, w której chciałbym prosić panią o pomoc. Chodzi o niewielką pożyczkę... Nadszedł czas zwrotu, wierzyciel mnie naciska, lecz w tej chwili naprawdę nie mam skąd wziąć tych pieniędzy. Czy mógłbym liczyć na panią? A w kwestii mojej córki może pani na mnie polegać w stu procentach!

Yaoma, która stała z boku, rzuciła swojej pani znaczące spojrzenie.

- Hmm, to rzeczywiście kłopot - rzekła pani Xia z troską w głosie. - A ile jest mu pan winien?

Yaoma chrząknęła.

- Proszę pani, dobrze radzę - nie wytrzymała. - Niech pani najpierw poprosi starszego pana, żeby pomówił z panną Yu. Dziewczyna akurat jest na dole! Potem da mu pani...

- A, słusznie - zgodziła się pani Xia. - W tej chwili i tak nie mam przy sobie gotówki...

- Proszę rozmówić się z córką i przyjść znowu jutro - rzekła Yaoma do staruszka.

- Tymczasem postaram się o pieniądze i przekażę je panu przy okazji naszego następnego spotkania - oświadczyła pani Xia.

Chcąc nie chcąc, pan Yu kiwnął głową z aprobatą.

- W takim razie porozmawiam z córką, a jutro panią odwiedzę. W sumie z odsetkami potrzebne mi osiemset tysięcy...

Gdy Yaoma odprowadzała go w stronę wyjścia, pan Yu szepnął jej do ucha:

- Przyjdę wieczorem i wtedy z nią porozmawiam. Proszę jej nie mówić, że tu byłem. Dalej pójdę sam, po cichu - dodał, po czym na paluszkach zszedł po schodach.

- Proszę pani, niech pani nie będzie taka łatwowierna - rzekła Yaoma, wchodząc z powrotem do sypialni. - Temu staremu nie można ufać! Tatuś i córeczka mogą być w zмовie i na pewno chcą wyłudzić od pani pieniądze!

- Ach tak? - oburzyła się pani Xia. - Ostatnio jestem taka rozkojarzona... Niesłychane!

- Co za podłość! - wycodziła Yaoma ze złością. - Najpierw przypochebiają się naszemu panu, a teraz jeszcze chcą panią okraść...

- Ech, Yaoma... Ledwie usłyszałam, że może nie być tego rozwodu, całkiem straciłam rozum! Swoją drogą, hmm, jak myślisz, czy ona naprawdę chciałaby mi służyć?

- A czemu miałyby nie chcieć? Jest pani taka dobra!

- Skoro tak, to ja chętnie spełnię jej życzenie!

- Najlepiej, żeby porozmawiała z nią pani osobiście! Jeśli ma zostać konkubina, musi być posłuszna zwyczajom tego domu.

- Słusznie. Zawołaj ją tu, rozmówię się z nią.

- Proszę pani, proszę pani! Mogę jutro poprosić mamę, żeby nauczyła się razem z nami? - spytała Xiaoman w samym środku lekcji.

- Co to za pomysł, głuptasie? - odparła Jiayin z wymuszonym uśmiechem.

- Mówię poważnie, proszę pani! - zaprotestowała dziewczynka. W jej oczach wzbierały łzy. - Może wtedy nie ucieknie znowu na wieś? Może pani coś wymyśli, żeby nie wyjeżdżała?

Jiayin tylko spojrzała na małą z żalem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W tym momencie weszła Yaoma.

- Panno Yu - zwróciła się do Jiayin z kwaśnym uśmieszkiem - pani prosi panią na górę!

- Już idę. - Jiayin opanowała zaskoczenie i wstała. - Bądź grzeczna i poczytaj sama - poleciła dziewczynce.

W dusznej sypialni panował półmrok, rolety spuszczone były do połowy. Kobieta na łóżku zmierzyła Jiayin wzrokiem. Nie poprosiła jej, by usiadła.

- Dzień dobry, pani Xia. Słyszałam, że jest pani niezdrowa, czy już lepiej? - spytała Jiayin z udawanym spokojem.

- W tej chorobie lepiej? - odrzekła pani Xia kwaśno.

- Usiądź, mam ci coś do powiedzenia. Yaoma, zostaw nas - rzuciła do służącej.

Kobieta wyszła.

- Nie obchodzi mnie, co było - podjęła pani Xia.

- Kiedy zaczęłaś uczyć nasze dziecko, mieszkałam na wsi. Nie byłam w stanie w niczym wam przeszkodzić. A teraz, odkąd tu jestem, ciągle wysłuchuję pretensji! Nie będę zresztą drażnić tematu, jestem chora... Ale jeśli chcesz wejść do tego domu, do tej rodziny, musisz nakłonić go, żeby przestał myśleć o rozwodzie. Nic poza tym

mnie nie obchodzi. Przynajmniej nie będzie mógł powiedzieć, że mu zawadzam!

- Co też pani mówi, pani Xia? - zdumiała się Jiayin.

- Nie bądź taka wstydliva! Skoro już się z nim zadałaś - kogo teraz znajdziesz? To ja, pani tego domu, zwracam się do ciebie z prośbą - czy to ci nie pochlebia?

- Jakie znowu „zadałaś”? - przerwała jej Jiayin, nie mogąc powstrzymać gniewu. - Pani mnie obraża! - rzekła podniesionym głosem i wstała.

- Czyżbym mijała się z prawdą? Twój własny ojciec wszystko mi powiedział! Nie wierzysz - spytaj gospodynię!

- Czy pani wie, że oszczerstwo jest karalne?

- To idź do sądu! Nie chcę tego rozvodu - nie chodzi o majątek, po co mi pieniądze? Przecież i tak umieram!

- Niech pani nie straszy innych śmiercią!

- Przecież dobrze o tym wiesz. Już go uwiodłaś - czego jeszcze chcesz od niego? Po co tu przychodzisz teraz, gdy wróciłam? Może po to, żeby widywać się ze mną? Może chcesz mi coś powiedzieć? Jesteśmy kobietami, nie musisz się krępować!

- Przychodzę tu tak samo jak przedtem - bo nie mam nic na sumieniu i nie mam się czego wstydzić! Nie widzę powodu, by słuchać tych wszystkich bzdur i pretensji. - Jiayin odwróciła się w stronę wyjścia.

- Nie odchódź! - Ton głosu pani Xia natychmiast złagodniał. - Źle się wyraziłam... wybacz mi, mam taki zamęt w głowie! Widzisz, że jestem chora... Nic ci nie mówił? To nieuleczalne!

Słowa te poruszyły Jiayin. Spojrzała na panią Xia z niepokojem.

- Kiedy umrę, możesz przecież zostać główną żoną - kontynuowała pani Xia.

Jiayin znowu wpadła w gniew.

- Co to znaczy „źle się wyraziłam”? Takich rzeczy nie mówi się ot, tak sobie!

- Widzisz... Nie jestem zbyt elokwentna... - rzekła pani Xia przez łyzy. - I dobrze wiem, że do niego nie pasuję. Jeśli chcesz, wyjdź za niego, proszę cię tylko, żebyś poczekała jeszcze tych kilka lat, do mojej śmierci!

- To niewłaściwe czekać na czyjąś śmierć. A zresztą czy nie wywołałoby to jeszcze większych plotek?

Pani Xia wydała z siebie płaczliwy jęk i głośno wciągnęła powietrze. Do sypialni wpadła Yaoma.

- Proszę pani! Proszę pani, co się stało?

Gospośia zakrzętnęła się wokół chorej. Oklepała jej klatkę piersiową i plecy, podała soplwaczkę, a potem pigułkę i wodę do popicia.

- Yaoma, zostaw nas już - rzekła pani Xia, widząc, że Jiayin dalej stoi bezradnie z boku. - Panno Yu - ciągnęła - skoro i tak czeka mnie śmierć, nie powinno mi zbytnio zależeć na pozycji w rodzinie, prawda? Ale tak przynajmniej czuję, że mam męża i dziecko. Z taką myślą lżej umierać, nawet jeśli nie będzie ich przy mnie... Mówi się, że porzucona kobieta po śmierci staje się samotnym duchem, o którego nikt nie dba... - Rozplakała się znowu i straciła głos.

Jiayin, która cały czas stała jak wmurowana, uznała, że pora wyjść.

- Chorzy ludzie nie powinni mówić takich rzeczy, zadręczać się bez potrzeby - rzekła.

- Panno Yu, ileż ja jeszcze mogę żyć? Czy tych kilka lat to aż tak wielki wysiłek? Jest pani młoda, przed panią całe życie.

W Jiayin narastał sprzeciw.

- Mówi pani o życiu i śmierci... Gdyby pani spojrzęła na to wszystko rozsądnie, bez takich emocji...

- Rozsądnie! - zachnęła się pani Xia. - Widzę, że nie ma pani o niczym pojęcia... Przez te wszystkie lata... On cały czas tak mnie traktuje! Co ja mam za życie!

- To już sprawa między wami dwojgiem, nie między mną a panią.

- Panno Yu, tu nie chodzi tylko o niego, o nas. Jest jeszcze dziecko! Na razie mała nic nie rozumie, ale w przyszłości... Nie może pani pozwolić, by znienawidziła własnego ojca!

Jiayin ukryła twarz w dłoniach.

- Niech pani nie wywiera na mnie nacisku! On... Dostyc już się nacierpiał w życiu. Jak mogłabym przysparzać mu jeszcze więcej smutku?

Pani Xia z wysiłkiem podniosła się na łóżku.

- Panno Yu... Ja panią błagam!

- Nie, nie mogę się na to zgodzić - odparła Jiayin. Odsloniła oczy.

Była sama w pustym mieszkaniu. Zapadał zmierzch. Jej twarz odbijała się w szybie, na tle widoku nocnego miasta. Latarnie świeciły blado; we włosach Jiayin migotały pojedyncze iskry. Oblicze w szybie miało nieodgadniony wyraz - biła z niego jakaś nieziemska mądrość. Chcę, żeby umarła, pomyślała. Niech umrze jak najszybciej! Druga Jiayin, ta po tamtej stronie, spojrzała na nią ze smutnym uśmiechem.

- Jak możesz być taka podła? - powiedziała.

- Zrobię tak, jak ona chce - będę czekać.

- Czekać na jej śmierć?

- Ale... przecież tu chodzi też o niego!

- Skoro tak, to nie możesz pozwolić, żeby własna córka go znienawidziła, tak jak ty znienawidziłaś ojca!

Podjęła decyzję. Jej odbicie utonęło w ciemnym szkle niczym klejnoty wrzucone starożytnym obyczajem do morza dla przypiecztowania złożonej przysięgi. Wybiegła nagle. Muszę iść do niej, myślała. Muszę powiedzieć jej czym prędzej, zdjęć z niej ten ciężar...

Yaoma otworzyła drzwi.

- Znowu pani przyszła?

- Muszę jeszcze raz pomówić z panią Xia.

- Jeszcze czego! Nie dość jej pani zaszkoziła, tak? Może pani sobie pogratulować. Tym razem atak był silniejszy niż poprzednio. Jest w szpitalu.

- Ale czemu... tak szybko? - Oczy Jiayin wezbrały łzami.

- Po co to udawanie? Nie wracasz pani do domu świętować? Nasz pan ma prawdziwego pecha, że się zadał z taką zdzirą!

Zatrzasnęła drzwi. Ocierając łzy, Jiayin ruszyła z powrotem.

Gdzieś na dnie jej umysłu rozległ się szept: „Poczekaj. Być może nie będziesz czekała długo”. I zaraz potem drugi: „Idź, idź do niej czym prędzej! Kiedy wszystko jej powiesz, może poczuje się lepiej. Może będzie żyła!”

- Jiayin! - usłyszała nagle za plecami i drgnęła. Zongyu wszedł do jej pokoju.

- Ach, to ty! Jak się czuje twoja żona? Lepiej? - spytała.

- O, ty też wiesz?

- Właśnie wróciłam z waszego domu.

- Trochę lepiej, nie ma już powodów do obaw. Przybiegłem, żeby zamienić z tobą kilka słów... Bardzo się śpieszę, mam tylko parę

minut. Chodzi o twojego ojca. Narobił mi kłopotów. Powiedziałem mu kilka ostrych słów i kazałem nie przychodzić już do pracy.

- Tak - potwierdziła Jiayin machinalnie.

- Później wyjaśnię ci wszystko dokładnie. Po prostu nie chciałem, żeby powstały między nami jakieś nieporozumienia...

- Jesteś nazbyt ostrożny - odparła Jiayin z wymuszonym uśmiechem. - Ech, nie mam pojęcia, co on wyprawia!

- Potem wymyśli się jakieś rozwiązanie... Chciałbym przyznać mu miesięczną zapomogę. - Spojrzał na zegarek. - Teraz muszę pędzić do zakładu, wpadnę do ciebie w wolnej chwili.

Wychodził jednak z uczuciem, że Jiayin jest jakaś nieswoja. Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nie gniewasz się na mnie? Może w pośpiechu powiedziałem coś niewłaściwego...

- Nie, wcale nie - odparła Jiayin. - Nie mam powodu.

Zongyu jednak nie pozbył się niepokoju.

- A zresztą jak mogłabym gniewać się na ciebie? - dodała Jiayin z uśmiechem.

Odwzajemnił jej uśmiech.

- Wobec tego... - zaczął po chwili wahania - ...o siódmej wyjdę z fabryki, może mógłbym wpaść do ciebie na kolację?

- Zapraszam! - Uśmiechnęła się znowu.

- No to do zobaczenia.

Kiedy wyszedł, padła na łóżko z płaczem.

Ojciec zjawił się niedługo potem.

- Ojej, co z tobą? Właśnie przyszedłem ci doradzić! Powiedzmy, że będzie rozwód. Jeśli jego żona się nie zgodzi, sprawa może się ciągnąć latami - widziałem już takie historie. Jeśli się zgodzi, będzie chciała pieniędzy, przypadnie jej znaczna część majątku - tyle że nie będzie ci już stała na drodze...

Jiayin szlochała nadal, nie zwracając na niego uwagi. Pan Yu poklepał ją uspokajająco po ramieniu, po czym przysunął krzesło do łóżka i usiadł obok córki.

- Słuchaj taty, tata ma zawsze rację i chce tylko twojego dobra! Z taką chorobą ona i tak nie pożyje już długo. A przez te wszystkie awantury z rozwodem jej dziecko może zniechęcić cię do końca życia!

Jiayin poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Poderwała się z łóżka i chciała wybiec z pokoju, lecz ojciec złapał ją za rękę.

- Dziecko - podjął trzęsącym się głosem. - To przez tę drugą, z którą się ożeniłem... chciała legalnego ślubu, więc nie miałem innego sposobu, tylko zostawić twoją matkę, skazując was na niedostatek przez tyle lat. Wyciągnij wnioski!

Jiayin wyrwała rękę i znowu rzuciła się na łóżko z głośnym szlochem. Ojciec przysiadł obok.

- Który mężczyzna nie chciałby mieć konkubin? Czy istnieją tacy, którzy wolą swoje żony? W końcu jestem mężczyzną i coś o tym wiem! Gdybym nie ożenił się legalnie z tą drugą, być może nadal bym z nią był...

- Zamilcz już! - krzyknęła nagle Jiayin. - Znowu przyniosłeś mi wstyd!

Pan Yu poczuł się zbity z tropu.

- Kto ci powiedział?

- Zongyu, przed chwilą. I jak ja teraz przed nim wyglądam?

Pan Yu pokręcił głową z dezaprobatą.

- Ech... Ten człowiek nie ma sumienia! Po co on ci to wszystko opowiadał? A właściwie to... co mówił?

Jiayin znowu nie mogła wykrztusić słowa. Staruszek pochylił się nad córką i pogładził jej ramię.

- Nie płacz, dziecino, wiem, że stała ci się krzywda. Ludzie są różni, ale ojciec zawsze będzie cię kochał! Póki mi tchu w piersiach starczy, nigdy nie zostawię cię samej!

Jiayin nagle podniosła się na łóżku. Spojrzała na ojca bardzo uważnie, jakby czytała z jego twarzy swoją przyszłość. W jej oczach było tyle lęku i rozpacz, że nawet on poczuł się nieswojo.

- Tato, idź już, dobrze?

Pan Yu wstał posłusznie.

- Cokolwiek będzie, teraz odejdz. Mam już tego dość!

Starszy pan przeszedł się po pokoju.

- Wszystko, co ci radziłem, było dla twojego dobra. Przemyśl to sobie - oznajmił, po czym wyszedł.

Jiayin czym prędzej podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi. Postąpiła chwilę oparta o framugę, po czym zeszła na dół. Telefonicznie zarezerwowała bilet na statek do Xiamenu, a następnie wykręciła

kolejny numer. Nasłuchiwała z niepokojem. Ktoś odebrał, lecz nie rozpoznała głosu.

- Halo, czy to Xiujuan? - spytała. - Nie? Proszę, poproś panią do telefonu...

W tym momencie nadszedł Zongyu. Jiayin, ze słuchawką przy uchu, uśmiechnęła się i skinęła mu głową na powitanie. Mężczyzna, z owiniętym w papier pakunkiem pod pachą, radośnie podbiegł do schodów.

- Zaczekam na ciebie na górze! - powiedział.

- Halo? - odezwała się Jiayin do słuchawki. - Xiujuan, to ty? W porządku, ale mam kompletny zamęt w głowie... Muszę jutro wyjechać z Szanghaju. - Spojrzała w górę. - Gdzie on się podział? - Ściszyła głos. - Xiujuan... Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz... Kiedy już będę na miejscu, napiszę do ciebie, wszystko ci wytłumaczę... Do Xiamenu... Do pracy. Z tego ogłoszenia w gazecie... Całkiem niezłe warunki. - Uśmiechnęła się blado.

Zongyu, gdy już znalazł się sam w jej pokoju, zabrał się do rozpakowywania paczki. Było to prostokątne pudełko, obite brokatem, a w nim - para miseczek do ryżu, z cieniutkiej porcelany, taca, łyżki. Przyjrzał się temu wszystkiemu z zadowoleniem.

- Zobacz, co kupiłem! - zwrócił się do wchodzącej Jiayin. - Będziesz musiała więcej gotować, bo zamierzam wpadać częściej na kolację!

- Szkoda, że się nie przydadzą... Jutro wyjeżdżam - oświadczyła Jiayin.

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

Jiayin postawiła na łóżku otwartą walizkę i zabrała się do pakowania.

- Wracam na wieś.

Zongyu stał za nią, paląc papierosa. Uśmiechnął się.

- Jedziesz do matki... powiedziec jej... o nas, tak?

Jiayin milczała. Po chwili pokręciła głową.

- Zamierzam wziąć ślub... z moim dalekim kuzynem - odparła.

Zongyu z trudem opanował emocje.

- Z kuzynem? Nic mi nie wspominałaś...

- Taka zawsze była wola mojej matki.

- A ty... czy go kochasz?

Jiayin znów pokręciła głową.

- Miłość rodzi się powoli - odparła. - Z czasem zawsze pojawia się uczucie, nie wolno tylko poddawać się uprzedzeniom...

Zongyu oniemiał.

- Ale przecież nie może nam być wszystko jedno, z kim się wiążemy! - powiedział w końcu.

- Tak, ale... Weźmy za przykład twoją żonę. Gdybyś nie był do niej uprzedzony na początku, gdybyś miał pozytywne nastawienie, to na pewno i ona traktowałaby cię inaczej. I kto wie, może nie zachorowałaby tak ciężko...

- Jiayin! Kto ci naopowiadał takich rzeczy? - wybuchnął Zongyu.

- Jest jeszcze mój ojciec. Widzę, że nie chcesz już mieć z nim do czynienia. Cóż - narozrabiał, a dawanie mu pieniędzy jest czystą stratą. Nie potrafię myśleć o nim jak o ojcu... - ciągnęła bezładnie, a Zongyu wpatrywał się w nią z przestraszaniem.

- Nie rozumiem cię, Jiayin - przerwał. - Jeśli nie rozumiem nawet ciebie... Czuję, że nagle przestałem rozumieć cokolwiek! Chyba oszaleję...

Jiayin ze spuszczoną głową układała rzeczy w walizce.

- Jiayin! - nie wytrzymał Zongyu. - Czy to, co było między nami, już zupełnie się nie liczy?

Rozejrzał się po pokoju skąpanym w świetle lampy. Ich wspólne sprawy już na zawsze pozostaną w tym pomieszczeniu, będą toczyć się tutaj, pod tą lampą, jak we śnie. Czas w snach rządzi się innymi prawami - mgnienie oka na jawie we śnie staje się wiecznością. Wydawało się, że znają się od lat, lecz w rzeczywistości nie miało to już żadnego znaczenia.

- Co naprawdę czujesz, wiesz tylko ty - rzekł chłodno.

- Tak. Tylko ja - potwierdziła Jiayin.

Wyjmując rzeczy z szuflady, by poprzekładać je do walizki, trafiła na motek wełny i niedokończoną robótkę. Wzięła małą rękawiczkę i zaczęła ją gwałtownie pruć. Kłębek włóczki stoczył się na podłogę. Zongyu milczał, wpatrując się w smużkę dymu, unoszącą się z końcówki papierosa. Jiayin położyła motek na stole i pruć dalej.

- Jeśli odejdziesz... Xiaoman będzie okropnie rozpaczała - rzekł Zongyu po chwili.

- To jeszcze małe dziecko. Szybko o wszystkim zapomni.

- Dziecko... Szybko o wszystkim zapomni - powtórzył powoli.

Jiayin mimowolnie spojrzała na niego z żalem. Czym prędzej odwróciła wzrok i przeniosła go na duże okrągłe lustro, lecz zobaczyła w nim tę samą twarz. Jego postać nie ukaże się więcej w tej księżycowej bramie. Tafla szkła niedługo nie będzie odbijała już nic prócz pustki.

- Więc wyjeżdżasz jutro? - spytał Zongyu.

- Tak.

Zgasił papierosa na spodku. Spojrzał na pudełko z naczyniami, wciąż stojące na stole, i zaczął zawijać je w ten sam papier, w którym zostało przyniesione. Bibuła szeleściła sucho.

- Odprowadzę cię na statek - zaproponował.

- Nie trzeba.

- W porządku - rzucił krótko. - A więc... - Wstał nagle i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jiayin opadła na stół z płaczem, obok kłębow spłątanej włóczki. „Rozcięte, lecz nierozdzielone; ułożone, lecz w nieładzie”. (Cytat z wiersza poety Li Yu (936 - 978); kolejne słowa brzmiały: „ - oto jest smutek rozstania” (przyp. tłum.).)

Nazajutrz zjawił się, by ją odprowadzić, Jiayin jednak już nie było. Miał wrażenie, że za drzwiami jej pokoju rozbrzmiewa jakaś niezwykle głośna muzyka - gotowa wybuchnąć, gdy tylko otworzy drzwi. Nacisnął klamkę. Zobaczył żelazne łóżko bez materaca, lustro, kuchenkę, komodę z powysuwanymi chaotycznie szufladami. Gazety, którymi kiedyś je wyłożono, walały się po podłodze. Do połowy wypalona świeca stała na talerzyku na stole, obok wciąż piętrzył się kłęb spłątanej włóczki. Pudełko z naczyniami leżało dokładnie w tym samym miejscu, w którym je zostawił. Wyjął chusteczkę, żeby otrzeć łzy, i poczuł zapach perfum. Jego wzrok powędrował w stronę okna - na parapecie stał obtłuczony flakonik, a w nim zwiędły kwiat. Wyjął go i wyrzucił, po czym wychylił się przez okno, spoglądając na niezliczone dachy i kalenice. Gdzieś na horyzoncie, z daleka od czarnego, hałaśliwego, kłębiącego się w dole ludzkiego mrowia, dwukrotnie zabrzmiał czysty dźwięk syreny okrętowej.

Kwiaty

Yin

Baoyan

Ktoś zadzwonił do drzwi - poszłam otworzyć. W drzwiach stała bardzo ładna dziewczyna o kociej urodzie: duże oczy, drobne usta, okrągła twarz o regularnych rysach i kształtnym podbródku. Ubrana była w tradycyjną suknię qipao z cienkiej jasnoszarej wełny, luźno układającą się na figurze. W ręku trzymała bukiet z lilii i orchidei. Wydała mi się odrobinę postarzała, lecz wrażenie to nie miało nic wspólnego z jej powierzchownością - to raczej wina oświetlenia, a może moich oczu, zmęczonych czytaniem wydrukowanego drobnym maczkiem tekstu.

- To ty, Ailing? (Ailing - tak brzmi po chińsku imię autorki (przyp. tłum.)) - spytała. - Poznajesz mnie?

Yin Baoyan uczyła się w tej samej szkole co ja, dwa lata wyżej ode mnie. Nigdy się nie przyjaźniłyśmy, lecz mimo to doskonale ją zapamiętałam. Wyglądała dużo drobniej niż wtedy, pewnie dlatego, że ja sama bardzo urosłam. Przy niej nagle poczułam się przesadnie wybujała. Zmieszana zaprosiłam ją do środka i podziękowałam za kwiaty.

- Jak to miło z twojej strony! Nie trzeba było. Przecież obie jesteśmy kobietami, pomyślałam. To nie odwiedziny u chorej, więc po cóż ten bukiet?

- Wierzę w dawanie kwiatów - oświadczyła żarliwie, rozwiązała bukiet i włożyła do wazonu. Poprosiłam ją, by usiadła na kanapie. Przechylając się na oparcie, objęła się ciasno ramionami; wyglądała na spiętą.

- Zazdroszczę ci, Ailing. Przeczytałam twoją książkę i od razu pomyślałam: ach, muszę się spotkać z Ailing, muszę koniecznie się z nią zobaczyć! Chciałabym być taka jak ty...

Ku mojemu zaskoczeniu jej oczy wezbrały łzami - duże, szeroko rozstawione, lśniły niczym diamentowe kolczyki po obu stronach twarzy. Przechyliła głowę i przyjrzała im się uważnie w dużym lustrze, na tle odbicia czerwonych orchidei, po czym wyjęła chusteczkę i ostrożnie przyłożyła ją do dolnych partii policzków, w sporej odległości od oczu.

Baoyan spędziła z nami tylko pół roku. Od początku nasz dziekan miał na nią oko - była prawdziwą gwiazdą. Nawet tu, w tej misjonarskiej szkole, gdzie panowała surowa dyscyplina, dostawała mnóstwo listów miłosnych, co sprawiało nie lada kłopot zarówno jej, jak i wychowawcom. Na każdej uroczystości szkolnej, gdy śpiewała

albo grała w przedstawieniu, słychać było drżące okrzyki: „Ach! Co za dziecko!”

Nasza umywalnia składała się z boksów o ściankach z drewna pomalowanego na ciemnoczerwony kolor, które pokrywał szarawy osad od spływającej wody i drobinek naskórka. Pod kranami z bieżącą wodą zainstalowano wielkie ciemnozielone misy; w ich głębi majaczyły białawe kręgi brudu. Na wiecznie mokrej szarej cementowej podłodze nie miałyśmy gdzie postawić butów. Strach było powiesić ubranie na niskich drzwiczkach, pod którymi przebiegały odpływy. Wiał silny wiatr, lodowate powiewy przynosiły odór z pobliskich ustępów. Mimo to wszystkie chętnie okupowałyśmy umywalnię, ciesząc się ogłuszającym szumem płynącej wody; przekrzykując go, rozmawiałyśmy ze sobą. Raz usłyszałam, jak ktoś zawołał:

- Baoyan! Podobno mają grać Wachlarz młodej pani w Olympicu! To prawda, że zaprosili cię na gościnne występy?

- Ee tam.

- Twoje zdjęcia są na afiszach!

- To nie ma dla mnie znaczenia. Oni tam na niczym się nie znają. Muszę się jeszcze nauczyć przyzwoicie śpiewać!

Jej rozmówczyni włożyła nogę do zimnej wody i zaczęła się pluskać, wydając piskliwe okrzyki.

- Hej! - zaprotestowała Baoyan. - Nie wrzeszcz tak, bo stracisz głos!

Po chwili sama też weszła do wody, pisnęła, roześmiała się głośno i zaczęła śpiewać. O sole mio! - wysoki trel wzleciał w powietrze niczym biały gołąb i poszybował, zostawiając w tyle ułożone życie studentki - panienki z dobrego domu, wzniosł się wysoko ponad dolinę kobiecego losu i dalej w górę, ku blaskowi wiecznej sławy.

Dźwięczne „O o o o o!” i „A a a a” wibrowało niczym drżący płomyk w pękatym, szklanym wnętrzu wiecznej lampy oliwnej, palącej się dzień i noc przed posągiem Buddy.

- Ach, Ailing, chciałabym być taka jak ty... Zazdroścę ci twojego spokoju. Pewnie nie wychodzisz za często? Ja mam już dość całego tego hałasu, tego szumu. Nie warto. Po tym wszystkim doszłam do wniosku, że tylko w sztuce można znaleźć ukojenie. Wierzę w sztukę. Wiesz, jest tyle rzeczy, które zawsze chciałam

opisać, ale nigdy nie miałam na to czasu. Zdrowie też mi nie dopisuje, to moje ramię, zobacz tylko... Rosjanin, który uczył mnie śpiewu, radził mi odpocząć kilka lat - biedaczek nie ma pojęcia, jak wygląda ten mój odpoczynek. Ledwie zyskałam trochę wolnego, zaczęłam uczyć się francuskiego, włoskiego, pomagać panu Luo tłumaczyć Historię muzyki... W Chinach do dzisiaj nie wydano przyzwoitej historii muzyki, pan Luo naprawdę zmobilizował mnie do pracy... Ale ty przecież nie znasz mojej historii, prawda?

Baoyan zarumieniła się, jej głos przycichł. Znowu wyjęła chusteczkę - tym razem naprawdę osuszyła oczy, ale łzy napływały na nowo, coraz więcej i więcej; krople nie spływały w dół, lecz pęczniały niczym bąbelki w kącikach ust dziecka zbierającego w ustach musującą lemoniadę, której szkoda mu przełknąć.

- Pan Luo zawsze mówił: „Baoyan, taka inteligentna dziewczyna, jaka szkoda!” Wiesz, że nigdy nie przykładałam się do nauki. Ale potem naprawdę przysiadłam fałdów - uczył mnie z takim zaangażowaniem, że wstydziłabym się lenistwa. Studiował w Ameryce, bywał też w Europie, zna francuski i włoski. Chciał przekazać mi jak najwięcej swojej wiedzy.

Przez okno wpadał ciepły blask wiosennego popołudniowego słońca. Powiew wiatru uniósł podciągniętą do połowy ciemnozieloną roletę, zakołysał linką zakończoną drewnianym koralikiem. Wypłowiełe bordowe zasłony, nawleczone starannie na złocisty karnisz, poruszały się bezustannie, przypominając to pofałdowaną muszlę małża, to wydymający się żagiel: materiał, szkarłatny w blasku słońca, w cieniu - wpadał w zgaszoną purpurę. Kolejny powiew ukazał nam rąbek błękitu - może tak właśnie wygląda niebo francuskie albo włoskie. Pogodny dzień przepływał za oknem jak rzeka, muskając parapet, całując mury, niczym fale obmywające burty statku. Słońce skryło się na chwilę - statek przepłynął pod mostem - i znowu nastał blask.

- On mnie skrzywdził, Ailing. Przedtem miałam przyjaciół - teraz nie potrafię się z nimi porozumieć... W społeczeństwie bardzo mało jest takich osób jak my. Zresztą na pewno już to odkryłaś. Ach, Ailing, nie wiesz, jak to ze mną jest... Teraz widujemy się bardzo rzadko. Ciągle myślę: chcę się spotkać z Ailing, porozmawiać z Ailing. Czytałam, co pisze, na pewno się dogadamy...

- Dlaczego rzadko się widujecie? - spytałam. '!' Zaśmiała się swobodnie.

- To nie miało sensu. Chudł z dnia na dzień, żona też, a ja, z tą moją ręką... Teraz z naszej trójki przynajmniej jego żona przybiera na wadze!

Chciała, żebym opisała jej historię. Uprzedziłam ją, że wcale nie piszę tak dobrze, jak jej się wydaje.

W dniu, gdy spotkała go po raz pierwszy, jej przyjaciółka Li Zhen umówiła się z nią na uniwersytecie. Baoyan przyszła trochę za wcześnie - trwał jeszcze wykład.

Li Zhen zobaczyła ją przez okno i zamachała do niej, żeby weszła do sali. Wykładowca, który też dopiero przyszedł, z zaciśniętymi ustami i ponurą miną kartkował książkę. Li Zhen zaciągnęła Baoyan na miejsce obok i szepnęła:

- To nowy. Śmieszny facet.

Profesor Luo Qianzhi nosił okulary w czarnych oprawkach. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany i elegancki, oparł się rękoma o biurko i oświadczył smutnym tonem:

- Szekspir był wielkim pisarzem. Powinien być uwielbiany przez wszystkich ludzi na całym świecie.

Omiótł salę posepnym, pełnym zwątpienia spojrzeniem, przekonany, że żaden ze słuchaczy nie jest w stanie pokochać Szekspira.

- Szekspir był wielki - powtórzył na przekór wszystkiemu, unosząc wyzywająco podbródek. - Wielki. - Schylił głowę, ale tylko nieznacznie, zerkając przy tym na słuchaczy. - Wielki. - Opuścił głowę w geście ostatecznego potwierdzenia, jakby na ziemię padł ciężki głaz; pod jego zuchwą zarysowały się dwa zdecydowane podbródki. - Gdybyśmy mieli dziś znaleźć odpowiednie słowo na opisanie Szekspira... Gdyby wszyscy miłośnicy literatury na całym świecie chcieli opisać Szekspira jednym słowem... - Zaczął intensywnie gestykulować, niczym dyrygent prowadzący orkiestrę, jakby chciał wydobyć z ruchów powietrza owo niezwykle słowo.

Mówił po angielsku płynnie i radośnie; melodia jego słów, przypominająca recytację starochińskich tekstów, upajała niczym wino. Naraz, odsłaniając równy rząd białych zębów, uśmiechnął się do wszystkich.

Gestykulował w bardzo szczególny, wdzięczny sposób - nie mechanicznie, jakby wkręcał śrubę; jego ruchy przypominały raczej delikatne muskanie, niby owadźmi skrzydełkiem, jakby wygładzał włókienka na ubraniu jakiejś niewidzialnej ludzkiej postaci. Obie ręce poruszały się w zgodnym rytmie, z niezwykłą precyzją.

- Julia miała czternaście lat. Dlaczego akurat czternaście? - podjął z entuzjazmem. - Bo Szekspir doskonale wiedział, jakie są przymioty niewinnej, czystej, czternastoletniej dziewczyny! Czternaście lat! Dla takiej sam oddałbym wiele! - Cmoknął z miną smakosza. Cała sala wybuchnęła gromkim śmiechem.

- To niezła sztuka - powiedział ktoś. - Trochę humorystyczna.

Baoyan nie mogła przestać chichotać. Wykładowca zauważył to i nagle spowaźniał.

- Teraz każdy z was odczyta fragment - polecił - poczynając od pierwszej osoby w ostatnim rzędzie!

- Ona jest wolną słuchaczką - zaprotestowała Li Zhen, ale profesor nie dosłyszał.

Zapadła cisza.

- Umie pani po angielsku? - spytał kąśliwie. W przypiływie przekory Baoyan zaczęła czytać.

- Grywa pani w teatrze? - przerwał jej wykładowca.

- O tak, całkiem często - odpowiedziała za przyjaciółkę Li Zhen.

- Hmm. Sztuka dramatyczna ma to do siebie, że gdy już postanowimy się jej poświęcić, trzeba się mocno przyłożyć... ale to naprawdę mocno - rzekł. Zabrzmiało to, jakby nie wróżył Baoyan świetlanej przyszłości.

Li Zhen nie była pewna, co profesor miał na myśli, lecz poczuła potrzebę obrony przyjaciółki.

- Ona uczy się śpiewu - oznajmiła stanowczo.

- Śpiewu. - Nauczyciel westchnął. - To bardzo trudne! A historii muzyki uczyła się pani?

Baoyan nie uczyła się. Po zakończeniu wykładu, ciągnąc za sobą Li Zhen, dopchała się do podium i poprosiła profesora, by polecił jej jakieś książki o historii muzyki. Profesor, który z taką swobodą, wręcz frywolnie odnosił się do bohaterów Szekspira, w konfrontacji z prawdziwą młodą kobietą był raczej spięty i niepewny. Założył tomik Szekspira palcem, spojrzał obojętnie na swoją rozmówczynię, po czym zatrzasnął książkę, zamknął oczy i spokojnie przyjął smutną

prawdę: taka dziewczyna jak ona z całą pewnością nie zainteresuje się bliżej historią muzyki. Tak już urządzony jest ten świat: śpiewające dziewczęta nigdy tego nie rozumieją. Westchnął, otworzył oczy i z czystego poczucia obowiązku wyciągnął pióro, by wypisać listę lektur, nie zastanowiwszy się nawet, czy ma przy sobie papier. Baoyan czym prędzej wyrwała przyjaciółce zeszyt i podsunęła profesorowi. Poruszony tym nagłym gestem doszedł do wniosku, że nawet jeśli ten młodzieńczy zapał nie potrwa dłużej niż pięć minut, to i tak stanowi rzadkie, cenne zjawisko.

- Mam kilka pozycji, które mógłbym pani pożyczyć - powiedział, wpisując do zeszytu swój adres.

Baoyan wybrała się do profesora w pewien słotny, zimowy dzień. Tuż za tylnymi drzwiami domu, w którym mieszkał, stała żółto - czerwona parasolka z olejowanego papieru, zapewne pozostawiona do wyschnięcia. Baoyan weszła do kuchni.

- Czy zastałam profesora Luo? - spytała.

Starsza kobieta stojąca przy zlewie odwróciła się i zawołała w stronę wnętrza:

- Ktoś do pana Luo!

Z mieszkania wyszła młoda kobieta z dzieckiem na rękę, okryta dużym wełnianym szalem, dzięki czemu jej ramiona wydawały się jeszcze bardziej spadziste - dodawało to sylwetce kobiecości. Ta dama o drobnych, pięknych rysach musiała być jego żoną. Zaprosiła Baoyan do środka. Państwo Luo mieszkali w dwóch pokojach na parterze - niedużych, lecz mało zagraconych; pustka ta wywoływała jednak przygnębiające wrażenie. Biurko Luo Qianzhi i biblioteczka zajmowały jeden z rogów salonu. Profesor siedział smętnie przy biurku w skrojonym na zachodnią modłę płaszczu - panował dotkliwy chłód. Nie przedstawił Baoyan swojej żonie; zajęty swoimi myślami, poprosił ją, by usiadła, a sam zaczął szukać dla niej książek. Baoyan ze wstydliwym uśmiechem przekartkowała podane jej tomy, po czym nieśmiało spytała, czy nie ma czegoś łatwiejszego. Zaprzeczył. Niewątpliwie doszedł do wniosku, że i z tych łatwiejszych wiele by nie rozumiała. Zaoferował jej więc dodatkowe lekcje. Baoyan zastanawiała się, czy powinna zaproponować mu zapłatę, lecz doszła do wniosku, że z pewnością nie przyjmie pieniędzy - wręcz mógłby potraktować to jako zniewagę. Ucieszyła ją ta myśl - co prawda, chodziło głównie o zaspokojenie szlachetnej żądzy wiedzy, lecz

świadomość zaoszczędzenia paru groszy także sprawiała jej satysfakcję.

Luo Qianzhi zawsze marzył o przetłumaczeniu na chiński pełnego kompendium historii muzyki.

- Od czasu powrotu do kraju jakoś nie miałem nastroju, żeby się tym zająć. Tutejsza depresyjna atmosfera raczej nie sprzyja twórczym zajęciom, toteż w wolnym czasie po prostu udzielam korepetycji. Lecz pani ma w sobie tyle entuzjazmu... sam od lat nie czułem takiego zaangażowania jak w tej chwili.

Baoyan była pełna zapału. Przychodziła codziennie po kolacji i pracowali razem. Pani Luo krzątała się obok, a gdy jej nie było, zawsze bawiło się w pobliżu jedno lub dwoje dzieci. Gdy Luo Qianzhi narzekał na hałas, jego żona mawiała:

- Jak tylko wyganiam ich na dwór, natychmiast zaczynają się awanturować! Staruszka z trzeciego piętra dopiero co się na nich skarżyła.

Baoyan uśmiechała się w duchu i myślała: „Ależ nas pilnujesz. Twój mąż jest wprawdzie szacownym profesorem, ale mógł mi zwyczajnie wpaść w oko - w końcu jestem samotna, prawda?”

Baoyan często przynosiła ze sobą różne rzeczy, zgodnie z porą roku i okazją - dobrą wędlinę, arbuzy, mleko w proszku, ubranka dla dzieci, które szył krawiec zatrudniany przez jej rodzinę, ale nigdy nie dawała przy tym odczuć, że im pomaga. Wnosiła jedynie radość, entuzjazm, ciepło młodego kobiecego serca. Państwo Luo jednak często się kłócili. Profesor był porywczy, skłonny nawet do rękoczynów.

- Musisz przyznać, Ailing - powiedziała Baoyan - że wszyscy artyści są odrobinę szaleni.

Spojrzała na mnie z taką troską, że spłoszona uśmiechnęłam się słabo i przytaknęłam.

Tak minęły trzy lata. Żona Luo Qianzhi stopniowo przekonywała się, że Baoyan nie ma zamiaru uwodzić jej męża. Upokarzała ją ta jej czystość, szlachetność - czuła się przy niej gorsza, małostkowa. Już nie przebywała tak często w ich towarzystwie, a dzieci wysyłała do drugiego pokoju. Zdarzało się jednak, że umyślnie siadała w zasięgu ich wzroku, usprawiedliwiając się w myślach: „No i co? W końcu to mój dom!”

Tak jak teraz. Jasne światło lampy osłoniętej kloszem z zielonego szkła padało na bladoróżową bibułę i żółtawą dłoń Baoyan. Dziewczyna spojrzała na panią Luo, która trzymała młodsze, trzyletnie dziecko na kolanach. Oboje chrupali sezamki. Miękkie długie włosy okalały twarz matki, podobną do wizerunku Matki Boskiej. Nie wiadomo, o czym kobieta myślała. Pochyliła się i przyjrzała dziecku, jakby sprawdzając, czy wszystko w porządku, po czym, uspokojona, znowu oddała się jedzeniu. Maluch odwrócił się i zajrzał do zawiniątka z gazety w ręku matki, z zadowoleniem upewnił się, że są tam jeszcze dwie sezamki, i żuł dalej. Po chwili jednak znowu zaczął się wiercić - wyciągnął rączkę po przysmak, lecz nie mógł go dosięgnąć, spróbował znowu, wyteńczył się - matka nie pomogła mu ani też nie przeszkodziła, spokojna niczym Madonna i zajęta własnymi myślami; od czasu do czasu strzepywała tylko drobne okruszki z ubrania swojego i dziecka.

Spojrzenie Baoyan padło na Qianzhi. Było w nim pytanie: „Jak to możliwe? Taki mężczyzna jak ty, z taką kobietą...?”

Luo zrozumiał i uśmiechnął się; śmiech ten pochodził z głębi duszy. „Ona jeszcze bardziej niż ja zasługuje na współczucie”.

Zdjął okulary. Jego powieki miały charakterystyczną mongolską fałdę, skrywającą gałki oczne. Nie nadawało to jednak wzrokowi głębi, raczej sprawiało wrażenie wycofania. Było to spojrzenie skrzywdzonej niewolnicy.

Opowiadał jej sporo o sobie. Za granicą był niezwykle pilnym studentem; kiedy jednak wrócił do kraju, jego trud nie spotkał się z nagrodą. Rozczarowany i opuszczony, ożenił się z biedną krewną, co wcale nie ulżyło jego samotności.

Zazdrościł Baoyan świata, w którym żyła; wydawało się, jakby brał na niej odwet, zasypując ją stertami grubych książek, zadając jej mnóstwo pracy. Baoyan nie protestowała, a gdy czegoś nie wiedziała, rzucała przekornie, jak gdyby nigdy nic: „Zapomniałam!” Potem posyłała mu spojrzenie swoich pięknych oczu, a następnie składała samokrytykę: „Oj, oj! Musiałam już to czytać, a teraz, kiedy pan pyta, okazuje się, że wszystko wyparowało mi z głowy!” Kiedy w końcu zrobiła sobie przerwę i nie pojawiła się przez dwa kolejne dni, Qianzhi wpadł w panikę i zaczął szukać sposobów, by ją na nowo zachęcić, starał się wzbudzić jej zainteresowanie chińskimi powieściami.

Trudno powiedzieć, kiedy zaczął do niej pisywać. Widywali się codziennie, mimo to pisał do niej bardzo długie listy - dla niego były pełne smutku, dla niej - niosły ze sobą nadzieję. Zachęciło ją to do pisania pamiętnika w formie listów. Zaczynały się one od słów: „Drogi, szanowny panie Luo Qianzhi”.

Pewnego dnia wręczył jej następujący list: „W moich myślach jesteś dla mnie najdroższą córką, księżniczką, purpurową orchideą na moim grobie, moją pociechą, jesteś jak wspomnienie mojej matki z dziecinnych lat. Moja miłość do Ciebie zdaje się przeciwna naturze, występna, a zarazem beznadziejna i pełna rozpacz, w tej rozpacz kryje się świętość. Moja Yan - pozwól mi tak Cię nazywać, choćby tylko na papierze!”

Baoyan odchyliła się na oparcie krzesła i doczytała do końca. Nikt jeszcze nie kochał jej w taki sposób. Żadna miłość nie dorównywała tej miłości. Wyciągnęła przed siebie rękę z listem, jakby chciała mu go zwrócić

- nie wziął kartki, lecz chwycił jej dłoń, która bezwładnie opadła. Wydawało się, że szelest papieru dobiega z bardzo daleka. Czuła się jak w półśnie - raz była sobą, raz kimś innym, jakby nie do końca się przebudziła. Czerwony blask lampy padał na twarz Baoyan. Niepewność, czy to wszystko zdarza się jej, czy też komuś innemu, powoli bladła.

- Kochasz mnie? - spytał Qianzhi nieprzytomnie.

- Tak. Ale to nie ma sensu - odparła.

Wsunął dłoń wyżej, w głąb jej rękawa. Nagle wróciła do rzeczywistości.

- Mówię ci: Nic z tego nie będzie! - oznajmiła. Wstała; przed wyjściem zajrzała jeszcze do sypialni, do jego żony i dzieci. - Spicie już? To do jutra! - rzuciła, jak gdyby nigdy nic. Czuła w sobie jakąś nową swobodę, radość zwycięstwa.

Jego natomiast ogarnęło przygnębienie.

- Nie miałem już w życiu nadziei. A potem przyszłaś ty i mi ją dałaś - mawiał, jakby to ją chciał obarczyć odpowiedzialnością. Okazywał też coraz mniej cierpliwości żonie. Ich gosposia zaczęła dzwonić po Baoyan przy każdej awanturze.

- Tylko mnie słuchał - ciągnęła Baoyan. - Cokolwiek wyprawiał, wystarczyło, żebym przyszła i roztoczyła swój charm, powiedziała: Darling...

Wiosenne słońce schodziło coraz niżej. Z pobliskiego kościoła dobiegał głuchy dźwięk dzwonu. Pogodna niedziela z wolna przepływała za oknem.

Minęły kolejne trzy lata.

Pewnego dnia przyniosła kraby. Przyrządziły je wspólnie z jego żoną. Qianzhi pił wino do kolacji; po krabach zjedli zupę imbirową. Kiedy znaleźli się sam na sam, nagle przysunął się do niej. Pachniał kwiatami osmanthusa. Nie piła wina, lecz poczuła zawrót głowy; w jednej chwili stała się drobna, potulna. Chwycił ją za ramiona - skurczyła się tak, że jej barki niemal zetknęły się ze sobą, a jego dłonie - prawie złączyły. Pocałował ją tylko raz. Lodowate szkło okularów przylgnęło do twarzy dziewczyny. Nagle rozjaśniło się Baoyan w głowie. Poczowała wstyd. W uszach dudniło, jakby była pijana, lecz poza tym panowała kompletna cisza - ani w salonie, ani w pokoju obok nie rozległ się nawet najłżejszy szelest. Gdyby ktoś otworzył drzwi, była gotowa go odepchnąć, lecz nikt się nie zjawił.

Nie życzyła sobie, żeby odprowadzał ją do wyjścia. Była niespokojna i przygnębiona. Dotąd sądziła, że jego miłość jest posłuszna, że nie wyrwie się spod kontroli.

Przechodząc przez kuchnię, zapaliła elektryczną lampę. Służące spały na rozkładanych pryczach, chrapiąc każda po swojemu, z półotwartymi ustami. Na bambusowym drągu suszył się niebieski fartuch; ta - ta - ta - kapało z niewyżętego płótna. Kura na jutrzejszy rosół wierciła się w żelaznym wiadrze, pogdakując z cicha. Baoyan wyszła; wszystko to napawało ją wstrętem.

Nigdy już nie pozwoli na coś podobnego. To pierwszy i ostatni raz.

Od tamtej pory Qianzhi, ilekroć spojrział na jej usta, znajdował odpowiedź na wszystkie swoje gorzkie pytania. Był jak ślepiec, który po długim życiu w ciemności nagle ujrzał światło. Kiedy spoglądał na nią, nawet w obecności kogoś innego, cały świat z wyjątkiem jej warg krył się za mgłą. Dla niego wszystko stało się proste. Baoyan zaś ogarnął lęk. Obawiała się, że Qianzhi w końcu się zapomni, uchybi konwenansom. Nie chciała go odwiedzać. Starał się więc umawiać z nią poza domem.

Przez telefon często twierdziła, że jest zajęta, obiecywała, że zadzwoni do niego w wolnej chwili.

- Tylko zadzwoń wcześniej - prosił.

- Dobrze, zadzwonię o piątej rano - wystarczy? - żartowała, próbując ukryć własną rozpacz.

W czasie spotkań całował ją i wyraźnie liczył na coś więcej. W związku z tym zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby jednak widywać się u niego w domu. Rozważali jego rozwód. Tak czy inaczej, każda decyzja musiała oznaczać czyjeś cierpienie. Qianzhi dzień w dzień kłócił się z żoną, z dziećmi też układało się fatalnie. Baoyan starała się ich wszystkich pocieszyć. Raz przyniosła ciasto na pierożki i nadzienie, specjalność jej rodzinnego domu, i krzątała się pilnie w kuchni. Pani Luo podejrzewała ją, lecz jednocześnie onieśmielała, przerażała ją szlachetność dziewczyny. Z czasem niewątpliwie doszła do wniosku, że jej podejrzewania jednak nie były pomyłką - Baoyan zauważyła, że tamta stała się twardsza, bardziej nieustępliwa, i że dużo rzadziej płacze.

Pewnego dnia, o świcie, po Baoyan przybiegła służąca.

Granatowy płyn z rozbitej butelki tuszu rozlewał się w wielką plamę. Żona Qianzhi, oparta o ścianę, osuwała się na podłogę. Służąca podbiegła, by ją podtrzymać.

- Ech, ten nasz pan! - gderwała oburzona. - A pani jest w trzecim miesiącu ciąży. W trzecim miesiącu!

Baoyan osłupiała. Złapała Qianzhi i odciągnęła go z całej siły.

- Jak możesz?! - wychrypiała. - Jak możesz...!

Łzy płynęły jej po policzkach. Wciągnęła powietrze, odepchnęła go i zajęła się panią Luo. Pomogła jej usiąść, objęła ją.

- On chyba oszalał. Coraz bardziej traci panowanie nad sobą. Znasz go, nie warto z nim dyskutować! Trzeci miesiąc! - Roztrzęsiona kobieta, wyrzucała z siebie chaotyczne zdania. - Trzeba się przygotować, uszyjemy mu ubranka, ach, Baobao będzie teraz starszym braciszkiem, nie będzie już tyle płakał, trzeba słuchać mamy i taty, wiesz?

Kiedy Baoyan od nich wychodziła, był już wieczór, padał drobny deszcz, lecz ciemność jeszcze całkiem nie zapadła. Brudnożółte mury odcinały się na tle szarego nieba, drogi przypominały czarne lustra. Nie zapalono jeszcze latarni - dostrzegła w oddali tylko jedno światło, które zamigotało i zgasło.

Czuła się niezręcznie, opowiadając mi o tym wszystkim - obie nie byłyśmy jeszcze mężatkami. Powiedziała tylko:

- Bardzo dawno u nich nie byłam. Mam nadzieję, że są szczęśliwsi. Podobno jego żona nieźle się zaokrągliła.

- A on?

- Schudł jeszcze bardziej. Jest cienki jak kij bambusowy, o taki. - Zbliżyła do siebie dłonie.

- Ojej!

- Choruje na gruźlicę. Wygląda, jakby miał niedługo umrzeć. - Uśmiechnęła się smutno, jakby wybacząco. - W porze posiłku zawsze kładzie moje pałeczki na stół, tak jakbym tam była, przyrządza moje ulubione potrawy. Ailing, zastanów się, proszę, co byś zrobiła na moim miejscu?

- I tak mnie nie posłuchasz. Ale poradzę ci: Rozejrzyj się wokół siebie, istnieją też inni mężczyźni. Może znajdziesz kogoś, kto przypadnie ci do serca?

- Ach, Ailing - westchnęła z uśmiechem. - Teraz, w Szanghaju... Jestem tu zbyt znana. Nie, w Szanghaju nikogo nie znajdę!

- To może wyjeżdż stąd? Podejrzewam, że w głębi kraju też mieszkają mężczyźni podobni do pana Luo.

Uśmiechnęła się znowu, lecz jej spojrzenie sposepniało.

- Dlaczego się nie rozwiódł? - spytałam.

Spuściła głowę, podwinęła rękaw sukni i zaczęła oglądać podszewkę z niebieskiego jedwabiu.

- Mają troje dzieci. Cóż one są winne? Miałabym się stać przyczyną ich tragedii?

Cienie drobnych gałązek i kwiatów orchidei tańczyły na jej jasnoszarym ubraniu. Żałowałam tego pięknego, przemijającego dnia.

- Widzisz, Baoyan, sama byłam dzieckiem rozwiedzionych rodziców. I wcale nie czułam się z tego powodu nieszczęśliwsza od innych. Nawet jeśli z całych sił będziesz się starać o szczęście dzieci, to gdy dorosną, zawsze znajdą mnóstwo powodów do smutku. Tak czy owak - teraz ty cierpisz, on cierpi...

Zamyśliła się na długo.

- Jest jeszcze jedna rzecz. Nawet gdyby się rozwiódł - jest przecież człowiekiem szalonym! Jak mogłabym poślubić kogoś takiego?

Ja także doszłam do wniosku, że nie ma dobrego wyjścia z tej rozpaczliwej sytuacji.

Epilog

Poszłam zrobić sobie trwałą u Shandonga - zakład poleciała mi kuzynka, mówiąc, że jest tam taniej niż w Salonie Fryzur i że są bardzo staranni. Mieścił się w starym domostwie w stylu chińskim, nad drzwiami nie wisiał żaden szyld, zapewne fryzjer pracował na czarno. Przez bramę wchodziło się na maleńkie podwórko, na którym bawiło się kilku ośmio - , może dziewięcioletnich chłopców, lecz zawsze zachowywali się bardzo cicho i szybko gdzieś znikali.

Główne pomieszczenie było pozbawione mebli, w pobliżu wejścia stała niewielka kuchnia węglowa. Warsztat pracy pana Shandonga mieścił się w bocznej izbie: stał tu jedynie fryzjerski fotel, a pod ścianami piętrzyły się różne rupiecie. Nie było nawet krzesła - w zakładzie mógł przebywać tylko jeden klient. Pan Shandong był postawnym mężczyzną około pięćdziesiątki, o ciemnej karnacji i pociągłej twarzy - w przeszłości musiał być bardzo przystojny. Jego żona, co najmniej dwadzieścia lat od niego młodsza, również miała wiele wdzięku. Przypominała nieco ptaka: czarne paciorkowate oczy, nieduży spiczasty nos, przywodzący na myśl ptasi dzióbek, zaokrąglona pierś. Nie malowała się i ubierała na czarno; czarny ptaszek o białych policzkach i gładkiej, lśniącej główce - nie miała nawet trwałej, choć przecież była żoną fachowca. Krzątała się w głównej izbie, zaglądając od czasu do czasu do tej bocznej, by sprawdzić, jak długo jeszcze czesanie potrwa, i zaplanować podanie obiadu.

Pan Shandong faktycznie był bardzo staranny. Kuzynka mówiła: „Ostatnio pracuje jeszcze wolniej. Wydziwia nad każdym kosmykiem, zwariować można!” Pan Shandong wydzielał po dwa pasemka włosów i nawijał na dwa wałki, porównując przy tym ich długość. I tak z całą głową, aż chciało się wrzeszczeć ze zniecierpliwienia. W spojrzeniu jego żony, gdy zaglądała do środka, widać było zrozumienie: klientek mało, mąż nie ma zbyt wiele do roboty, więc się nie śpieszy - w końcu mówi się, że pracować powoli oznacza dokładnie.

Nic dziwnego, że gdy przyszłam, powitalny uśmiech fryzjera trwał wyjątkowo krótko. Klienci mają ten szczególny zmysł - im bardziej pustoszeje zakład, tym mniej ludzi się pojawia, błędne koło przyczyny i skutku.

Bum! Bum! - huknęło gdzieś w otaczającej nas gwarnej dzielnicy handlowej.

Pan Shandong nadstawił uszu.

- Bomba - mruknął pod nosem.

Uśmiechnęliśmy się. Odwróciłam się w stronę okna - widać było tylko szary, wysoki mur, a nad nim skrawek czystego błękitnego nieba.

Bum! Tym razem tąpnęło mocniej, jakby kawał żelaza runął w grubą warstwę pyłu - dźwięk był stłumiony, lecz na tyle potężny, że budził lęk.

To był kolejny nalot. Niebo wkrótce znowu pojaśniało, a mieszkańcy miasta, niczym chorzy w przeddzień operacji, zadawali sobie pytanie, czy przeżyją. Jeśli nie zginą w kolejnym wybuchu, będą zmuszeni uciekać w głąb kraju, gdyż wkrótce zabraknie tu wody i prądu. Tam zużyją do cna swoje oszczędności, a gangsterzy, korzystając z okazji, obrabują ich ze wszystkiego. Tymczasem nasz pan Shandong i tak nie zdołałby zabrać ze sobą swoich narzędzi. Poza tym jak tu uciekać z gromadką dzieci? Szanghajczycy mieli wyjątkowe poczucie bezpieczeństwa. W końcu nie warto rozbijać drogiej wazy, rzucając w szczury. Jak można zniszczyć serce starego Szanghaju, tego miasta przeżartego zepsuciem? Japończycy jednak nie mieli skrupułów.

Błękit za oknem wydawał się odbijać światło, jakby był oddzielony taflą szkła. Szanghaj, niczym miasto przyszłości, nakryto z góry przezroczystą kopułą, dlatego panował tu tak łagodny klimat, bez wiatrów i ulewnych deszczów.

Bum! Tadam! - huknęło jeszcze bliżej.

Pan Shandong nie zareagował, chyba że za reakcję uznać jeszcze większe skupienie na pracy. Staralam się siedzieć nieruchomo, jak w fotelu u dentysty, z którego najchętniej bym uciekła, ale twardo zmuszałam się do myślenia o czym innym.

Być może przez ten atak sił powietrznych nagle przypomniałam sobie o Yin Baoyan. Ponoć wyjechała w głąb kraju i poślubiła wojskowego lotnika, po czym niemal od razu wzięła rozwód. Dawna koleżanka ze szkoły, która mi o tym wspomniała, uśmiechnęła się tylko. „Ach tak?” - odparłam, także z uśmiechem, nie bez odrobiny satysfakcji myśląc o tym, że Baoyan posłuchała mojej rady.

Nie wiedziałam, że wyprowadziła się z Szanghaju. Od czasu publikacji opowiadania Kwiaty Yin Baoyan już mnie nie odwiedziła - przypuszczałam, że obraziła się na mnie. Chciała, żebym o niej napisała, lecz to, co napisałam, dotknęło ją. Z początku nie przejęłam się tym - zawsze uważałam, że w pisaniu nie ma miejsca na wykwinne maniery. Po ukończeniu tego opowiadania, co prawda, od razu doszłam do wniosku, że jest złe - lecz jak bardzo, dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy zostało opublikowane, i było już za późno. Dowiedziawszy się, że wyjechała na dobre, poczułam ulgę.

Gdy usłyszałam o jej wyjeździe, nie przyszło mi do głowy, że Luo Qianzhi także musiał przeczytać to opowiadanie. Być może nie mogła już potem spojrzeć mu w oczy i jedynym wyjściem okazał się wyjazd. Jej stosunek do Luo był złożony i pełen sprzeczności - to było oczywiste, lecz fakt, że opowiedziała o ich związku komuś trzeciemu, i to zapewne przedstawiając go nie tak, jak Luo by sobie życzył, mógł być dla niego trudny do zaakceptowania.

Jeden z głównych problemów w całej tej historii stanowi fakt, że on był jej nauczycielem. Taka dziewczyna jak ona, która miała całe mnóstwo adoratorów, zapewne wykształciła w sobie bardzo silne mechanizmy obronne. Kobiety zawsze cofały się, by iść naprzód - mówi się, że skuteczna obrona oznacza zwycięstwo. Opór jest instynktowny i rozsądny. Nie broniła się tylko przed tym, który najmniej ze wszystkich wchodził w grę. Mogła swobodnie go podziwiać, podśmiewać się z niego i rozpieszczać go jednocześnie, troszczyć się o niego jako oddana, a zarazem opiekuńcza uczennica. Miłość uderzyła w nich z zaskoczenia. On niewłaściwie odczytał jej starania, a u niej, ponieważ nie spotkała dotąd nikogo, kto przypadłby jej do serca, długo tłumione tęsknoty wzięły górę. Gdyby zaś, przeciwnie, była dziewczyną nieśmiałą i wstydliwą, sprawy także mogły potoczyć się podobnie. Wstydlivość sprawiałaby, że trzymała na dystans swoich rówieśników, lecz dużo starszy, żonaty mężczyzna nie budziłby w niej obaw. W rezultacie druga strona mogła zrozumieć to wszystko opacznie, a dziewczyna w końcu też by się zaangażowała. To chyba kobieca przypadłość, młodzi mężczyźni na nią nie cierpią.

Wyszła za mąż zbyt nagle, jakby przez przekorę. Kto wie, może nawet dlatego że napisałam, że się postarzała. Tymczasem jej zmęczony wygląd był skutkiem udręki i rozpacz.

Na tyłach frontu lotnicy są wybrańcami losu, bohaterami kobiecych marzeń. Tamten wojskowy z pewnością traktował ją inaczej niż Luo Qianzhi. Różne są charaktery ludzkie - ciężkie jak góra Taishan albo lekkie jak ptasie piórko (Aluzja do powiedzenia „śmierć bywa ciężka jak góra Taishan bądź też lekka jak piórko dzikiej gęsi” (przyp. tłum.)). Ewentualny związek z Qianzhi - nawet gdyby czekali nań długo, może do późnej starości - był mało prawdopodobny, lecz wyobraźalny. W porównaniu z nim małżeństwo z tamtym mężczyzną jawiło się niczym odrzucenie samej siebie.

Pisząc tę historyjkę, zniszczyłam jedyną miłość życia dwojga ludzi, a być może także życie Baoyan, zadając jej kolejny cios.

Czy rzeczywiście wtedy, gdy mnie odwiedziła, już się nie spotykali? Nawet jeśli wówczas nie zerwali jeszcze ze sobą, nie byli przecież dziećmi - mieli prawo dręczyć się nawzajem dowolnie długo. Ich cierpienie byłoby przynajmniej dobrowolne - nie tak jak teraz.

Kiedy ucichły eksplozje, zapanował spokój. Żona pana Shandonga już do nas nie zaglądała. Nie słyszałam odgłosów kuchennej krzątaniny - zapewne zagłuszało ją głośnie marudzenie dzieci domagających się jedzenia.

Boję się chodzić do fryzjera. Nie przepadam za eleganckimi salonami, pełnymi szkła, gdzie obok luster stoją rzędy drogocennych buteleczek, leżą stosy ilustrowanych magazynów, gdzie wśród szumu suszarek rozbrzmiewają śmiechy i gwar rozmów. Wolę rodzinne zakłady. U Shandonga panowała jednak zbyt przygnębiająca atmosfera. Nie dlatego że było pusto - dlatego że wszystko było tu takie zniszczone. Do tego te doskonale kontrolowane miny fryzjera i jego żony. Niezręcznie było patrzeć na to wszystko; ciągle miałam wrażenie, że popełniam jakiś nietakt. W tym miejscu, gdzie myśli i uczucia zastygły, wśród tej obezwładniającej nudy, w końcu zdałam sobie sprawę z konsekwencji Kwiatów Yin Baoyan. „Mój błąd” - jak w tytule popularnej szanghajskiej piosenki. Już więcej nie poszłam do Shandonga.

(Napisane w 1944, uzupełnione w 1983)

Miłość jak pole bitwy
(scenariusz

filmowy)

OSOBY:

YE WEIFANG - dwadzieścia jeden lat, bardzo urodziwa, towarzyska.

TAO WENBING - dwadzieścia pięć lat, pracownik biurowy. Przystojny, nieco lekkomyślny.

SHI RONGSHENG - dwadzieścia cztery lata, kuzyn Weifang. Melancholijny, introwertyk, skłonny do sarkazmu.

YE WEILING - dwadzieścia dwa lata, starsza siostra Weifang, szczerza i bezpośrednia, trochę chłopczyca. Niebrzydka, lecz nie tak pociągająca jak siostra.

DYREKTOR YE - ojciec Weifang.

PANI YE - matka Weifang.

PANI SHI - matka Rongshenga.

PROFESOR HE QIHUA - trzydzieści sześć lat, nieatrakcyjny.

WANG SHOUNAN - przedstawiciel singapurskiej finansjery, prezes rady nadzorczej firmy, w której dyrektorem jest pan Ye.

Syn WANGA SHOUNANA.

GOŚCIE na dansingu, hostessy.

Kelner w kawiarni.

Kilkoro służących płci obojga.

Szofer.

Odprawiający na lotnisku, fotoreporterzy itd.

SCENA I

(Wieczór. Zbliżenie: pod lampą na drzwiach frontowych wisi bożonarodzeniowy wieniec. Słychać muzykę taneczną. Kamera kieruje się na zamglone okienko, w którym widać oświetloną choinkę; wokół każdej lampki jarzy się okrągłe halo.

W salonie odbywa się przyjęcie bożonarodzeniowe. Plan ogólny. Młoda hostessa prowadzi Tao Wenbinga w stronę Ye Weifang i przedstawia ich sobie nawzajem. Muzyka całkowicie zagłusza rozmowę. Wenbing kłania się i prosi Weifang do tańca.

Półzbliżenie. Wenbing i Weifang tańczą. Pozostali zachowują się jak w pantomimie. Błysk flesza. Oboje na długo zastygają w tanecznych pozach; stają się postaciami na zdjęciu. Palce lewej ręki Wenbinga trzymają brzeg fotografii; palec wskazujący prawej delikatnie gładzi włosy i twarz podobizny Weifang).

SCENA II

Miejsce: biuro Wenbinga. Kilka biur, Wenbing zajmuje jedno z nich.

(Wenbing ogląda zdjęcie. Od tyłu podchodzi kolega. Wenbing pośpiesznie odkłada fotografię. Kładzie dłoń na aparacie telefonicznym, zastyga na moment. W końcu decyduje się zadzwonić).

WENBING (wykręca numer): Halo? Czy to rezydencja państwa Ye? Chciałbym mówić z panną Ye Weifang.

SCENA III

Miejsce: dom państwa Ye.

(Służąca, trzymając w jednej ręce kij od szczotki, drugą odbiera telefon).

SŁUŻĄCA: Młodsza pani wyjechała. Wszyscy wyjechali. Proszę zadzwonić pod numer pięćdziesiąt siedem czterysta trzydzieści.

SCENA IV

Miejsce: wiejska rezydencja państwa Ye.

(Weifang wraz z ojcem, matką, młodszą siostrą i kuzynem siedzą przed domem w cieniu drzewa. Piknik. Ojciec czyta gazetę, paląc cygaro. Weifang w pozycji półleżącej, wycina swoje imię w korze drzewa. Z wnętrza domu dobiega dzwonek telefonu).

PANI YE (obierając jabłko): Weifang, odbierz telefon.

Weifang (zajęta wycinaniem napisu): Ty idź, siostrzyczko.

WEILING: Na pewno znowu do ciebie. (Mimo wszystko podnosi się, pokonuje schodki i znika we wnętrzu domu).

PANI YE: Albo do ojca. Bez przerwy ktoś dzwoni a to do jednego, a to do drugiego.

WEIFANG (kończy ryc znaki, czyści nożyk, rzuca Rongshengowi): Kuzynie, teraz twoja kolej.

(Rongsheng podnosi nożyk).

PANI YE: Poczęstuj się jabłuszkiem, Rongsheng (podaje mu obrany owoc).

RONGSHENG: Dziękuję, ciociu, zjedz sama.

(Weiling wychodzi przed dom).

WEILING (woła): Do ciebie, siostro! (Wraca pod drzewo).

DYREKTOR YE (podnosi głowę i spogląda na Weifang): Tylko nie rozmawiaj za długo. Czekam na ważny telefon...

PANI YE (do Rongshenga): Widzisz, jaki jest twój wuj. Nawet w tych rzadkich chwilach odpoczynku zajmuje się firmą!

RONGSHENG: Szkoda, że tak rzadko tu przyjeżdżacie. Tak tutaj pięknie...

WEILING: Oj, tak. Tylko latem ktoś czasem mieszka w tym domu. Przez resztę roku zwyczajnie się marnuje.

PANI YE: A może ty byś tu posiedział, Rongsheng? Przecież tak lubisz spokój.

WEILING: Mógłbyś tu pisać te swoje książki, kuzynie. Nikt by ci nie przeszkadzał.

RONGSHENG (z uśmiechem): Dobry pomysł, mógłbym sobie siedzieć i pisać, a przy okazji pilnować wam domu.

PANI YE: No to doskonale. (Sięga do torebki, odczepia z kółka jeden z kluczy i wręcza Rongshengowi): Proszę, weź sobie klucz od głównego wejścia. Skoro nie boisz się samotności, przyjeżdżaj tutaj, gdy tylko przyjdzie ci ochota.

SCENA V

Miejsce: kawiarnia.

(Wchodzi Wenbing rozgląda się wokół, znajduje wolny stolik, siada. Nagle dostrzega Shi Rongshenga siedzącego w rogu sali. Rongsheng popija kawę i coś pisze).

WENBING (kiwa głową na powitanie): Witaj, Rongsheng! To tu przesiadujesz!

RONGSHENG: A tak, przyszedłem sobie posiedzieć... (Wenbing podchodzi do Rongshenga).

RONGSHENG: Jesteś sam?

WENBING (siada): Czekam na kogoś.

RONGSHENG: Na dziewczynę?

WENBING (ze śmiechem): Jaką tam dziewczynę... znajomą, i tyle.

RONGSHENG (kiwa na kelnera): Zjesz coś, wypijesz?

WENBING: Napiłbym się kawy... Robisz jakieś notatki?

RONGSHENG (z uśmiechem składa papiery). Właściwie to zamierzałem już sobie pójść...

WENBING: Posiedź jeszcze chwilę.

RONGSHENG: Nie, muszę uciekać. Pozwolę ci w spokoju poczekać na tę twoją dziewczynę.

WENBING: Przedstawię was.

RONGSHENG: Ee, nie będę wam przeszkadzał. (Kelner podaje kawę Wenbingowi).

RONGSHENG (do kelnera): Poproszę rachunek. (Do Wenbinga): Wiesz co, wybierzmy się kiedyś popływać.

WENBING: Popływać? Nie za zimno na pływanie?

RONGSHENG: Moja rodzina używała mi swojej podmiejskiej willi. Jest tam kryty basen.

WENBING: Willa z krytym basenem... prawdziwy luksus!

RONGSHENG: Rzeczywiście, dom wygodny i okolica niczego sobie.

WENBING: A gdzie się mieści ta rezydencja?

RONGSHENG: W Qingshan.

WENBING: Mój drogi, a nie mógłbyś mi pożyczyć tego lokum na jeden dzień?

RONGSHENG: Pewnie chciałbyś tam zaprosić tę dziewczynę, co? (Płaci).

WENBING: Byłoby świetnie...

RONGSHENG: Nie ma sprawy. Kiedy będziesz miał ochotę, wpadnij do mnie po klucz. (Wstaje). No, muszę lecieć. Do zobaczenia.

WENBING: Do zobaczenia.

(Rongsheng wychodzi. Wenbing spogląda na zegarek, wypija łyk kawy. W marzeniach przenosi się za miasto. Romantyczna sceneria,

płatki kwiatów sypią się niczym śnieg Wenbing spaceruje, trzymając Weifang pod ramię; oboje spoglądają na elegancką willę, po czym zerkają na siebie z uśmiechem. Wenbing chce pocałować Weifang ta ucieka, w końcu pozwala mu się dogonić pod drzewem...)

GŁOS: Przepraszam, spóźniłam się. (Weifang stoi już obok stolika Wenbinga).

WENBING (zaskoczony, wstaje): Ależ skąd, wcale nie! (Pomaga Weifang zdjąć płaszcz).

WEIFANG: O czym myślałeś przed chwilą, kiedy tak patrzyłeś w dal?

WENBING: Myślałem, że mamy ostatnio piękną pogodę. Może byśmy skoczyli na jeden dzień do Qingshan, odetchnąć świeżym powietrzem? Co ty na to?

WEIFANG: Często bywasz w tamtej okolicy?

WENBING: Owszem. Mam tam letni domek, po całym dniu w plenerze można w nim wygodnie odpocząć.

WEIFANG: Brzmi świetnie.

WENBING: To jak, masz czas w najbliższą sobotę? Pojedźmy tam!

WEIFANG: W sobotę nie, jestem trochę zajęta. Może być w niedzielę?

WENBING: Oczywiście.

(Podchodzi kelner z kartą; Wenbing zaczyna ją przeglądać Ściemnienie).

SCENA VI

Miejsce: przed wiejską rezydencją.

(Wenbing zatrzymuje samochód przed domem, sprawdza numer. Obok siedzi Weifang, wygląda przez okno; zerka z zaskoczeniem na Wenbinga).

WEIFANG: Mielibyśmy pojechać do twojego letniego domku, prawda?

WENBING: Zgadza się, to tutaj. (Wysiada z samochodu z piknikowym koszem w ręku).

WEIFANG (uśmiecha się, zdziwiona): Ach tak? (Wenbing podchodzi i otwiera przed nią drzwi wozu. Weifang wysiada).

WEIFANG (uśmiechając się nadal, ze zdumieniem spogląda na dom): To naprawdę wasz dom?

WENBING (zaniepokojony; zaczepnie): A co? Nie wyglądam na kogoś, kto mógłby mieć takie lokum?

WEIFANG (ze śmiechem): Ależ skąd! Źle mnie zrozumiałeś.

WENBING: Zresztą to kiepski dom. Samemu nawet da się pomieszkać, ale żeby sprosić gości - jest stanowczo za ciasny. Staromodne meble, a ten kolor (wskazuje ścianę) - jest zwyczajnie w złym guście.

WEIFANG (posmutniała): Według mnie jest bardzo ładny. To mój ulubiony kolor!

WENBING: No to świetnie się składa. Cieszę się, że ci się podoba. Myślałem, żeby go przemaalować, ale teraz już na pewno tego nie zrobię!

WEIFANG (spogląda na niego z delikatnym uśmiechem. Podchodzi do drzewa, zerka na swój podpis - „Weifang”): O, a to co takiego? Moje imię?

WENBING (zaskoczony): Eee... to...

WEIFANG: Bardzo dziwne. Kto to wyciął?

WENBING (starając się wybrnąć z sytuacji): Hmm, a jak myślisz?

(Weifang uśmiecha się do niego).

WENBING (odważnie): To dowodzi, że gdy nie ma cię w pobliżu, nie przestaję o tobie myśleć. (Chwyta ją za rękę).

WEIFANG (uwalnia się): Zmęczyłam się, usiądźmy gdzieś.

WENBING: Oczywiście. (Oboje wchodzi na schodki, Wenbing wyjmując klucz i otwiera drzwi).

SCENA VII

Miejsce: hol.

(Przestronne wnętrze. Wenbing puszcza Weifang przodem, idzie za nią).

WENBING: Jesteś zmęczona, odpocznijmy w salonie. (Otwiera drzwi, które, jak się okazuje, prowadzą do szafy; w środku kilka wieszaków, na jednym z nich płaszcz; w rogu torba z kijami golfowymi).

WENBING (zastyga na krótką chwilę, lecz wkrótce znajduje wyjście z sytuacji): Najpierw powiesimy twój płaszcz. (Odwraca się, pomaga Weifang zdjąć okrycie i wiesza na wieszaku, po czym otwiera kolejne drzwi).

SCENA VIII

Miejsce: salon.

(Pokój jest bardzo duży, nowoczesnie i elegancko urządzone. Schody prowadzą na piętro. Oszklone drzwi wychodzą na werandę. Wenbing otwiera drzwi, za nim Weifang wyciąga szyję i zagląda do środka).

WEIFANG: Ach, więc to jest twój salon.

WENBING: Zapraszam do środka, spocznij. (Oboje wchodzi).

WEIFANG (spogląda na dwie fotografie wiszące na ścianie - jedna z nich to podobizna jej ojca, druga - matki): Kto to?

WENBING: Ach, to... to moi rodzice.

WEIFANG: No proszę. Wcale nie jesteś do nich podobny!

WENBING: Tak sądzisz? Wszyscy mówią, że bardzo przypominam ojca z lat jego młodości.

WEIFANG (odwraca się i dostrzega na regale podobiznę swojej starszej siostry): O! To twoja dziewczyna? Jaka ładna!

WENBING: Jaka znowu dziewczyna? Nie mam dziewczyny... Oprócz ciebie, oczywiście.

WEIFANG: Hej, nie wykręcaj się. Kto to jest? (Zdejmuje fotografię z półki).

WENBING: Moja młodsza siostra.

WEIFANG: Oszukujesz.

WENBING: Mówię szczerą prawdę! (Staje blisko Weifang, oboje przyglądają się fotografii; Wenbing obejmuje Weifang ramieniem).

WEIFANG (uwalnia się z uścisku, patrzy na kosz piknikowy stojący na stole): Nie ma sensu jeść w domu. Poszukajmy jakiegoś ładnego miejsca i zjedźmy na dworze.

WENBING: Masz rację. Idziemy zaraz?

WEIFANG: Jasne. (Przegląda wiktuały w koszu, znajduje puszkę zupy). Dobrze byłoby przedtem podgrzać tę zupę.

WENBING (bierze dwie puszki): Ja podgrzeję.

WEIFANG: Pomogę ci. Jest tu kuchnia?

WENBING: Pewnie, że jest!

SCENA IX

Miejsce: hol.

(Wenbing idzie przodem, Weifang za nim. Wenbing otwiera drzwi na końcu korytarza).

SCENA X

Miejsce: kryty basen.

(Półmrok. Przez uchylające się drzwi wpada smuga światła. Widać niewyraźną sylwetkę Wenbinga, który wchodzi do pomieszczenia; Weifang wciąż stoi w drzwiach).

WEIFANG: Czemu nie zapalasz światła?

WENBING: Szukam włącznika...

WEIFANG: Uważaj! Ostrożnie!

(Głośny plusk; woda rozpryskuje się na wszystkie strony. Weifang czym prędzej zapala światło. Widać basen, do którego wpadł Wenbing - dwie puszkę z zupą unoszą się na powierzchni wody).

WEIFANG: Ojej, nic ci się nie stało?

WENBING: (zdyszany, pływa w basenie): To dopiero zabawne, zgubić się we własnym domu!

WEIFANG: A ty jeszcze narzekasz, że jest za mały! Gdyby był większy, jeszcze łatwiej można by zabłądzić.

WENBING (z wymuszonym uśmiechem): Nieprawdopodobne! (Chwyta się brzegu basenu i wychodzi). Ta część domu jest świeżo zbudowana. Odkąd to wykończyli, jeszcze tu nie byłem, dlatego niezbyt się orientuję...

WEIFANG: Dobrze, że ja tu jestem. Strach pomyśleć, gdybyś był tu sam, wpadłbyś i utonął, i nikt by się nawet nie dowiedział! (Wenbing wyciera twarz grzbietem dłoni).

WEIFANG (z niepokojem): Ojej, jak my teraz wyjdziemy na dwór? Jesteś cały mokry! Chodźmy na górę, może jest tu gdzieś piecyk elektryczny, żebyś mógł wysuszyć ubranie.

SCENA XI

Miejsce: salon.

(Wenbing i Weifang idą po schodach na piętro. Mokre buty Wenbinga zostawiają ślady na jasnym dywanie).

WEIFANG: Ojej, uważaj, całkiem zniszczysz dywan!

WENBING (z wymuszonym uśmiechem): Tak bardzo się przejmujesz dywanem?

WEIFANG: Jest taki piękny, szkoda by było, gdyby ci się zniszczył...

WENBING (wzruszony, uśmiecha się wstydliwie): Ach, Weifang, jesteś taka dobra. Troszczysz się o wszystko w moim imieniu. (Chwyta ją za rękę).

WEIFANG (zniecierpliwiona, strząsa jego dłoń): Dostyc, nie ma o czym mówić...

SCENA XII

Miejsce: na piętrze.

(Wenbing i Weifang wchodzą na piętro, Wenbing otwiera najbliższe drzwi. To sypialnia; na ścianie wisi wielka fotografia - rodzinny portret; pośrodku - podobizny ojca i matki, twarze Weifang i jej siostry po obu stronach. Wenbing staje jak wryty. Muzyka w tle rozbrzmiewa głośniej. Wenbing odwraca głowę i spogląda na Weifang która tłumii chichot. Wenbing stoi bezradny. Weifang w końcu wybucha śmiechem. Odjazd kamery).

SCENA XIII

Miejsce: przed głównym wejściem.

(Najazd kamery. Wenbing wybiega, wsiada do samochodu, odjeżdża. Odjazd kamery).

SCENA XIV

Miejsce: droga.

(Najazd kamery. Wóz Wenbinga przeciska się przez tłum samochodów, skręca, zbliża się do krawędzi jezdni, zatrzymuje się nagle. Wenbing siedzi nieruchomo za kierownicą. Po chwili wyciąga z teczki portfel, wyjmuje fotografię, na której tańczy z Weifang przygląda się jej. Weifang z fotografii otwiera usta i zaczyna się śmiać. Wenbing drze zdjęcie na drobne kawałki i wyrzuca przez okno. Odpala silnik i rusza. Ściemnienie).

SCENA XV

Miejsce: dom Rongshenga. Hol. Pod lampą. (Rozjaśnienie. Służąca otwiera drzwi i staje z boku. W drzwiach stoi Wenbing. Rongsheng wychodzi z salonu, żeby go powitać).

RONGSHENG: Ach, Wenbing, wejdź, proszę. (Prowadzi go do salonu).

(Wenbing zagląda do wnętrza i dostrzega dwie kobiety, młodszą i starszą; wycofuje się).

WENBING: Widzę, że masz gości... Przyjdę innym razem. Oddaję ci klucz. (Wręcza klucz Rongshengowi).

RONGSHENG (bierze klucz, mruga do Wenbinga): I jak tam było dzisiaj? Dobrze się bawiliście?

WENBING (z wymuszonym uśmiechem): Tak... Bardzo piękna okolica.

RONGSHENG (klepiąc go po ramieniu, półgłosem): Wymarzone miejsce dla zakochanych! Jak ci się poszczęści w miłości, trzeba będzie to uczcić - nie zapomnij mnie zaprosić!

WENBING (uśmiecha się gorzko): W porządku. To ja już sobie pójdę. Do zobaczenia.

RONGSHENG: Zaczekaj, posiedź z nami chwilę. (Ciągnie go do salonu).

SCENA XVI

Miejsce: salon w domu Rongshenga.

(Matka Rongshenga, pani Shi i Ye Weiling siedzą i gawędzą).

RONGSHENG: Pozwolą panie, że im przedstawię - mój kolega szkolny, Tao Wenbing. Oto moja matka, a to moja kuzynka, panna Ye Weiling. (Wszyscy uprzejmie kiwają głowami. Wenbing zastyga zdumiony na widok Weiling - przypomina sobie fotografię z letniej rezydencji i rozpoznaje siostrę Weifang).

PANI SHI: Proszę spocząć, panie Tao. Każę zaraz zaparzyć herbaty.

WENBING: Uprzejmie dziękuję...

(Pani Shi wychodzi. Rongsheng ustępuje miejsca Wenbingowi, sam siada na miejscu swojej matki).

RONGSHENG (do Weiling): Pytałaś o znaczki pocztowe. Tu obecny pan Tao pracuje w handlu zagranicznym i ma znaczki z całego świata!

WENBING: Jest pani filatelistką, panno Ye?

WEILING (z uśmiechem): Owszem, trochę zbieram... Ale nie mam ani jednego naprawdę cennego okazu.

RONGSHENG: Jesteś zbyt skromna. A ten brazylijski, okolicznościowy, nie jest cenny?

WEILING: No tak, ale to tylko jeden...

WENBING: Czy to ten upamiętniający rewolucję?

RONGSHENG: A co, też go masz?

WENBING (kręci głową): To bardzo rzadki znaczek. Słyszałem, że jest tylko kilka sztuk na rynku.

RONGSHENG (do Weiling): On też zbiera znaczki. Jeśli czegoś ci brakuje, możesz się z nim wymienić.

WEILING: Ma pan coś australijskiego?

WENBING: Oczywiście, że mam. Prześlę pani przez Rongshenga przy najbliższej okazji... (Wstaje). A teraz bardzo przepraszam, czas na mnie. (Kłania się i wychodzi).

RONGSHENG: Wpadnij w wolnej chwili, zapraszam! (Odprowadza Wenbinga).

(Weiling wstaje, podchodzi do biurka, bierze rękopis Rongshenga, zamyśla się. Rongsheng wraca do salonu).

WEILING: Kuzynie...

RONGSHENG: Słucham?

WEILING: Strasznie pokreślony ten twój rękopis. Przydałoby się pewnie przepisać go na czysto.

RONGSHENG: Aha.

WEILING: Jutro przyjdę i pomogę ci w przepisywaniu.

RONGSHENG: Nie, nie trzeba, sam to zrobię.

WEILING: A może jednak? I tak nie mam nic lepszego do roboty.

RONGSHENG: No dobrze, niech i tak będzie. Będę ci bardzo wdzięczny.

SCENA XVII

Miejsce: jak wyżej.

(Przez okno wpadają promienie słońca. Weiling siedzi przy oknie i przepisuje rękopis, Rongsheng siedzi w drugim końcu salonu i pali papierosa, zamyślony nad jakimiś papierami).

WEILING (odkłada pędzelek): No, wszystko przepisałam, kuzynku. (Wstaje, porządkuje stertę kartek, stawia na niej przycisk do papieru. Rozgląda się. Podnosi filiżankę i wypija łyk herbaty). Chyba już pójdę. (Bierze torebkę). Widzę, że pan Tao nie zjawił się dzisiaj...

RONGSHENG (pisze): Pan Tao? Jaki pan Tao?

WEILING: Ten twój kolega ze szkoły.

RONGSHENG: A, Tao Wenbing. No tak, nie było go.

WEILING (otwiera torebkę): Kiedy się z nim spotkasz, daj mu, proszę, ten znaczek. Chciałabym go wymienić na coś z Australii. (Wyjmuje znaczek i wręcza Rongshengowi).

RONGSHENG (zaskoczony): Brazylijski okolicznościowy? Czemu już go nie chcesz? Szkoda!

WEILING: Wcale nie jest taki cenny, a skoro pan Tao mówi, że go nie ma, to czemu mam się z nim nie wymienić? Do widzenia, ciociu! (woła i wychodzi). (Rongsheng ze zdumieniem na twarzy

trzyma znaczek. Drapie się w głowę. Matka Rongshenga wchodzi do salonu).

PANI SHI: Weiling już wyszła?

RONGSHENG: Aha...

PANI SHI: Ostatnio często u nas bywa. Coś mi się zdaje, że bardzo się tobą interesuje.

RONGSHENG: Ależ skąd, nic z tych rzeczy.

PANI SHI: Czemu się z tym kryjesz? Myślisz, że miałabym coś przeciwko temu?

RONGSHENG: Ależ mam, tylko ci się wydaje.

PANI SHI (zirytowana): Dostyc tego. Skoro nie chcesz mi powiedzieć...

RONGSHENG (niezadowolony): Kiedy naprawdę nie o to chodzi... Niech ci będzie: Weiling przychodzi tu często, bo ma nadzieję, że spotka u mnie pewnego mężczyznę.

PANI SHI: A kogóż to?

RONGSHENG: Tao Wenbinga.

PANI SHI: To dlaczego nie pomożesz im się bliżej poznać?

RONGSHENG (znużonym głosem): Nie ma sensu. Jak tylko Weifang się dowie, że przypadł do gustu jej starszej siostrze, z całą pewnością natychmiast zacznie go uwodzić, a następnie porzuci.

PANI SHI (zamyśla się): A więc to takie ziółko z tej małej Weifang. A jej starsza siostra to takie dobre dziecko...

RONGSHENG (marszczy brwi): Są swoimi całkowitymi przeciwieństwami. (Odjazd kamery).

SCENA XVIII

Miejsce: jak wyżej.

(Najazd kamery. Weiling i Weifang siedzą na kanapie. Obie w zwiewnych letnich sukienkach. Weifang trzyma w dłoni szklankę z zimnym napojem).

(Oddalenie. Obok dziewcząt siedzi Rongsheng).

WEIFANG: Kuzynie, jutro przenosimy się do Qingshanna lato. Pojedziesz?

WEILING: Tam jest dużo chłodniej i przyjemniej.

RONGSHENG: Pojadę, jeśli nie będę zajęty.

WEIFANG: Mama mówiła, żebyś przywiózł ze sobą przyjaciół.

RONGSHENG: (wyjmuje z szuflady otwartą kopertę i podaje Weiling): Ach, byłbym zapomniał, ktoś prosił, żebym ci to przekazał.

WEILING (przyjemnie zaskoczona): Ojej, jak dużo!

WEIFANG: Co tam masz?

WEILING (nie pozwala siostrze zajrzeć): Kuzynie, a może byś zaprosił pana Tao, żeby wpadł na dwa dni do Qingshan? Jeśli przyjedzie w sobotę, w poniedziałek będzie mógł wrócić.

WEIFANG (rzuca Weiling ostre spojrzenie; zwraca się do Rongshenga): Jakiego pana Tao?

RONGSHENG: Tao Wenbinga.

WEIFANG: Tao Wenbinga? Znam go.

RONGSHENG, WEILING (skonsternowani; chórem): Znasz go?

WEIFANG (triumfalnie): Jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Kuzynku, musisz mu ode mnie powtórzyć, żeby koniecznie do nas przyjechał!

(Weiling patrzy ostro na Weifang spuszcza głowę, ze smutną miną chowa znaczki do torebki).

RONGSHENG (spogląda na obie siostry): W porządku, zaraz do niego zadzwonię. (Odjazd kamery).

SCENA XIX

Miejsce: dom Rongshenga.

Najazd kamery (Rongsheng telefonuje do Wenbinga).

RONGSHENG: Znasz obie siostry? Młodsza mówi, że jesteście dobrymi przyjaciółmi...

SCENA XX

Miejsce: biuro Wenbinga.

(Wenbing siedzi za biurkiem, rozmawiając przez telefon).

WENBING (zmieszany): Ach tak? Ta młodsza siostra... to właśnie Ye Weifang. Tak, ta, z którą się widywałem. (Zakłopotany, ociera pot z czoła). Mówiła coś jeszcze? Nic? Chce, żebym przyjechał? (Nie posiada się z radości; śmieje się zażenowany). W porządku, w takim razie... do zobaczenia w sobotę w Qingshan. (Odkłada słuchawkę; ściemnienie).

SCENA XXI

Miejsce: lotnisko.

Rozjaśnienie (Dyrektor Ye odprowadza Wanga Shounana na lot do Singapuru. Wang jest niski i krępy, ma siwe włosy i okulary w czarnych oprawkach. Wang wsiada do samolotu. Fotoreporterzy wycelowują obiektywy, odprowadzający uchylają kapeluszy, machają na pożegnanie).

WANG SHOUNAN (nagle odwraca się w drzwiach samolotu i woła): Panie dyrektorze!

DYREKTOR YE (rzuca się naprzód): Tak, panie prezesie?

WANG SHOUNAN: Zapomniałem panu powiedzieć! Mój syn wybiera się do Hongkongu na naukę, byłbym wdzięczny, gdyby się pan nim trochę zaopiekował.

DYREKTOR YE: Ależ oczywiście, oczywiście! Kiedy pański syn wyjeżdża?

WANG SHOUNAN: Za kilka dni.

DYREKTOR YE: Doskonale, w takim razie czekam na telegram od pana. Wyjadę po niego na lotnisko!

WANG SHOUNAN: Bardzo panu dziękuję. (Wchodzi do samolotu).

SCENA XXII

Miejsce: salon w letnim domu.

RONGSHENG: Przepraszam w imieniu gospodarzy, że nie mogą cię powitać. Chwilowo ich zastępuję. WENBING (półgłosem): Jeśli to nie w porę...

RONGSHENG: Ależ skąd, nie przejmuj się! Siadaj. (Obaj siadają). Wszyscy się szykują na przyjęcie pewnego dostojnego gościa.

WENBING: Jakiego dostojnego gościa?

RONGSHENG: Jutro z Singapuru przylatuje syn pana Wanga Shounana.

WENBING: Tego słynnego Wanga Shounana?

RONGSHENG: Zgadza się. Jest prezesem firmy, w której pracuje mój wuj. (Wchodzi służący z herbatą).

RONGSHENG (wskazując na walizkę, do służącego): Zanieś to do pokoju pana Tao.

SŁUŻĄCY: Tak, proszę pana. (Wychodzi z walizką).

RONGSHENG: Chodźmy obejrzeć twoją sypialnię. (Idą razem, w ślad za służącym).

SCENA XXIII

Miejsce: sypialnia Wenbinga.

(Weiling ustawia małe radio w pobliżu łóżka, schyla się, wkłada wtyczkę do kontaktu).

(Wchodzi służący z walizką. Za nim Wenbing i Rongsheng).

RONGSHENG (do Weiling): O, tutaj jesteś!

(Wenbing i Weiling kiwają głowami na powitanie).

WEILING: Sprawdzam jeszcze, czy niczego tu nie brakuje.

WENBING: Dziękuję pani, panno Ye.

WEILING: Może zrezygnujemy już z tych formalności? Kuzyn zwraca się do pana po imieniu - może ja także mogłabym...?

RONGSHENG: Słyszysz? Mów do niej po prostu Weiling.

(Wenbing uśmiecha się).

WEILING (włącza radio; do Wenbinga): Jaką muzykę lubisz?

WENBING: Każdą!

RONGSHENG (podchodzi do okna; do Wenbinga): Masz lepszy pokój od mojego. Okno wychodzi prosto na ogród!

WENBING (także zbliża się do okna): Właśnie widzę. Jakie piękne gardenie!

WEILING: Lubisz gardenie? Zetnę ci kilka! (Bierze wazon ze stolika i wychodzi).

WENBING: Bardzo miła ta panna Ye.

RONGSHENG: O tak. Naprawdę przepadam za tą kuzynką (mocno podkreśla słowo „tą”). Kiedy ją bliżej poznasz, zrozumiesz...

(Wchodzi Weifang w kostiumie kąpielowym, na który narzuciła krótki szlafroczek).

WEIFANG (ze słodkim uśmiechem): Ach, Wenbing! Dawno się nie widzieliśmy!

WENBING (trochę skrępowany): Witaj, Weifang.

WEIFANG: Prosiłam kuzyna, żeby ci przekazał słówko ode mnie. Zrobił to, mam nadzieję? (Nie czekając na odpowiedź, do Rongshenga): Mama prosi, żebyś wyszedł do gościa - przyjechał profesor He.

RONGSHENG: Ach, wuj go zapraszał, żeby rzucił okiem na antyki, prawda?

WEIFANG: Jak zwykle! Gość w domu, a gospodarza nie ma!

(Rongsheng wychodzi).

WENBING: Wybierasz się popływać?

WEIFANG (uśmiecha się uwodzicielsko): Myślałam, żeby zrobić sobie kilka zdjęć w kostiumie kąpielowym. Chodź, sfotografujesz mnie.

SCENA XXIV

Miejsce: ogród.

(Weifang z aparatem w ręku stąpa wdzięcznym krokiem w towarzystwie Wenbinga).

WENBING: Naprawdę nie masz do mnie żalu?

WEIFANG: Gdybym miała do ciebie żal, nie zapraszałabym cię tutaj.

WENBING: Och, Weifang! (Chce ją pocałować).

WEIFANG: Wybaczylam ci, ale nie wyobrażaj sobie zbyt wiele! (Poddaje się niechętnie). (Weiling ścina kwiaty. Rozgarniając gałęzie krzewu, dostrzega całującą się parę. Zastyga z kwiatem w dłoni). (Widać niewyraźnie, jak oboje odchodzą). (Weiling spuszcza głowę, przygląda się kwiatom trzymanym w ręku; w przyływie rezygnacji otwiera dłoń i rozsypuje je na ziemię).

SCENA XXV

Miejsce: salon.

(Rongsheng siedzi obok profesora He Qihua; rozmawiają).

RONGSHENG: Panie profesorze, wuj bardzo prosił, żebym za wszelką cenę zatrzymał pana u nas do jego powrotu. Jeśli będzie się spóźniał, proszę zostać u nas na noc.

PROFESOR HE (z uśmiechem): Oczywiście, chętnie. (Wstaje i podchodzi do okna). Bardzo tutaj pięknie!

RONGSHENG: O tak. Panuje tu prawdziwy spokój.

PROFESOR HE (pokazując ręką): A tam - czy to nie hotel Qingshan?

RONGSHENG: Zgadza się. (Staje przy oknie obok profesora).

(W oddali, na trawie, Wenbing fotografuje Weifang w kostiumie kąpielowym).

(Uwagi profesora He przykuwa zgrabna figura Weifang; zapatrzył się w nią, oczarowany).

RONGSHENG (zerkając na profesora): To moja młodsza kuzynka.

PROFESOR HE: Cóż za urocza, żywa osóbka, naprawdę urocza!

RONGSHENG (odchrząkuje): O tak, jest bardzo urocza i niezmiernie towarzyska. (Śmieje się). Mówią o niej, że to prawdziwa pożeraczka męskich serc.

PROFESOR HE: Ach tak? (Wraca na poprzednie miejsce).

RONGSHENG (stoi oparty o parapet; uśmiecha się): Jest bardzo zmienna, a do tego próżna. Marzy o tym, żeby wszyscy mężczyźni się

za nią uganiali. Ktokolwiek się choć trochę zaangażuje, dziewczyna daje mu nieźle popalić!

PROFESOR HE (z uśmiechem): Gdyby słyszała, co pan o niej opowiada, z pewnością dałaby panu popalić!

RONGSHENG (zaskoczony): Mnie? (Śmieje się). Mnie już nic nie grozi. Za dobrze ją znam!

(Weifang wchodzi wdzięcznym krokiem do salonu, kołysząc trzymanymi w rękę okularami przeciwsłonecznymi; między połamami szlafroka zarzuconego luźno na ramiona widać całą jej kształną sylwetkę. Na widok profesora He zatrzymuje się raptownie, skromnie zawiązuje szlafroczek. Za nią wchodzi Wenbing z aparatem fotograficznym).

(Rongsheng i profesor He wstają).

RONGSHENG: Pozwolą państwo, że przedstawię - profesor He Qihua, panna Ye Weifang, pan Tao Wenbing. (Profesor He wymienia uściski dłoni z pozostałymi).

WEIFANG: Och, nie spodziewałam się gościa... nie zdążyłam się przebrać!

RONGSHENG: Czyżby? Przecież przed chwilą prosiłaś mnie, żebym wyszedł do gości...

WEIFANG (piorunuje go wzrokiem; do profesora): Proszę spocząć, panie profesorze.

(Wszyscy siadają).

RONGSHENG: Pan profesor zajmuje się archeologią.

WEIFANG: Archeologią! Cudownie, to moja ulubiona dziedzina.

(Wenbing zerka na Weifang).

PROFESOR HE (czujnie): Ach tak?

WEIFANG: Jeśli będzie pan prowadził jakiś odczyt, na pewno przyjdę posłuchać!

PROFESOR HE: Byłoby mi bardzo miło.

(Wchodzi służący).

SŁUŻĄCY: Telefon do pana profesora He.

PROFESOR HE: A! (Wychodzi w ślad za służącym).

WEIFANG (bierze aparat fotograficzny i podaje Wenbingowi): Proszę, zrób kuzynowi kilka zdjęć.

(Wenbing celuje obiektywem w Rongshenga; Weifang usiłuje zajrzeć w wizjer i przysuwa się bardzo blisko do Wenbinga, tak że

stykają się uszami. W jednej chwili odwracają się do siebie i uśmiechają się).

RONGSHENG (patrzy obojętnie; do Weifang): No i jak ci przypadł do gustu profesor He?

(Wenbing robi mu zdjęcie).

WEIFANG: Uczony w każdym calu. Już go uwielbiam!

WENBING: Nie powinnaś uwielbiać nikogo oprócz mnie, wiesz o tym? (Chwyta ją za rękę).

WEIFANG (ze śmiechem): Ech, nawet o tak statecznego dżentelmena jak profesor musisz być zazdrosny?

WENBING: Wszystko jedno o kogo - będę zazdrosny o każde twoje spojrzenie!

WEIFANG: Głuptas z ciebie.

(Oboje patrzą na siebie czule).

(Rongsheng siedzi rozparty z rękami w kieszeniach, pogwizduje, demonstracyjnie nie zwracając na nich uwagi).

WEIFANG: Wenbing, idź po kąpielówki i zaczekaj na mnie przy basenie.

WENBING: Dobrze, ale pośpiesz się! (Wychodzi).

WEIFANG: Ciekawe, czy profesor He umie pływać.

RONGSHENG (łagodnie): Wiesz, co do profesora, to po - wiem ci szczerze: Nie wysilaj się. Szkoda czasu.

WEIFANG: Nie rozumiem, o co ci chodzi.

RONGSHENG: Rozmawiałem z nim i ostrzegłem go, żeby nie dał ci się omamić.

WEIFANG: Co? (Staje przed nim). Coś ty mu naopowiadał?

RONGSHENG: Powiedziałem mu, co z ciebie za ziółko.

WEIFANG: A co ze mnie za ziółko?

RONGSHENG: Mnie pytasz?

WEIFANG (tupie nóżką): Kuzynie, jesteś niemożliwy! Nie rozumiem cię - profesor He to starszy człowiek! Myślisz, że nie ma swojego rozumu? Że musisz go niańczyć?

RONGSHENG: Wcale go nie niańczę. Jeśli wpadnie w twoje sidła, to sam będzie sobie winien.

WEIFANG: To po co wtykasz nos w nie swoje sprawy?

RONGSHENG: Wenbing jest moim przyjacielem.

WEIFANG: To, co jest między mną a Wenbingiem, nie powinno cię obchodzić.

RONGSHENG: Tak uważasz? Powiem ci coś: Jak nie przestaniesz się kręcić koło profesora, to...

WEIFANG: To CO?

RONGSHENG: To wytnę ci taki numer, że pożałujesz!

WEIFANG (ze łzami w oczach): Nienawidzę cię, kuzynie!

RONGSHENG (z wyższością): Proszę bardzo. Nie boję się twojej nienawiści. Żal mi tylko tych, którzy wyznają ci miłość! (Wychodzi).

(Weifang wygląda na wzburzoną, lecz po chwili promienieje - wchodzi profesor He Qihua).

PROFESOR HE (widząc ją samą, waha się): O, dokąd wszyscy poszli?

WEIFANG: Niech pan siada, profesorze. Zaraz wrócę.

PROFESOR HE (ma ochotę się wymknąć): Może... pójdę do siebie, przydałby mi się odpoczynek.

WEIFANG: Jest pan zmęczony? (Poprawia poduszki na kanapie). Proszę się rozsiąść tutaj, będzie panu wygodniej!

PROFESOR HE (wystraszony): Nie, dziękuję, mam jeszcze coś do zrobienia - zobaczymy się niedługo.

WEIFANG: Czuje się pan u nas nieswojo, panie profesorze? Brak panu partnera do rozmowy. Mnie zdecydowanie brakuje wykształcenia, a mój kuzyn... (z uśmiechem puka się palcem w czoło) ...no cóż, jest trochę niezrównoważony...

PROFESOR HE (skonsternowany): Naprawdę? Wcale na to nie wygląda...

WEIFANG: Nie wydawał się panu nieco dziwaczny?

PROFESOR HE (zamyśla się): Hmm... Rzeczywiście, może zachowuje się... trochę dziwnie.

WEIFANG: Właściwie nie powinnam nikomu o tym mówić. Współczuję Rongshengowi. Wyrzuciłam mu krzywdę...

PROFESOR HE (nie rozumiejąc): Jak to?

WEIFANG (milczy chwilę; uśmiecha się): Mówi do mnie takim tonem, jakby mnie nie cierpiało. Zauważył pan?

PROFESOR HE: Faktycznie, coś w tym jest. (Chwila milczenia). Ale to chyba niemożliwe, żeby za panią nie przepadał?

WEIFANG (z uśmiechem): Pół biedy, gdyby rzeczywiście tak było.

PROFESOR HE (tonem nagiego odkrycia): Ach! To znaczy, że on... kocha się w pani?

WEIFANG: Naprawdę nie powinnam o tym mówić. Mogłabym przynajmniej dochować jego tajemnicy... (Podkurcza nogi i wciąga je na kanapę, rozsiada się wygodniej, nagle odkrywa, że jedno udo ma całkowicie odsłonięte, wydaje cichy okrzyk: „Ojej!”, pośpiesznie osłania się szlafrokiem). Naprawdę ogromnie mi go żal. Kiedy odrzuciłam jego względy, był to dla niego taki cios, że zapadł na chorobę psychiczną.

PROFESOR HE: Rozumiem.

WEIFANG (z uśmiechem): Zobaczysz pan, gdy tylko nadarzy się okazja, będzie o mnie opowiadał okropne rzeczy - że krzywdzę innych, łamię serca. Proszę nie zwracać na niego uwagi.

PROFESOR HE: Oczywiście, nie będę się tym przejmował.

WEIFANG (nagle zmienia ton; pośpiesznie): Nie mówmy już o tym. Chodźmy się przejść, odetchnijmy świeżym powietrzem. (Wstaje).

PROFESOR HE (wstaje; z entuzjazmem): Z przyjemnością!

WEIFANG: Nie chciał pan przypadkiem jeszcze wpaść na górę?

PROFESOR HE: Ach nie, nie. Z chęcią rozejrzę się po okolicy. (Zbiera się do wyjścia razem z nią). (Wchodzi Rongsheng. Na jego widok Weifang bierze profesora pod ramię, uśmiecha się do niego czule. Profesor He jest w siódmym niebie, odwzajemnia uśmiech. Nagle dostrzega Rongshenga, nawiązuje z nim kontakt wzrokowy. Na poły zawstydzony, na poły rozgniewany, natychmiast odwraca głowę).

RONGSHENG (od niechcenia): Spacererek, profesorze?

PROFESOR HE (przekornie): A tak!

(Weifang wymaszerowuje dumnie do ogrodu, ramię w ramię z profesorem, nie zwracając najmniejszej uwagi na Rongshenga).

(Rongsheng patrzy za nimi).

(Na schodach pojawia się Weiling. Schodzi do salonu. Jej włosy ułożone są dokładnie na wzór fryzury Weifang).

RONGSHENG (słyszając stukot obcasów, odwraca głowę; do Weiling): O, Weiling, zmieniłaś uczesanie?

WEILING: I jak wyglądam? (Obraca głowę, pokazując mu fryzurę).

RONGSHENG (kręci głową): Po co uczesałaś się tak samo jak ona?

WEILING (z zawstydzonym uśmiechem): Nie rozumiem, o czym mówisz.

RONGSHENG (półgłosem): Wiem wszystko, nie musisz przede mną udawać.

WEILING (opiera się o koniec poręczy): Jak się domyśliłeś?

RONGSHENG: Myślisz, że tego nie widać?

WEILING (wystraszona): Czy Wenbing coś wie?

RONGSHENG: Gdyby nie był tak piramidalnie głupi, już dawno by się domyślił.

WEILING: Tylko pod żadnym pozorem nic mu niemów!

RONGSHENG: A po cóż miałbym mu mówić?

WEILING: Myślisz, że Weifang naprawdę go kocha?

RONGSHENG (kręci głową): Tylko się nim bawi. A teraz jeszcze złapała tego profesora He.

WEILING (gorączkowo): Co?

RONGSHENG: Nie miej złudzeń, z pewnością nie porzuci Wenbinga dla jakiegoś nieszczęsnego profesora. Za to jutro przyjeżdża syn Wanga Shounana - młody, a przy tym bogaty i ważny. Kiedy tylko się tu zjawi, zarówno profesor, jak i Wenbing pójdą w odstawkę. To twoja jedyna nadzieja. (Wchodzi Wenbing. Weiling ciągnie Rongshenga porozumiewawczo za połę ubrania; Rongsheng odwraca głowę i dostrzega Wenbinga).

WENBING: Gdzie Weifang?

RONGSHENG: Wyszła.

WENBING: Wyszła? Dokąd? Prosiła, żebym czekał na nią przy basenie. (Profesor He wchodzi pośpiesznie przez oszklone drzwi do salonu, rozgląda się, znajduje okulary przeciwsłoneczne).

PROFESOR HE: To okulary Weifang, prawda? Och... (Poprawia się): To okulary młodszej panny Ye, jak sądzę?

(Wenbing robi krok w stronę profesora).

RONGSHENG (do Weiling): Państwo pozwolą - to jest profesor He. (Do profesora He): A to starsza panna Ye.

PROFESOR HE (skłania głowę z uśmiechem; pośpiesznie): Przepraszam, pani młodsza siostra czeka na te okulary. Wyszła na spacer i zapomniała je zabrać. (Wychodzi w pośpiechu). (Chwila ciszy. Wenbing sprawia wrażenie, jakby chciał pójść za nim, lecz zatrzymuje się przed oszklonymi drzwiami, zastyga bez ruchu).

(Weiling patrzy na niego współczująco, z gorzkim uśmiechem).

SCENA XXVI

Miejsce: jadalnia.

(Weifang rozkłada na stole strój na bal maskowy i biżuterię. Profesor He siedzi obok i przygląda się).

(Wenbing wchodzi).

WENBING (z wymuszonym uśmiechem): Weiling zaprasza was na przekąskę.

WEIFANG: Już idziemy.

WENBING: To twoje przebranie na dzisiejszy wieczór?

WEIFANG: Owszem.

WENBING: Za kogo się przebierasz?

WEIFANG: Za cesarską konkubinę Yang Guifei. Qihua (pokazuje na profesora) wystąpi jako minister Gao Li - shi i będzie mi towarzyszył.

WENBING (powstrzymując złość, z nieszczerym uśmiechem): Taak? A kto będzie cesarzem Xuanzongiem?

WEIFANG: Nie mamy kostiumu dla cesarza. Dobrze, że chociaż te dwa udało się wypożyczyć. (Wkłada profesorowi nakrycie głowy cesarskiego urzędnika). Nie da się do tego nosić okularów. (Zdejmuje profesorowi okulary).

(Wenbing nie wytrzymuje, odwraca się na pięcie i wychodzi).

SCENA XXVII

Miejsce: salon.

(Rongsheng i Weiling posilają się w salonie. Na niskim stoliku przed kanapą stoją przekąski i kawa. Wchodzi Wenbing).

WEILING: Wenbing, masz jakiś strój na dzisiejszy bal maskowy? (Nalewa mu kawy).

WENBING: Nie, nie mam żadnego pomysłu. Jakoś nie pociągają mnie takie atrakcje...

(Weiling jest wyraźnie zawiedziona. Rongsheng patrzy na nią).

RONGSHENG (do Wenbinga): Chodź z nami, zawsze możesz wcześniej wrócić. To przecież tu, niedaleko (ruchem brody pokazuje w stronę okna), w hotelu Qing - shan.

WENBING: I tak nie mam się w co ubrać.

WEILING: Mamy przecież strój ojca, możesz go pożyczyć.

(Wchodzi Weifang z profesorem He. Wenbing czym prędzej podnosi trzymaną w rękę gazetę i zaczyna czytać).

WEILING (do Weifang): Powiedz, czy wzięliśmy ze sobą ten strój balowy ojca?

WEIFANG: Tak, tak mi się wydaje. (Siada, podaje kanapkę profesorowi He. Profesor zaczyna jeść).

WEILING (do Wenbinga): Zaraz ci go pokażę. (Wychodzi).
(Weifang nalewa kawę).

WENBING (do Weifang): Może zrobię ci jeszcze dwa zdjęcia w stroju Yang Guifei?

WEIFANG: Świetny pomysł. (Do profesora He): Zróbmy sobie dwie fotografie, będą na pamiątkę!

(Wenbing jest wściekły; szeleści głośno gazetą i zagłębia się ponownie w lekturze).

WEIFANG: Spójrz, Qihua, to nowy antyk, kupiony przez naszego ojca (Pokazuje naczynie z brązu, stojące na kominku). Możesz ocenić, czy jest autentyczny?

PROFESOR HE (wstaje i ogląda naczynie, kręci głową): Mówiłem już panu Ye, że ten typ naczyńia jest raczej niepewny...

RONGSHENG (ze śmiechem): Powinien pan wiedzieć, profesorze, że gdy ktoś bardzo chce dać się nabrać, nie pomogą żadne ostrzeżenia!

PROFESOR HE (oburzony): Kogo pan ma na myśli?

RONGSHENG (patrzy na niego z uśmiechem): A kogóż miałbym mieć na myśli? Wuj, rzecz jasna. Bo przecież nie pana, prawda?

WEIFANG (przerywa im; wachlując się chusteczką): Ależ gorąco, nie ma ani odrobiny przewiewu! (Do profesora He): Wyjdźmy stąd, posiedźmy na zewnątrz. (Wychodzi przez oszklone drzwi na werandę).

(Profesor He rzuca Rongshengowi zagniewane spojrzenie i wychodzi w ślad za Weifang).

SCENA XXVIII

Miejsce: weranda.

(Weifang opiera się o balustradę. Wychodzi profesor He, staje tuż obok niej).

PROFESOR HE: Ten twój kuzyn... rzeczywiście jest niezrównoważony.

WEIFANG: Proszę cię, nie zwracaj na niego uwagi.

PROFESOR HE (gładzi ją po ramieniu): Tym razem też szukał guza, prawda?

WEIFANG (wzdychając przeciągle): Ciągłe tak się zachowuje! Naprawdę mu współczuję...

PROFESOR HE: Jesteś taka dobra.

WEIFANG: Wiem. To moja wada: zbyt miękkie serce...

PROFESOR HE: O tak. To samo z Tao Wenbingiem - moim zdaniem, powinnaś mu szczerze powiedzieć, żeby o tobie zapomniał.

WEIFANG (odwraca twarz): Znowu zaczynasz...

PROFESOR HE: Nie widziałaś, jaki był wzburzony? Zachowywał się tak, jakbyś już należała do niego.

WEIFANG: Jego też mi żal.

PROFESOR HE: A może jednak... troszeczkę go kochasz?

WEIFANG: Nie! Oczywiście, że nie.

PROFESOR HE: To dlaczego nie dasz mu tego wyraźnie do zrozumienia?

WEIFANG: Nie mam serca tego zrobić. Tyle już wycierpiał, nie wiem, jak zniesie taki cios.

PROFESOR HE: Czasem trzeba być bezlitosnym. Im dłużej to potrwa, tym trudniej mu będzie przyjąć bolesną prawdę.

WEIFANG: Masz absolutną słuszość. Ale... widzisz, taka już jestem... Nie potrafię skrzywdzić nawet mrówki!

PROFESOR HE: Prędzej czy później będziesz musiała mu powiedzieć. (Chwyta ją za rękę; półgłosem): Powiedz mu teraz!

WEIFANG: Do niczego mnie nie zmuszaj, dobrze? (Kładzie głowę na jego piersi niczym rozpieszczone dziecko). Jak ty mnie dręczysz...

PROFESOR HE: (miętko): Weifang! (Obejmuje ją).

WEIFANG: Nie wiem, jak to się dzieje... Od chwili, gdy cię zobaczyłam, jestem tobą absolutnie oczarowana. Masz jakąś niezwykłą siłę przyciągania!

PROFESOR HE (słabym głosem): Naprawdę?

WEIFANG: Czy inne kobiety na twój widok też tak tracą zmysły?

PROFESOR HE (pompatycznie, tonem amanta): Weifang, bądź pewna, że kocham tylko ciebie!

WEIFANG: Qihua!

PROFESOR HE: Ale musisz być ze mną szczerą, moja droga. Czy to nie jest przelotne zauroczenie? Kochasz mnie naprawdę?

WEIFANG: Głuptas! Też mi pytanie...

(Profesor He chce ją pocałować. Przez oszklone drzwi wychodzi Weiling. Na jej widok Weifang czym prędzej odpycha profesora).

WEIFANG: O, chodź do nas, siostrze, tu jest tak chłodno i przyjemnie.

WEILING: Nie mogę znaleźć tego stroju. W pokoju taty go nie ma.

WEIFANG: Musi być w tej dużej skrzyni.

WEILING: Pójdę jeszcze poszukać. (Wchodzi z powrotem do domu).

WEIFANG (wystraszona): Widziała nas przed chwilą, prawda?

PROFESOR HE: Nie mam pojęcia.

WEIFANG: Nie wiadomo, od jak dawna stała w pobliżu, mogła usłyszeć wszystko, co mówiliśmy!

PROFESOR HE: A czy to ważne? Przecież nie mamy nic do ukrycia.

WEIFANG: Nie o to chodzi... Nasze uczucia są zbyt wzniosłe, zbyt czyste. Inni ludzie na pewno tego nie pojmą...

PROFESOR HE (trzymając ją mocno za rękę): Masz rację. Ale nie możemy przecież wiecznie ukrywać naszej miłości.

WEIFANG: Oczywiście. Ale na razie, bez względu na wszystko, nie wolno nam się zdradzić... (Przez oszklone drzwi wychodzi Wenbing. Profesor puszcza rękę Weifang. Wenbing przygląda się obojgu, powoli, melancholijnie przechodzi obok, staje w oddali, oparty o balustradę).

PROFESOR HE (pokazuje w jego stronę; szeptem): Teraz, powiedz mu!

(Weifang zdecydowanie kręci głową, profesor He zawzięcie kiwa na „tak”. Wenbing odwraca się i patrzy w ich stronę).

WEIFANG (pośpiesznie): Porozmawiajcie sobie; ja pójdę się wykąpać. (Czym prędzej odchodzi).

PROFESOR HE (milczy dłuższą chwilę; odchrząkuje; wyjmuje paczkę papierosów, podaje Wenbingowi): Zapali pan? (Wenbing nie zwraca na niego uwagi).

PROFESOR HE (zaciąga się): Panie Tao, chciałbym zamienić z panem kilka słów...

WENBING: A o czym tu rozmawiać?

PROFESOR HE: Weifang ma panu coś do powiedzenia, ale boi się pana reakcji.

WENBING (wybucha): Wolne żarty! Jeśli chce mi coś powiedzieć, może zrobić to sama! A pan z jakiej racji występuje w roli adwokata, co? (Uderza profesora He). Z jakiej racji? (Uderza znowu).

PROFESOR HE (krzyczy): Jak śmiesz podnosić na mnie rękę! (Oddaje cios. Dochodzi do zwarcia).

(Rongsheng wybiega przez oszklone drzwi).

RONGSHENG: Hej, hej! Co się tutaj dzieje?

PROFESOR HE: Ten łobuz jest agresywny!

WENBING (siłując się z profesorem; do Rongshenga): Podrywa moją dziewczynę, bezczelnie, na moich oczach! Jak tu takiemu nie przyłożyć?

RONGSHENG (usiłuje załagodzić spór): Spokojnie, panowie, spokojnie, do czego to doprowadzi?

WENBING (do Rongshenga): Nie mogę wprost pojąć - co ta Weifang w nim widzi?

RONGSHENG: Nie rozumiesz? Jest mężczyzną! I kropka. Każdego, który się nawinie, musi w sobie rozkochać i uwieść - tylko w ten sposób potrafi zaspokoić swoją próżność.

PROFESOR HE: Co? Obrażasz pan pannę Weifang! (Wymierza Rongshengowi siarczysty policzek, Rongsheng zatacza się i cofa kilka kroków).

WENBING (do profesora He): A co cię obchodzi, co kto mówi o Weifang? (Uderza się w pierś). To nie twój cholerny interes, dopóki ja tu jestem!

PROFESOR HE: Sam wtykasz nos w nie swoje sprawy! Kim ty dla niej jesteś?

WENBING: Nie twoja rzecz! A ty? Co? Kim jesteś dla Weifang? (Profesor He uderza Wenbinga; Wenbing oddaje cios. Rongsheng stoi obok, masując obolały policzek Rywale mocują są).

RONGSHENG (pojednawczo): No już dobrze, wystarczy, wystarczy. Szkoda się bić o taką kobietę...

WENBING: Znowu ją obrażasz! (Rzuca się na Rongshenga).

PROFESOR HE: Nie ruszaj go, to moja rzecz! (Atakuje Rongshenga). (Cała trójka kłębi się w walce. Przewracają wszystkie meble na werandzie, tłuką oszklone drzwi).

SCENA XXIX

Miejsce: sypialnia Weifang.

(Świeci lampa. Weifang siedzi przed toaletką i maluje się. Strój konkubiny Yang Guifei wisi na szafie).

(Wchodzi Weiling przebrana za europejską damę, w krynolinie).

WEILING: Jak ci się podoba mój strój, siostrzyczko?

WEIFANG: Piękny! Wyglądasz cudownie. Chodź bliżej, niech ci się przyjrzę. (Wstaje, obchodzi Weiling dokoła, przyglądając się uważnie sukni). O, tutaj coś źle leży. (Poprawia jej spódnicę).

WEILING (obraca się, przeglądając się w lustrze): Muszę ci coś powiedzieć, siostrzyczko...

WEIFANG: Tak? (Ciągnie za spodnią siostry; słychać trzask pękającego szwu). Ojej, a to dopiero!

WEILING: Co się stało?

WEIFANG: Ach, nic nie szkodzi, zaraz ci to zszyję. (Bierze igłę z nitką, klęka na podłodze i zabiera się do zaszywania sukni). Mówiłaś, że masz mi coś do powiedzenia?

WEILING: Słyszałam waszą rozmowę z profesorem He.

WEIFANG: Ach tak? I co usłyszałaś? Wszystko?

WEILING: Usłyszałam, że już go nie kochasz. Że nie kochasz Wenbinga.

WEIFANG: Aha? (Szyje dalej).

WEILING: Skoro go nie kochasz, czemu mu tego nie powiesz?

WEIFANG (szyje w wielkim skupieniu): A po co... mam mu cokolwiek mówić?

WEILING: Jeśli ty mu nie powiesz, ja to zrobię.

WEIFANG (po chwili milczenia podnosi głowę, patrzy na Weiling z uśmiechem): Nie miałam pojęcia, siostrzyczko, że Wenbing przypadł ci do gustu!

WEILING: Jak to nie miałaś pojęcia? Przecież wiedziałaś już dawno.

WEIFANG (śmieje się): No już dobrze, kochana, życzę ci powodzenia.

WEILING (krzyczy): Ajaj! (Chwyta się za plecy).

WEIFANG: Och, ukłułam cię? Boli?

WEILING: Więc nie zamierzasz mi powiedzieć?

WEIFANG: Nie.

WEILING: No to mi powiem i już.

WEIFANG: Na pewno ci nie uwierzy. Wścieknie się i pomyśli, że powtarzasz jakąś plotkę.

WEILING (zastanawia się): Chyba masz rację.

WEIFANG (odgryza nitkę, poprawia spódnicę Weiling): No, gotowe.

WEILING (obraca się przed lustrem, oglądając suknię): To znaczy, że nie zamierzasz dać mu kosza?

WEIFANG: Zgadza się.

WEILING: A profesor He?

WEIFANG: Mam ochotę na nich obu.

WEILING: Siostrzyczko, a może się dogadamy? Jutro przyjeżdża syn Wanga Shounana. Nie wystarczy ci on i profesor?

WEIFANG: Nie, nie idę na to. Lubię większe towarzystwo: im gwarniej, tym lepiej!

WEILING: Gwarniej, powiadasz. Przed chwilą bili się o ciebie. Wiesz o tym?

WEIFANG (uśmiecha się): Aha. Słyszałam, że kuzynek też brał w tym udział. Dziwne - właściwie co go to wszystko obchodzi?

WEILING: Na kuzyna też masz chrapkę, co?

(Weifang uśmiecha się i milczy; patrzy w lustro i maluje usta szminką. W lustrze widać, jak Weiling cicho wychodzi z pokoju).

SCENA XXX

Miejsce: salon.

(Weiling w czarnej jedwabnej masce, pelerynie i z torebką w ręku schodzi po schodach. W dole schodów odwraca głowę i widzi schodzącą Weifang, ubraną zwyczajnie; jest zaskoczona).

WEILING: O, czemu nie włożyłaś kostiumu?

WEIFANG (uśmiecha się): Nie idę.

WEILING: Dlaczego?

WEIFANG: Głowa mnie trochę boli.

WEILING (wpada w panikę; zdejmuje maskę; półgłosem): Wenbing wie, że zostajesz w domu? (Wchodzi Wenbing w przebraniu Szkota, które jest na niego za małe; spod przykrótkiego kraciastego kiltu widać uda).

WENBING: Patrz, Weiling... To do niczego, za krótkie!

WEIFANG (wybucha śmiechem): Cha cha! Coś pięknego! Wenbing, idź, przejrzyj się w lustrze! (Wenbing zawstydzony, spuszcza głowę i obciąga spódniczkę).

WEILING: Rzeczywiście, troszkę za krótka. Nie szkodzi!

WENBING: No nie, nie mogę występować w takim stroju. Przepraszam cię, Weiling, ale chyba nie pójdę...

WEILING: Ależ to całkiem bez znaczenia, w końcu chodzi tylko o zabawę!

WENBING: Nie, naprawdę, lepiej już idźcie beze mnie. Jest jeszcze Rongsheng, tańczy dużo lepiej...

(Weiling milczy).

WENBING (do Weifang siląc się na obojętny ton): Podobno ty też zostajesz.

WEIFANG: Tak, jestem zmęczona. Wolę skorzystać z okazji i odpocząć w domu.

WENBING: Jeśli chcesz, możemy przespacerować się po ogrodzie, księżyc tak pięknie dzisiaj świeci...

Weifang (z czarującym uśmiechem): Jesteś taki jak ja, najbardziej ze wszystkiego cenisz spokój.

WENBING: O, tak... (Do Weiling): Bardzo cię przepraszam.

WEILING (wkłada z powrotem maskę; żywo): Nic nie szkodzi! A kuzyn? Pójdę sprawdzić, czy już się wyszykował. (Wychodzi).

WENBING: Twoja siostra nie wyglądała na szczęśliwą. Ciekawe czemu...

WEIFANG: A skąd ja mogę wiedzieć?

WENBING: Chodźmy do ogrodu, Weifang. Jeśli ten profesor He będzie się za nami włóczył, nie zwracaj na niego uwagi.

WEIFANG: Ach, nie masz pojęcia... Ten człowiek klei się do mnie jak cukierek!

WENBING: Nie rozumiem, dlaczego mu nie powiesz, żeby się odczepił?

WEIFANG: Mam zbyt miękkie serce.

WENBING: Czasem trzeba działać stanowczo i bez litości. Im dłużej to potrwa, tym trudniej mu będzie przyjąć twoją odmowę.

WEIFANG: Masz absolutną rację, ale ja już taka jestem... Nie potrafię skrzywdzić nawet mrówki.

WENBING: No cóż, na to nic nie można poradzić...

WEIFANG (wzdycha): Wiem... Biedny ten He. (Kładzie Wenbingowi głowę na piersi; mówi cicho, z uczuciem): Wenbing, powiedz, czy ty mnie naprawdę kochasz?

WENBING (cicho): Kocham cię. Kocham cię. (Całuje Weifang).
(Wchodzi profesor He).

PROFESOR HE (rozwścieczony, do Wenbinga): A ty co tu robisz?

WENBING (odwraca głowę): Co robię? Zgadnij! (Ponownie całuje Weifang).

PROFESOR HE (odciąga go i wygraża pięścią przed nosem): I jak tu nie zatłuc takiego drania?!

WEIFANG (pojednawczo): Ależ, panie profesorze, proszę się tak nie unosić!

PROFESOR HE: Odejdź, Weifang, to nie twoja sprawa.

WENBING (do Weifang): Słusznie, zostaw nas, sam się nim zajmę! (Biją się).

WEIFANG (próbując ich rozdzielić): Przestańcie! Czyście powariowali?

(Wchodzi Rongsheng z ręką na temblaku i plastrem w kształcie krzyżyka na twarzy).

RONGSHENG (z daleka; głośno): W porządku, panowie! Nie bić się, jedna bójka na popołudnie wystarczy!

(Za Rongshengiem wchodzi Weiling).

WEILING (z całych sił stara się rozdzielić Wenbinga i profesora He): Kuzynie! Pomóż mi!

RONGSHENG (macha ręką): Raz już próbowałem godzić zwaśnionych i widzisz, jak teraz wyglądam. Jeśli znowu się wtrączę, mogę postradać swoje cenne życie... (Wenbing i profesor He, nagle zawstydzeni, przestają się bić).

WENBING (podchodzi do Rongshenga): Rongsheng, nic ci nie jest?

WEILING: Uszkodził sobie rękę, wygląda to dość poważnie. Opatrzyłam go.

WEIFANG (do Rongshenga): Zamierzasz pójść tak na tańce?

WEILING (ze śmiechem): O nie! Nikt nigdzie nie pójdzie...

(Wchodzi służąca).

SŁUŻĄCA: Starsza pani prosi, żeby młodszy pan użył tego lekarstwa. (Wręcza Rongshengowi pudełeczko z lekarstwem).

WEILING (bierze pudełko, zagląda do środka): to proszek z Yunnanu. Słyszałam, że to mocny środek.

WEIFANG (DO RONGSHENGA): Warto wypróbować. Daj, zdejmę ci to. (Zabiera się do rozwijania bandaża).

WEILING: Chodźmy lepiej do jego pokoju.

(Rongsheng, Weiling i Weifang wychodzą; za nimi służąca).

WENBING (do profesora He): No, teraz nareszcie możemy pogadać szczerze.

PROFESOR HE: W porządku.

(Obaj siadają. Chwila milczenia).

PROFESOR HE (szczerze): Jestem panu winien przeprosiny.

WENBING (szczerze): Ja też nie jestem bez skazy.

PROFESOR HE: Ależ nie, to wszystko przeze mnie. (Nieco nieśmiało): Gdyby Weifang nie zakochała się we mnie, nie byłby pan teraz taki nieszczęśliwy.

WENBING (zaskoczony): Zakochała się w panu? Skąd pan to wie, profesorze He?

PROFESOR HE: Sama mi to wyznała, rzecz jasna.

WENBING (wybucha śmiechem): Panie profesorze, niech pan się nie oszukuje! Dosłownie przed chwilą Weifang skarżyła mi się, że jest pan odrażający, klei się do niej jak cukierek i nie chce zostawić jej w spokoju!

PROFESOR HE (wstaje gwałtownie): Co za bzdury! Szukasz pan guza? (Wygraża mu pięścią i przyjmuje bojową postawę). No, chodź pan!

WENBING (również wstaje): Proszę bardzo! Myślisz, że się ciebie boję?

(Stają naprzeciwko siebie, gotując się do walki. Po chwili milczenia profesor He wybucha śmiechem).

PROFESOR HE: A to ci dopiero! Co za cudaczny strój! (Śmiejąc się, pada na kanapę).

WENBING (spuszcza głowę i zerka na swój szkocki kilt): Nie da się ukryć, raczej niecodzienny...

PROFESOR HE: Nie potrafię się bić z kimś, kto tak wygląda!

WENBING: W takim razie dajmy temu spokój... Lepiej uczciwie obgadać sprawę,

PROFESOR HE: W porządku. (Siada wyprostowany).

WENBING: Więc posłuchaj: Przed chwilą próbowałem przekonać Weifang, że powinna ci wszystko uczciwie wyjaśnić, żebyś nie robił sobie nadziei. A ona na to, że ma zbyt miękkie serce, że nie potrafi ci powiedzieć...

PROFESOR HE (zszokowany): Nie potrafi mi powiedzieć?

WENBING (unosi rękę, żeby go uciszyć): Daj dokończyć. Nie potrafi ci powiedzieć, że cię nie kocha, więc tłumaczę jej: Czasem trzeba być stanowczym. Im dłużej będziesz zwlekać, tym większą przykrość sprawi mu twoja odmowa.

PROFESOR HE (blednie): A ona? Co ona na to?

WENBING: Ona na to, że jest po prostu zbyt wrażliwa, że nie potrafi skrzywdzić nawet mrówki...

PROFESOR HE: Coo? (Wstaje i zaczyna nerwowo przechadzać się po pokoju). Naprawdę tak ci powiedziała?

WENBING: Dokładnie tak.

PROFESOR HE: Że nie potrafi skrzywdzić nawet mrówki?

WENBING: Zgadza się.

PROFESOR HE: A niech to! (Powoli doczłapuje do kanapy, siada zrezygnowany).

WENBING: Co się stało?

PROFESOR HE: Po prostu nie mogę w to uwierzyć... Nie do wiary! To wszystko twoje intrygi, chcesz zniszczyć naszą miłość! (Podrywa się, wskazuje Wenbinga oskarżycielskim gestem). Dziś po południu, kiedy rozmawialiśmy, schowałeś się gdzieś w pobliżu i podsłuchałeś wszystko!

WENBING: Nie opowiadaj bzdur!

PROFESOR HE: To moje słowa. „Czasem trzeba być bezlitosnym. Im dłużej to potrwa, tym trudniej mu będzie przyjąć tę bolesną prawdę”. A jej odpowiedź była identyczna!

WENBING (osłupiały): O mrówkach?

PROFESOR HE (kiwa głową): O mrówkach!

WENBING: Krótko mówiąc, wykiwała nas obu!

PROFESOR HE: Na to wygląda. To płocha dziewczyna, lubi się bawić mężczyznami...

WENBING (rozgniewany): Posuwasz się za daleko, obrażasz ją! (Zrywa się i przyjmuje wojowniczą postawę).

PROFESOR HE (podnosi rękę, chcąc go powstrzymać): Spokojnie, spokojnie. (Wenbing siada, zrezygnowany. Obaj siedzą ze zbolalymi minami, ukrywając twarze w dłoniach).

WENBING: I co teraz począć?

PROFESOR HE: Chodźmy do niej razem. Porozmawiajmy z nią twarzą w twarz. Spytajmy, którego z nas kocha.

WENBING (ze smutkiem): Jeśli powie, że kocha mnie, to... wpadłem, koniec ze mną.

PROFESOR HE: Wierzysz jej jeszcze?

WENBING: Doskonale wiem, że jest kłamczuchą, mimo to ciągle jej wierzę!

PROFESOR HE: A jeśli powie, że to mnie kocha?

WENBING: W tym moja jedyna nadzieja...

PROFESOR HE (klepie Wenbinga serdecznie po ramieniu): W takim razie, ze względu na ciebie - mam nadzieję, że wybierze mnie.

WENBING (wzruszony): Qihua, dobry z ciebie kumpel... (Klepie go po ramieniu).

PROFESOR HE: Ee, to nic takiego...

WENBING: Qihua, chodźmy stąd, skoczmy na jednego!

PROFESOR HE: Świetny pomysł, idziemy! Ja stawiam!

(Ramię w ramię kierują się do wyjścia; wpadają na wchodzącego Rongshenga).

WENBING (radośnie): Rongsheng, idziemy z Qihua się napić do hotelu Qingshan, przyłączysz się?

RONGSHENG (wytrzeszcza oczy ze zdumienia): Co ja słyszę? „Idziemy z Qihua się napić”? Kto się czubi, ten się lubi! (Puszcza ich przodem, po czym nagle coś sobie przypomina, chwytą Wenbinga za ramię): Ach, byłbym zapomniał. Weifang kazała ci powiedzieć, że czeka na ciebie w ogrodzie.

WENBING: To sobie jeszcze poczeka!

PROFESOR HE (do Rongshenga): Powiedz jej, że czasem trzeba być bezlitosnym. Im dłużej to potrwa, tym trudniej jej będzie przyjąć tę bolesną prawdę.

WENBING: I jeszcze, żeby uważała, gdzie stąpa, bo może nadepnąć jakąś biedną mrówkę!

(Wenbing i profesor He wychodzą. Rongsheng patrzy za nimi zdumionym wzrokiem).

SCENA XXXI

Miejsce: przed letnim domem.

(Przed wejściem na werandę wisi lampion, światło pada na schodki i część trawnika. Wenbing, podtrzymując profesora He, człapie powoli; wchodzi w krąg światła). (Rongsheng siedzi na stopniu, paląc papierosa).

WENBING: O, Rongsheng, pomóż mi go wnieść, proszę cię!

RONGSHENG (pomaga Wenbingowi podtrzymać profesora He):
Pan profesor przeholował?

PROFESOR HE (czka): Ja?

WENBING: Pije jak smok! (Otwiera przeszkłone drzwi i wciąga profesora do środka).

SCENA XXXII

Miejsce: salon.

(Wchodzą Rongsheng i Wenbing podtrzymując profesora He).

RONGSHENG (do Wenbinga): Odprowadzimy go do jego pokoju? Późno już, powinien iść spać.

WENBING: O nie, musimy jeszcze rozmówić się z Weifang.

RONGSHENG: Rozmówić się? (Z pomocą Wenbinga sadza profesora na kanapie).

WENBING: No tak, niech się w końcu zdeklaruje - czy to mnie kocha, czy jego? (Siada obok profesora He).

PROFESOR HE (z głową na oparciu kanapy; kiwnięciem brody wskazuje Wenbinga; do Rongshenga): On ciągle się łudzi... Wystarczyło, że szepnęła mu słówko o miłości, a dosłownie jadł jej z ręki. Uwierzyłbyś?

WENBING: A ty byś nie jadł? Dobrze wiesz, że nie ma podstaw, byś żywił jakieś nadzieje, więc odbijasz sobie, zgrywając twardziela!

PROFESOR HE (rozzłoszczony): A to co znowu za mowa? (Podrywa się z kanapy).

RONGSHENG (powstrzymuje go): Spokojnie, tylko się znowu nie pobijcie.

(Wenbing i Rongsheng obrzucają się nawzajem urażonymi spojrzeniami, po czym uspokajają się).

RONGSHENG (siada): Obiektywnie rzecz biorąc, jeśli Weifang rzeczywiście będzie wybierać między wami dwoma, zapewne wybierze Wenbinga. (Do profesora He). Jest od ciebie młodszy i przystojniejszy.

PROFESOR HE (nieprzekonany): No cóż, młodszy jest bez wątplenia. (Z zadowoleniem przygląda włosy, poprawia okulary).

WENBING (ironicznie): Ale przystojniejszy to już nie, co?

RONGSHENG: Dobra, dobra, uspokójcie się obaj. Jak sobie dacie radę z Weifang, jeśli będziecie tak na siebie naskakiwali?

PROFESOR HE: Słusznie! Wszystkie kobiety są takie same. Okropne istoty! Jeśli nie chcemy dobrowolnie oddać im się w niewolę, my, mężczyźni, musimy działać razem!

WENBING: Racja! Racja! (Podnosi wysoko rękę). Mężczyźni całego świata, jednoczmy się, by pokonać kobiety!

RONGSHENG (także podnosi rękę; głośno): Kto za, ręka w górę!

PROFESOR HE (podnosi obie ręce): Dwa głosy poparcia!

WENBING (podnosi drugą rękę; wracając do poprzedniego tonu): Masz jeszcze jeden głos, podrywaczu cudzych dziewczyn!

RONGSHENG (uderza go w rękę): Znowu zaczynasz?

(Weifang powoli schodzi po schodach, dumna, lecz smutna. Profesor He na jej widok trąca porozumiewawczo łokciami Wenbinga i Rongshenga. Wszyscy trzej wstają niepewnie).

WEIFANG (do Wenbinga i profesora He): Mój kuzyn przekazał mi od was kilka słów, ale nic z tego nie zrozumiałam. Możecie mi wyjaśnić? (Zatrzymuje się w dole schodów).

(Brak odpowiedzi).

RONGSHENG (patrzy na Wenbinga i profesora He): Co, nabraliście wody w usta? Dalej, dalej, kto odda pierwszy strzał?

(Obaj uparcie milczą).

RONGSHENG (do Weifang): Ci dwaj panowie uważają, że ich oszukujesz, że igrasz z ich uczuciami.

PROFESOR HE: Otóż to. Powiedziałaś mi, że mnie kochasz, a Wenbinga nie znosisz, a jemu - że to mnie nie cierpisz, a jego kochasz.

WENBING: Zdecyduj się więc, którego z nas kochasz?

WEIFANG (pogardliwie): Hm! (Odwraca się napięcie, zamierzając odejść).

RONGSHENG: Jak to, nie raczysz zaszczycić nas odpowiedzią?

WEIFANG: Oczywiście, że nie. Kogo Kocham, kogo nie Kocham - to moja sprawa, nikomu nic do tego.

RONGSHENG (wybuchając śmiechem, odwraca się do Wenbinga i profesora He): Wyśmienite! Naprawdę ją podziwiam!

(Weifang zamierza wrócić na górę, lecz Rongsheng chwyta ją za ramię).

WEIFANG: Czego chcesz?

RONGSHENG: Najpierw odpowiesz na pytanie.

WEIFANG: A jeśli nie odpowiem? Nie pozwolisz mi odejść?

RONGSHENG: Nie pozwolę.

WEIFANG (strząsa jego rękę): Więc dobrze, niech wam będzie. Chcecie wiedzieć, kogo kocham? No to wam powiem. (Do Rongshenga): Ciebie kocham.

(Rongsheng wzdryga się. Zapada grobowe milczenie).

WEIFANG: Dobranoc. (Wchodzi na górę).

(Wenbing i profesor He patrzą tępo za nią. Rongsheng pada na kanapę).

PROFESOR HE (drapie się w głowę): Jak myślicie, czy to było zwycięstwo, czy klęska?

RONGSHENG (z gorzkim uśmiechem): Zwycięstwo? Ja chyba śnię!

WENBING (posepnie): Przynajmniej pod jednym względem jestem wygrany: nic już mi nie grozi.

RONGSHENG: A ja się boję... naprawdę się boję!

PROFESOR HE (protekcjonalnym gestem kładzie mu rękę na ramieniu): Taki miody - skąd te złe przeczucia?

RONGSHENG: Nie jestem w stanie jej się oprzeć...

PROFESOR HE: Musisz być silny. Nie wolno ci wyłamać się z naszego wspólnego frontu.

RONGSHENG: Musicie mi coś obiecać.

WENBING: Co?

RONGSHENG: Że będziecie mnie pilnować. Nie będziecie odstępować mnie nawet na krok i pod żadnym pozorem nie pozwolicie, bym został z Weifang sam na sam.

PROFESOR HE (do Wenbinga): Ten młody człowiek jest do niczego. W jego sercu nie ma ani krzty odwagi.

WENBING (do Rongshenga): W porządku, obiecuję.

RONGSHENG (kręci głową): Beznadziejna sprawa. Idę spać, do zobaczenia jutro. (Wychodzi).

WENBING (wzdycha): Właściwie czego się tak boisz? Wybrała ciebie, powinieneś być zadowolony - dostałeś coś, o co inni starali się bez skutku!

RONGSHENG: Zawracanie głowy. Związek z taką osobą to proszenie się o kłopoty. Ona jest kompletnym przeciwieństwem kobiety moich marzeń.

WENBING: A jaka jest kobieta twoich marzeń?

RONGSHENG: Po pierwsze, musi być szczerą i dobrą, po drugie, musimy się dobrze rozumieć, no i po trzecie - powinna kochać mnie naprawdę.

WENBING: W sumie Weiling całkiem nieźle do tego pasuje!

RONGSHENG (zastanawia się): Hm. (Uśmiecha się). Ale jeden warunek nie jest spełniony. Weiling na pewno mnie nie kocha. Gdybym był na twoim miejscu, to właśnie o nią bym zabiegał...

WENBING: Co powiedziałeś?

RONGSHENG (orientując się nagle, że powiedział za dużo): A niech to, chwila nieuwagi, i już coś się wymknęło...

WENBING: Co mówisz? Nie rozumiem.

RONGSHENG: Ależ z ciebie głupiec! Weiling jest w tobie zakochana, naprawdę nic nie zauważyłeś?

WENBING (zaskoczony; ze śmiechem): Co ty opowiadasz?

RONGSHENG: Mówię poważnie.

WENBING: Nie wierzę.

RONGSHENG: Nie wierzysz? Poobserwuj ją uważnie, a przekonasz się.

WENBING (zaniepokojony): O, właśnie idzie!

(Wchodzi Weiling, ubrana zwyczajnie).

WEILING: Kuzynie, jak tam twoje ramię? Bardzo cię boli?

RONGSHENG: Ach, nie, jest już dużo lepiej.

(Wenbing przygląda się Weiling tępo, z otwartymi ustami; w jego oczach widać mieszaninę zdumienia, podejrzliwości i skrępowania).

WEILING (do Wenbinga, z uśmiechem): I jak, byliście w końcu w hotelu Qingshan?

WENBING (zmieszany): Tak... Ale nie tańczyliśmy, poszliśmy tylko się napić z profesorem He.

WEILING: A gdzie profesor?

WENBING: Trochę się wstawił i poszedł spać.

WEILING: A ty jak się czujesz? Może zjadłbyś trochę owoców?

RONGSHENG: Dobry pomysł, ja ci przyniosę. (Wychodzi).

(Chwila ciszy. Wenbing jest niespokojny).

WENBING: Weiling...

WEILING: Tak?

WENBING (powoli wychodzi zza kanapy, idzie w kierunku Weiling): Przepraszam za dzisiejszy wieczór - nie poszedłem z tobą potańczyć...

WEILING: Nic nie szkodzi. Właściwie to wcale nie przepadam za tańcami. Nie lubię tłumów, gwaru.

(Chwila ciszy).

WENBING: Weiling...

WEILING: Co?

WENBING: Nie, nic... (Zakłopotany, zmienia kierunek, okrąża salon): Przed chwilą, kiedy wracaliśmy, zanosiło się na deszcz.

WEILING: Naprawdę? Mam nadzieję, że jutro nie będzie padało. (Milczy. Wenbing wyjmuje z kieszeni papierośnicę).

WENBING (podejmuje nagłą decyzję, podchodzi do Weiling): Weiling, muszę ci coś powiedzieć... (Otwiera papierośnicę, lecz gdy zwraca się ku Weiling jej zawartość wysypuje się na podłogę). (Weiling śmieje się, klęka i zaczyna zbierać papierosy. Wenbing czyni to samo. Nagle zbliża się do niej, jakby chciał ją pocałować).

SCENA XXXIII

Miejsce: jadalnia.

(Rongsheng podchodzi do kredensu, bierze dużą kryształową paterę, pełną różnych owoców. Gdy ma już wyjść z jadalni, wchodzi Weifang).

WEIFANG (czule): Kuzynku...

RONGSHENG (poruszony; z wysiłkiem zachowuje spokój): Jeszcze nie śpisz?

WEIFANG: Mam ci coś do powiedzenia.

RONGSHENG: Już późno, właśnie idę się położyć. (Chce wyjść, ale Weifang mocno przytrzymuje go za ramię).

WEIFANG: Nie uwierzyłeś w moje słowa, prawda?

RONGSHENG (niepokojnie, wyglądając pomocy): Nie, nie uwierzyłem.

WEIFANG (spokojnie, smutnym tonem): Wiedziałam, że mi nie uwierzysz. Ale bez względu na to, czy wierzysz mi, czy nie - muszę ci wyznać...

RONGSHENG (nerwowo uwalnia rękę, ucieka w drugi kąt pomieszczenia): Dobrze, wyznasz mi jutro.

WEIFANG: Kuzynku, nigdy nie kochałam nikogo prócz ciebie. Gdy uwodziłam innych - to wszystko było na pokaz, tylko po to, żeby wzbudzić twoją zazdrość.

RONGSHENG: Szkoda, że nie czułem się ani trochę zazdrosny.

WEIFANG (odchodzi): Wiem, że mną gardzisz (uśmiecha się gorzko). W sumie to zabawne - kiedy kłamię, wszyscy mi wierzą, a tym razem, gdy mówię szczerą prawdę, nie wierzy mi nikt!

RONGSHENG: Zbyt długo oszukiwałaś innych. Masz, na co zasłużyłaś.

WEIFANG (smutno): W porządku. Pójdę już. Do jutra. (Wychodzi; w drzwiach odwraca się). Kocham cię. Kochałam się w tobie od dziecka!

RONGSHENG (uśmiecha się ironicznie): Starczy, starczy.

WEIFANG: Zawsze cię kochałam!

RONGSHENG (półgłosem): Co za nieznośna dziewczucha. (W końcu nie wytrzymuje, podchodzi do Weifang i obejmuje ją czule).

WEIFANG (uradowana): No mów, kuzynie.

RONGSHENG (wciąż chce się wymigać): A co mam mówić?

WEIFANG: Powiedz, że mnie kochasz!

RONGSHENG (odsuwa się, zniechęcony): A bez mówienia się nie da? Ech! (Z rezygnacją; krzyczy): Ko - cham - cię!

WEIFANG (euforycznie): Kuzynku!

RONGSHENG (obrażony): Zadowolona? (Wychodzi z jadalni z paterą owoców). (Na twarzy Weifang rozkwita zwycięski uśmiech).

SCENA XXXIV

Miejsce: salon.

(Wchodzi Rongsheng z owocami akurat w chwili, gdy Wenbing całuje Weiling. Na ten widok wycofuje się pośpiesznie. Oboje niczego nie zauważyli. Weiling odpycha Wenbinga. Jest zaskoczona, pełna obaw i sprzecznych uczuć. Wenbing nie rozumie, czemu Weiling go odrzuca).

WEILING: Chyba jednak za dużo wypieś.

(Wenbing milczy).

(Rongsheng pokasłuje, stojąc za drzwiami. Wchodzi powoli

Wenbing pośpiesznie się podrywa).

RONGSHENG: Przyniosłem ci owoce.

WENBING (bierze z patery jabłko): Dziękuję. Pójdę już spać.
Dobranoc.

RONGSHENG: Coś się stało?

WEILING: Dziwnie się zachowywał.

RONGSHENG: Hm?

WEILING: Sporo wypił, prawda?

RONGSHENG (po chwili milczenia): To pewnie dlatego, że mu powiedziałem...

WEILING (przerazona): Kuzynku! Powiedziałeś mi? Powiedziałeś mi, że go kocham?

RONGSHENG: Nie gniewaj się...

WEILING: A właśnie, że się gniewam! Coś ty narobił! Teraz będzie umierał ze wstydu na mój widok! Będzie się mnie bał!

RONGSHENG: Nie przejmuj się, jutro jeszcze raz z nim porozmawiam - wyjaśnię mu, że go oszukałem, chlapię tak dla żartu...

WEILING: Daruj sobie. Im więcej gadania, tym gorzej. Już wystarczająco mi zaszkodziłeś!

RONGSHENG (ponuro): Nie dobijaj mnie, Weiling... Dostyc mam swoich kłopotów.

WEILING: A co się stało?

RONGSHENG (zaczyna nerwowo przechadzać się po pokoju): Weifang wyznała mi miłość.

WEILING: No? I co ty na to?

RONGSHENG: Kocham się w niej od dawna.

WEILING: No i cóż w tym złego? Czym się martwisz?

RONGSHENG: Pomyśl tylko. Jeśli ożenię się z taką kobietą jak ona, moje życie legnie w gruzach. Jak ją utrzymam z pisania tych moich powieści? Jeśli chcę zadbać o własną przyszłość, zachować swoje ideały - powinienem uciekać, gdzie pieprz rośnie!

WEILING: Dokąd chcesz uciekać? Jest twoją daleką krewną - zamierzasz jej unikać przez całe życie?

RONGSHENG: Kiedy tylko wrócę do miasta, kupuję bilet na samolot i lecę do Rangun.

WEILING: Dlaczego akurat do Rangun?

RONGSHENG: Zostanę mnichem buddyjskim!

(W rogu obrazu pojawia się koło, w którym widać drugiego Rongshenga z ogoloną czaszką; wiatr rozwiewa jego jasnopomarańczową mnisią szatę, gdy przechadza się boso przed złotym posągami Buddy; na jego twarzy maluje się spokój, mruży oczy w oślepiającym blasku tropikalnego słońca).

RONGSHENG: Wyjeżdżam wcześniej rano, pewnie już się nie zobaczymy. Więc żegnam się z tobą teraz...

WEILING: Kuzynku... (Kładzie mu rękę na ramieniu). Ona chyba rzeczywiście cię kocha.

RONGSHENG (boleśnie): Dość już, nie mówmy o tym. (Odwraca się i wychodzi. Opisane wyżej koło powoli sunie za nim. Zasłania je gałąź drzewa rosnącego przed domem, krąg stopniowo chowa się za jego czarną sylwetką. Wyłania się ponownie w postaci wielkiej miodowej tarczy na niebie. Rongsheng smutno wpatruje się w księżyc).

SCENA XXXV

Miejsce: hol.

(Wczesny poranek. Drzwi do sypialni Rongshenga uchylają się po cichu. Wenbing wystawia głowę na zewnątrz i rozgląda się, po czym odwraca w kierunku wnętrza, kiwa głową i robi przyzywający gest ręką. Wychodzi z sypialni, za nim, na paluszkach, Rongsheng ze skórzaną walizką). (Wenbing otwiera drzwi wejściowe. Dostrzega Weifang która stoi z rękoma splecionymi, oparta o kolumnę).

WENBING (półgłosem, do Rongshenga): Uwaga! Weifang tu jest. (Rongsheng puszcza walizkę i ucieka z powrotem do sypialni, zamyka się, trzaskając drzwiami i szcękając zasuwką).

WENBING (podnosi walizkę Rongshenga, cierpliwie puka do drzwi): Spokojnie, możesz otworzyć, to tylko ja.

SCENA XXXVI

Miejsce: weranda.

(Weifang stoi oparta o kolumnę. Rongsheng odważa się wyjść z walizką w rękę; za nim Wenbing).

WEIFANG (zastępuje mu drogę): Wyjeżdżasz, kuzynie? Dlaczego tak nagle?

RONGSHENG: Wypadło mi coś ważnego, muszę wracać jak najszybciej.

WEIFANG (do Wenbinga): Wenbing, proszę, zostaw nas na chwilę. Chcę zamienić z kuzynem kilka słów.

(Wenbing stoi nieruchomo z założonymi rękami, milczy).

RONGSHENG: Możesz mówić w jego obecności.

WEIFANG: To prywatna sprawa, nie mogę o tym mówić przy innych.

RONGSHENG: W takim razie nic nie mów.

WEIFANG (po chwili milczenia): Niech będzie. Właściwie nie mam nic specjalnego do powiedzenia. Jeśli chcesz odejść, nie będę cię zatrzymywać. Wiem doskonale, że uciekasz przede mną. (Łka).

RONGSHENG (łagodnieje): Dzięki temu szybciej o mnie zapomnisz.

WEIFANG: Nigdy cię nie zapomnę. Proszę, napisz do mnie, kiedy tylko będziesz mógł!

RONGSHENG (ciepło): Oczywiście, na pewno do ciebie napiszę. Mogę pisać nawet codziennie...

WEIFANG: Kuzynie, chciałabym... (kładzie rękę na jego ramieniu, zagląda mu w twarz)... ten ostatni raz... powiedzieć ci „do widzenia”.

(Długie milczenie. Na twarzy Rongshenga malują się silne, sprzeczne emocje).

RONGSHENG (niespodzianie): Wenbing, odejdz, proszę.

(Wenbing stoi nieporuszony).

RONGSHENG: Wenbing, zostaw nas samych.

(Wenbing udaje, że nie dosłyszał).

RONGSHENG (groźnie robi krok w jego stronę): Pójdiesz sobie czy nie?

WENBING (powoli): Pamiętaj, bądź rozsądny. Bądź rozsądny.

(Rongsheng wpatruje się w niego, pomału odzyskując kontrolę nad sobą).

RONGSHENG: Bardzo ci dziękuję, że mnie otrzeźwiłeś. (Podnosi walizkę i schodzi po schodach. Wenbing idzie za nim).

(Weifang z poczuciem klęski i krzywdy, odwraca się na pięcie i wchodzi do domu).

SCENA XXXVII

Miejsce: przed garażem.

(Drzwi garażu są szeroko otwarte. W środku pusto. Nadchodzi Wenbing i Rongsheng zaglądają do środka. Obok przechodzi służący z gumowym wężem do polewania).

RONGSHENG (przywołuje służącego): Halo, a gdzie wóz?

PRACOWNIK: Starszy pan wyjechał nim wcześniej rano na lotnisko.

RONGSHENG (do Wenbinga): Aa! Pojechał odebrać syna Wanga Shounana. (Służący odchodzi).

WENBING (półgłosem, do Rongshenga): Gratulacje, masz już swojego następcę. Kiedy zobaczy syna Wanga Shounana, na ciebie pewnie już więcej nie spojrzy.

(Rongsheng śmieje się z goryczą).

SCENA XXXVIII

Miejsce: jadalnia.

(Weiling je śniadanie. Weifang siedzi naprzeciwko niej, z brzękiem miesza łyżeczką czarną herbatę).

WEILING (ironicznie): Nie idziesz się wyszykować na przybycie szanownego gościa? Syn pana Wanga Shounana zaraz tu będzie. Gdyby kuzyn został, i tak nie miałybyś już dla niego czasu...

WEIFANG: Oo, widzę, że język ci się wyostrzył, siostrzyczko. Ciekawe, kto cię tego nauczył? (Znacząco): A gdzież się podział Wenbing? Czemu nie zszedł na śniadanie?

WEILING: Nie widziałam go dzisiaj.

WEIFANG: Jak się chwilę zastanowię, to zaczynam mu trochę współczuć. Trzeba będzie biedaka pocieszyć, to na pewno.

WEILING (zaskoczona): Co, znowu masz na niego chrapkę?

WEIFANG (ze słodkim uśmiechem): Bardzo lubię Wenbinga. Znasz się na mężczyznach, siostrzyczko, masz naprawdę świetny gust!

(Wstaje, wychodzi).

(Weiling jest zdenerwowana, traci apetyt).

(Wenbing wchodzi, widok Weiling go onieśmiela).

WEILING (jak gdyby nigdy nic): Kuzyn już wyjechał?

WENBING: Jeszcze nie. Czeka na samochód.

WEILING (wstaje): Pójdę go odprowadzić.

WENBING: Weiling, muszę cię przeprosić. Wczoraj wieczorem naprawdę za dużo wypilem...

(Weiling spuszcza głowę, milczy).

WENBING: Wszystko przez twojego kuzyna. Bez dania racji stroi sobie ze mnie żarty. Powiedział mi... (Śmieje się sztucznie). Doprawdy, trudno mi o tym mówić, to zbyt niedorzeczne. Powiedział, że... że zakochałaś się we mnie od pierwszego wejrzenia! (Znów się śmieje).

WEILING (półgłosem): A to intrygant z tego kuzynka.

WENBING: Na trzeźwo nigdy bym mu nie uwierzył. (Śmieje się). Ale wczoraj byłem zdziwiony, że nie powiedziałaś czegoś w rodzaju: „Ach, całe szczęście...”

WEILING: A gdybym powiedziała „Ach, całe szczęście...”? Co byś zrobił?

WENBING: Odpowiedziałbym ci coś w rodzaju: „Zawsze cię kochałem, sam o tym nie wiedząc”.

WEILING: Niemożliwe, na pewno nie powiedziałabyś czegoś takiego!

WENBING (przepraszająco): Wczoraj wieczorem byłem bliski pomieszania zmysłów. Spotkało mnie coś przykrego...

WEILING (cicho): A dziś? Jesteś już w dobrej formie?

WENBING (śmieje się): Nie bój się, dziś wszystko ze mną w porządku.

WEILING: I już nie będziesz bliski pomieszania zmysłów?

WENBING: Niebezpieczeństwo zażegnane. Możesz być spokojna.

WEILING (wyjmuje butelkę wina z kredensu i dwa kieliszki): A gdybyś teraz się upił, a ja powiedziałabym ci, że mój kuzyn mówił prawdę... Czy stałoby się to samo, co wczoraj?

WENBING (tłumiąc emocje): Cóż, nie mogę tego wykluczyć... (Weiling otwiera butelkę i nalewa wino, Wenbing podchodzi do niej od tyłu i obejmuje ją, całuje w policzek; wino przelewa się przez brzeg kieliszka, ścieka na stół, a stamtąd na podłogę).

WEILING: Ach, całe szczęście...

WENBING: Zawsze cię kochałem, sam o tym nie wiedząc!

SCENA XXXIX

Miejsce: przed domem.

(Pani Ye stoi przed wejściem i czeka. Obok dwóch służących i dwie służące).

PANI YE (zaniepokojona): A gdzie panienki? Sprowadźcie tu starszą i młodszą panienkę!

SŁUŻĄCA PIERWSZA: Tak, proszę pani. (Wchodzi do domu).

PANI YE: A gdzie mój siostrzeniec, już wyjechał czy jeszcze nie? Zawołajcie go tutaj, niech razem z nami przywita gościa.

SŁUŻĄCY PIERWSZY: Tak, proszę pani. (Wchodzi do domu).

PANI YE: Ciekawe, czy w tym samolocie podali mu śniadanie? Idź, powiedz w kuchni, niech szybko coś przygotowują!

SŁUŻĄCA DRUGA: Tak, proszę pani. (Znika w domu).

PANI YE: I zawołajcie tu kogoś do noszenia bagaży!

SŁUŻĄCY DRUGI: Tak jest, proszę pani (Odchodzi). (Zjawia się wystrojona Weifang).

PANI YE: A, jesteś, Weifang, chodź tu szybciej! Jada, już jada! (Matka i córka stoją obok siebie na werandzie, przygotowując się na powitanie przyjezdnych. Weifang stoi po prawicy pani Ye. Nadchodzi Rongsheng i staje po lewej. Zza pleców Rongshenga wygląda Weiling; Rongsheng ustępuje jej miejsca, Weiling staje pomiędzy nim a matką). (Przed domem zatrzymuje się samochód. Kierowca wysiada, otwiera drzwi pasażera. Wysiada dyrektor Ye, a za nim jedenasto - , może dwunastoletni chłopczyk z lizakiem w ręku; chłopczyk rozgląda się). (Służący i tragarz wyładowują bagaże).

DYREKTOR YE (prowadząc chłopca w stronę schodów): No, jesteśmy na miejscu. Czuj się tutaj jak u siebie w domu!

PANI YE: Jak tam podróż? Panowie pewnie zmęczeni?

DYREKTOR YE (do pani Ye): Przedstawiam ci potomka pana prezesa naszej rady nadzorczej!

PANI YE: Witam kawalera! Zapraszam, chodźcie szybko, musicie odpocząć! (Wszyscy tłumnie wkraczają do salonu; za nimi tragarz wnoszący bagaże).

(Spojrzenia Rongshenga i Weifang spotykają się. Rongsheng nagle wybiega na zewnątrz, wskakuje do samochodu i odpala silnik. Weifang za nim - lokuje się na tylnym siedzeniu). (Rongsheng słyszy trzask tylnych drzwiczek - już wie, że nici z ucieczki. Zrezygnowany, kładzie ręce na kierownicy. Silnik milknie, lecz zaczyna trąbić klakson - przeciągły dźwięk symbolizuje rozdrażnienie i bezsilność mężczyzny).

(Weifang przechyla się w stronę przedniego siedzenia, z uśmiechem obejmuje Rongshenga za szyję. Dźwięk klaksonu przechodzi w solo na trąbce, a następnie w radosny utwór muzyczny).

Koniec